Powrót do spisu KIPPIN PRZEDRUK

CARLOS CASTANEDA
POTĘGA MILCZENIA
[materiały nadesłane; pozostałych danych nie dostarczono]



Inne książki Carlosa Castanedy wydane dotychczas w Polsce:

NAUKI DON JUANA
ODRĘBNA RZECZYWISTOŚĆ
PODRÓŻ DO IXTLAN
OPOWIEŚCI O MOCY
DRUGI KRĄG MOCY
DAR ORŁA
WEWNĘTRZNY OGIEŃ
SZTUKA ŚNIENIA
MAGICZNE KROKI
AKTYWNA STRONA NIESKOŃCZONOŚCI

SPIS TREŚCI:

SŁOWO WSTĘPNE
WPROWADZENIE

I. PRZEJAWY DUCHA

1. Pierwszy abstrakcyjny wątek
2. Nieskazitelność naguala Eliasa

II. PUKANIE DUCHA

3. Abstrakcja
4. Ostatni romans naguala Juliana

III. FORTEL DUCHA

5. Oczyszczanie więzi łączącej nas z duchem
6. Cztery formy osaczania

IV. ZSTĄPIENIE DUCHA

7. Widzieć ducha
8. Przeskok myślowy
9. Przemieszczanie punktu scalającego
10. Bezlitosne miejsce

V. WYMAGANIA INTENCJI

11. Rozbijanie zwierciadła wyobrażeń
12. Przepustka do nieskazitelności

VI. KIEROWANIE INTENCJĄ

13. Trzeci punkt
14. Dwa jednokierunkowe mosty
15. Wybór własnej powierzchowności

* * *

Carlos Castaneda zmarł w 1998 roku

SŁOWO WSTĘPNE

Moje książki są wiernym opisem metody nauczania, jaką stosował w celu zapoznania mnie ze światem magii don Juan Matus, indiański czarownik z Meksyku. Są to sprawozdania z trwającego wciąż procesu, który z upływem czasu rozumiem coraz lepiej.

Ćwiczymy całymi latami, by w rozumny sposób radzić sobie z otaczającym nas światem. Owo szkolenie – czy to dotyczące zwykłego rozumowania, czy zagadnień formalnych – jest rygorystyczne, gdyż przyswajana wiedza jest bardzo złożona. Te same kryteria stosują się do czarowników, których szkolenie, polegające na przekazywaniu instrukcji i manipulowaniu świadomością, różni się od naszego, ale jest równie skrupulatne. Przyczyn takiego stanu rzeczy należy upatrywać w tym, że ich wiedza jest tak samo, a może nawet bardziej skomplikowana.

WPROWADZENIE

Don Juan wielokrotnie podejmował próby nazwania swojej wiedzy, sądząc, że mógłbym odnieść z tego pożytek. Uważał, że najwłaściwszym, aczkolwiek niejasnym terminem jest nagualizm. Określenie "wiedza" było zbyt mgliste, a "czary" – negatywne. Termin "władanie intencją" wydawał mu się zbyt ogólny, a "poszukiwanie pełnej wolności" – za długi i metaforyczny. Ponieważ nie potrafił znaleźć stosowniejszego określenia, w końcu na zwał swą wiedzę "magią", przyznawał jednak, że słowo to nie jest tak naprawdę odpowiednie. Przez wszystkie te lata podał mi wiele definicji magii, zawsze jednak utrzymywał, że definicje zmieniają się wraz z przyrostem wiedzy. Kiedy kończyło się moje terminowanie, poczułem, że jestem gotowy do zrozumienia bardziej precyzyjnej definicji, spytałem więc o to raz jeszcze.

– Z punktu widzenia zwykłego człowieka – rzekł don Juan – magia jest albo całkowitym nonsensem, albo hermetyczną, złowrogą zagadką. Trzeba mu przyznać rację: nie dlatego, by była to niepodważalna prawda, ale z tego powodu, że przeciętnemu człowiekowi nie starcza energii na paranie się magią. – Zamilkł, a po chwili podjął temat: – Rodzimy się wyposażeni w określoną, skończoną ilość energii. Czerpiemy z tego źródła przez całe życie, starając się ekonomicznie wykorzystać nasze zasoby w trybie czasu.

– Co rozumiesz przez tryb czasu'? – spytałem.

– Tryb czasu to konkretna, postrzegana przez nas wiązka pól energetycznych – odpowiedział. – Uważam, że ludzka percepcja zmieniła się w ciągu wieków. Wy znacznikiem tego trybu jest rzeczywisty, aktualny czas: od czasu zależy, które z nieprzeliczonych wiązek pól energetycznych zostaną wykorzystane. Uporanie się z trybem czasu – z kilkoma wybranymi polami energetyczny mi – zabiera całą dostępną nam energię, nie pozostawiając niczego, co pomogłoby nam w wykorzystaniu innych pól energetycznych. Nieznacznym ruchem brwi dał mi znać, bym się nad tym zastanowił.

– O to mi właśnie chodzi, kiedy mówię, że przeciętnemu śmiertelnikowi brakuje energii, by zajmować się magią – kontynuował. – Jeśli będzie używał tylko własnej energii, nie dostrzeże światów dostępnych czarownikom. Aby je dojrzeć, czarownicy posługują się pękiem pól energetycznych zazwyczaj nie używanych. Jest zrozumiałe, że gdyby zwykły człowiek chciał widzieć te światy i rozumieć doznania czarowników, musiałby się posługiwać tym samym pękiem co oni. Nie jest to możliwe, bo zwykły człowiek zużywa swoją energię zbyt szybko. Don Juan przerwał, jakby szukając właściwych słów.

– Rozważ to pod tym kątem – mówił dalej po chwili. – Pobierając u mnie nauki, nie tyle uczysz się magii, ile poznajesz sposoby oszczędzania energii. To dzięki temu będziesz mógł kiedyś wykorzystać niektóre z pól energetycznych, które teraz nie są dla ciebie dostępne. Tym właśnie jest magia: umiejętnością posługiwania się polami energetycznymi, które nie biorą udziału w postrzeganiu zwykłego, znanego nam świata. Magia jest stanem świadomości; zdolnością do postrzegania czegoś, co wykracza poza zasięg zwykłej percepcji. Wszystko, czego cię nauczyłem i co ci pokazałem, miało cię przekonać, że istnieje coś więcej ponad to, co widzimy. Nie potrzebujemy osoby uczącej nas magii, ponieważ tak naprawdę nie mamy się czego uczyć. Nauczyciel jest po to, by przekonać nas, że niezmierzoną władzę mamy w zasięgu ręki. Cóż za paradoks! Każdemu wojownikowi podążającemu drogą do wiedzy wydaje się nieraz, że uczy się magii. Prawdziwy sens jego drogi polega na przyzwoleniu – po pewnym czasie wojownik przekonuje się, że w jego wnętrzu drzemie moc, którą

można wykorzystać.

– Czy to właśnie robisz, don Juanie: przekonujesz mnie`?

– Tak. Próbuję cię przekonać, że możesz sięgnąć po tę moc. Ja również szedłem tą drogą. Mnie było równie trudno przekonać jak ciebie.

– Kiedy się już po tę moc sięgnie, co się z nią robi, don Juanie'?

– Nic. Kiedy się ją zdobędzie, ona sama otworzy drogę do obecnie niedostępnych pól energetycznych. Na tym właśnie, jak ci już mówiłem, polega magia. Zaczynamy widzieć, czyli postrzegać, coś innego: nie tyle wyobrażonego, ile rzeczywistego i namacalnego. Zaczynamy wtedy wiedzieć bez potrzeby używania słów. Co uczynimy z tą poszerzoną percepcją, z tą milczącą wiedzą, zależy od naszego temperamentu.

Pewnego razu wyjaśnił mi to w inny sposób. Rozmawialiśmy o czymś całkiem innym, kiedy nagle don Juan zmienił wątek i opowiedział mi dowcip. Śmiejąc się, klepnął mnie w plecy między łopatkami. Zrobił to bardzo delikatnie, jakby nie chciał mnie urazić swoim dotknięciem. Zachichotał, widząc moją nerwową reakcję.

– Łatwo cię wytrącić z równowagi – zażartował, po czym naprawdę mocno uderzył mnie w plecy. Zaszumiało mi w uszach. Przez chwilę nie mogłem złapać tchu. Czułem się tak, jakby odbił mi płuca – oddychałem z wielkim trudem. Po kilku minutach kaszlu i krztuszenia nos mi się odetkał, poczułem, że biorę głębokie, kojące oddechy. Było mi tak dobrze, że w ogóle się nie złościłem, że uderzył mnie tak mocno i znienacka. Wówczas don Juan przystąpił do niezwykle istotnych wyjaśnień. Przedstawił mi jasno i zwięźle bardziej precyzyjną definicję magii. Wszedłem w cudowny stan świadomości! Miałem tak jasny umysł, że potrafiłem zrozumieć i przyswoić sobie wszystko, o czym mówił. Powiedział, że we wszechświecie istnieje siła, nie dająca się zmierzyć ani opisać, zwana przez czarowników intencją. Wszystko, co istnieje w kosmosie, jest połączone z intencją specjalną więzią, której omawianie, zrozumienie i wykorzystywanie jest przedmiotem zainteresowania czarowników, czy wojowników, jak nazywał ich don Juan. Mieli się oni zajmować w szczególności oczyszczaniem tej więzi ze znieczulającego wpływu zwykłych, codziennych trosk. Na tym poziomie magię można było zdefiniować jako oczyszczanie własnej więzi z intencją. Don Juan podkreślił, że tę "procedurę oczyszczania" niezwykle trudno zrozumieć i wy konać, dlatego też czarownicy dzielą swoje nauki na dwie kategorie. Do pierwszej z nich należą instrukcje przekazywane w zwykłym stanie świadomości, w których proces oczyszczania przedstawia się w formie ukrytej. Druga grupa to polecenia przeznaczone dla stanu wzmożonej świadomości – w jakim się wtedy znajdowałem – w którym czarownicy czerpali swą wiedzę bezpośrednio z intencji, bez rozpraszającego pośrednictwa mowy. Don Juan wyjaśnił, że czarownicy przez tysiąclecia bolesnych wysiłków wykorzystywali wzmożoną świadomość do uzyskania wglądu w naturę intencji. Uzyskane w ten sposób drobiny bezpośredniej wiedzy przekazywali z pokolenia na pokolenie, aż do czasów obecnych. Don Juan powiedział, że zadaniem magii jest zebranie tej pozornie niezrozumiałej wiedzy i wyjaśnienie jej w kategoriach codziennej świadomości. Następnie wyjaśnił, jaką rolę w życiu czarowników pełni przewodnik zwany "nagualem": jest to mężczyzna lub kobieta o nieprzeciętnej energii; trzeźwo patrzący, wytrwały, zrównoważony nauczyciel. Ludzie, którzy widzą, postrzegają go jako świetlistą sferę złożoną z czterech części, jakby stłoczonych razem czterech błyszczących kul. Niezwykła energia pozwala nagualom pełnić rolę pośredników – czerpać pokój, harmonię, radość i wiedzę z samego źródła i przekazywać je swym towarzyszom. Jednym z ich zadań jest udzielenie uczniom tego, co czarownicy zwą "minimalną sposobnością": uświadomienie im naszego powiązania z intencją. Powiedziałem, że pojmuję wszystko, co mówi, nie rozumiem tylko, dlaczego konieczne są dwa sposoby nauczania. Chwytałem w lot opis jego świata, a mimo to don Juan twierdził, że proces zrozumienia jest bardzo trudny.

– Aby odtworzyć to, co zobaczyłeś dzisiaj, będziesz potrzebował całego życia, ponieważ w większości należy to do dziedziny milczącej wiedzy – oświadczył. – Już za moment zapomnisz o wszystkim. To jedna z nieprzeniknionych tajemnic świadomości.

Po tych słowach uderzył mnie w lewy bok, sprawiając, że moja świadomość przeszła na inny poziom. Niezwykła jasność umysłu natychmiast zniknęła, nie pozostawiając po sobie nawet wspomnienia... Spisanie podstawowych zasad magii było zadaniem, które zlecił mi sam don Juan. Pewnego razu, we wczesnym okresie mojej praktyki, zaproponował mimochodem, bym wykorzystując swoje notatki, napisał książkę. Zgromadziłem już wtedy całe stosy zapisków. Nigdy nie zastanawiałem się, co z nimi zrobię. Uznałem, że to absurdalna propozycja, nie byłem przecież pisarzem.

– Jasne, nie jesteś literatem – zgodził się don Juan. – Dlatego powinieneś posłużyć się magią.

Najpierw dokonaj wizualizacji swoich doświadczeń, tak jakbyś przeżywał je na nowo, a potem zobacz tekst we śnie. Pisanie powinno być dla ciebie ćwiczeniem nie tyle z literatury, ile z magii. Podstawowe założenia magii przedstawiam dokładnie tak, jak wyłożył mi je don Juan.

W jego modelu nauczania, opracowanym przez żyjących w dawnych czasach czarowników, wyróżniano dwa rodzaje instruktażu. Pierwszy, zwany "nauką dla prawej strony", przeprowadzano w zwykłym stanie świadomości. Drugi, "naukę dla lewej strony", wykorzystywano jedynie w stanach wzmożonej świadomości. Wykorzystując te dwa sposoby, nauczyciele szkolili swych uczniów w trzech dziedzinach: sztuce świadomości, sztuce osaczania i sztuce intencji. Te trzy dziedziny utożsamia się z trzema zagadkami, na które natrafiają czarownicy w poszukiwaniu wiedzy. Sztuka świadomości to zagadka umysłu – to zdziwienie, z jakim odkrywa się niezmierzone i nieodgadnione możliwości świadomości i percepcji. Sztuka osaczania jest zagadką serca – jest to oszołomienie spowodowane zrozumieniem, że z jednej strony za sprawą szczególnych właściwości świadomości i percepcji świat wydaje się niezmiennie obiektywny i rzeczy wisty, z drugiej zaś odkrycie nowych własności percepcji powoduje, że to, co wydawało się dotąd niezmiennie obiektywne i rzeczywiste, ulega zmianie. Opanowanie intencji to zagadka ducha albo paradoks abstrakcji rozumianej jako myśli i czyny czarownika, które wykraczają poza to, co człowiekowi przeznaczone. Podstawą instrukcji dotyczących sztuki osaczania i mistrzostwa intencji była sztuka świadomości.

Oto jej założenia:

1. Świat jest nieskończonym skupiskiem pól energetycznych, przypominających promienic: światła.

2. Pola te, tak zwane emanacje Orła, wybiegają ze źródła o niewyobrażalnych rozmiarach, nazywanego metaforycznie Orłem.

3. Ludzie również składają się z olbrzymiej liczby identycznych promieniopodobnych pól energetycznych. Te emanacje Orła tworzą świetlne skupisko o kształcie kuli i rozmiarach danego człowieka, stojącego z wy ciągniętymi w bok ramionami, podobne do gigantycznego świetlistego jaja.

4. Część pól energetycznych zawartych w świetlnej kuli jarzy się blaskiem przejętym od intensywnie świecącego punktu położonego na jej powierzchni.

5. Z percepcją mamy do czynienia wówczas, gdy promienie wychodzące z pól energetycznych sąsiadujących ze świetlistym punktem dotrą do identycznych pól położonych na zewnątrz kuli i je podświetlą. Postrzegać można tylko te pola energetyczne, które rozpala ów świetlisty punkt, dlatego miejsce to nazywa się "punktem, w którym zachodzi konsolidacja percepcji" albo po prostu "punktem scalającym".

6. Punkt scalający można przemieścić ze zwykłej pozycji w inne miejsce na powierzchni kuli lub w jej wnętrzu. Blask punktu scalającego rozświetla każde pole energetyczne, z którym się styka. Kiedy punkt zmieni pozycję, natychmiast rozjarza nowe pola, które stają się postrzegalne. Taki rodzaj percepcji nazywa się widzeniem.

7. Przesunięcie punktu scalającego umożliwia percepcję zupełnie innego świata – równie obiektywnego i rzeczywistego jak ten, który zwykle postrzegamy. Czarownicy odwiedzają te obszary, by otrzymać energię czy moc, znaleźć rozwiązanie ogólnych lub cząstkowych problemów albo zetknąć się z niewyobrażalnym.

8. Intencja jest przenikającą wszystko siłą, która sprawia, że postrzegamy. Nie dlatego stajemy się świadomi, że postrzegamy – do percepcji dochodzi pod naciskiem napierającej intencji.

9. Celem czarowników jest osiągnięcie stanu całkowitej świadomości, w którym mogliby doznać wszystkich wrażeń dostępnych człowiekowi. Taki stan może być alternatywnym rozwiązaniem wobec śmierci.

Ucząc sztuki świadomości, przekazuje się także pewną ilość wiedzy praktycznej. Na tym poziomie don Juan uczył metod niezbędnych do przemieszczania punktu scalającego. Służyły do tego dwa systemy opracowane przez czarowników jasnowidzów żyjących w dawnych czasach: śnienie, to znaczy kontrola i wykorzystanie snów, oraz osadzanie, czyli kontrola zachowania. Przemieszczanie własnego punktu scalającego jest istotną umiejętnością, którą musi opanować każdy czarownik. Niektórzy z nich, nagualowie, uczą się także wykonywać tę czynność za innych. Uderzając mocno w punkt scalający, potrafią oni ruszyć go z jego zwykłego miejsca. Ten nie sięgający ciała cios, odczuwany jako klepnięcie w prawą łopatkę, powodował przejście w stan wzmożonej świadomości. Zgodnie z tradycją instrukcje dla lewej strony, czyli najważniejszą i najbardziej spektakularną część nauk, można było otrzymać tylko w odmiennym stanie świadomości. Ze względu na wyjątkowy charakter tego stanu don Juan zażądał, bym nie omawiał go z nikim, dopóki plan nauczania magii nie

zostanie zrealizowany. Chętnie na to przystałem, bo chociaż w tych niezwykłych stanach świadomości zrozumienie przekazywanych nauk przychodziło mi niewiarygodnie łatwo, jednak nie potrafiłem ich opisać, a nawet spamiętać. W tych stanach funkcjonowałem pewnie i skutecznie, jednak kiedy moja świadomość powracała do normy, nie mogłem sobie uprzytomnić, co się ze mną działo. Dopiero po latach nastąpił przełomowy moment: zdołałem przenieść to, czego doznałem w stanach wzmożonej świadomości, w obręb zwykłej pamięci. Nadejście tej chwili zostało opóźnione przez mój rozum i zdrowy rozsądek, które nie mogły się pogodzić z dziwaczną, nie12 – 13 wyobrażalną rzeczywistością podwyższonej świadomości i bezpośredniej wiedzy. Powstały w moim umyśle chaos poznawczy przez całe lata sprawiał, że unikałem tego zagadnienia i nie myślałem o nim. Wszystko, co pisałem dotąd o moim szkoleniu w dziedzinie magii, było relacją z nauk don Juana dotyczących sztuki świadomości. Nie opisałem jeszcze sztuki osaczania i mistrzostwa intencji. W przekazywaniu mi reguł i zastosowań tych sztuk don Juanowi pomagali jego dwaj towarzysze, czarownicy Vicente Medrano i Silvio Manuel, jednakże wszystko, czego się od nich nauczyłem, wciąż jest ukryte w, jak to określił don Juan, zamęcie wzmożonej świadomości. Do niedawna nie potrafiłem pisać, a nawet spójnie myśleć o sztuce osaczania i mistrzostwa intencji. Błądziłem, sądząc, że można je zwyczajnie objąć pamięcią i wspominać. Jest to jednocześnie możliwe i niemożliwe. Chcąc rozwikłać tę sprzeczność, zgłębiałem te sprawy nie bezpośrednio – było to naprawdę niewykonalne – ale za pośrednictwem ostatniej części nauk don Juana: opowieści o czarownikach z przeszłości. Historie te don Juan opowiadał szczegółowo, by uwidocznić ich, jak to nazywał, abstrakcyjny rdzeń, ja jednak nie potrafiłem uchwycić jego sensu. Nie pomogły przystępne objaśnienia don Juana teraz wiem, że miały one nie tyle tłumaczyć cokolwiek rozumowo, ile otworzyć mój umysł. Przez wiele lat zwodził mnie sposób, w jaki don Juan opowiadał – uważałem jego objaśnienia na temat abstrakcyjnych wątków za coś w rodzaju naukowych dysertacji. Nie pozostawało mi nic innego, jak wyjaśnienia te traktować dosłownie. Utrwaliło to moją milczącą akceptację dla nauk don Juana, zabrakło mi jednak niezbędnej do ich zrozumienia gruntownej analizy problemu. Don Juan przedstawił mi trzy zestawy zawierające po sześć abstrakcyjnych wątków, ułożone według rosnącej złożoności. Opisuję tutaj pierwszy zestaw, na który składają się następujące zagadnienia: przejawy ducha, pukanie ducha, fortel ducha, zstąpienie ducha, wymagania intencji oraz posługiwanie się intencją.

1. PIERWSZY ABSTRAKCYJNY WĄTEK

Don Juan opowiadał mi krótkie historie o czarownikach, których był spadkobiercą – najczęściej o swym nauczycielu, nagualu Julianie. Nie były to właściwie opowieści, ale opisy zachowania się czarowników i pewnych aspektów ich osobowości. Każda z tych relacji miała rzucić światło na któreś z przerabianych przeze mnie zagadnień. Te same historie słyszałem także od pozostałych piętnastu członków grupy czarowników don Juana, jednak żaden z nich nie umiał plastycznie opisać ich głównych bohaterów. Ponieważ nic sposób było przekonać don Juana, by opowiedział bardziej szczegółowo o tych dawnych czarownikach, pogodziłem się z myślą, że nigdy nie dowiem się o nich nic więcej. Pewnego popołudnia podczas wędrówki po górach południowego Meksyku don Juan objaśniał mi po raz kolejny tajniki sztuki świadomości. Niespodziewanie powiedział coś, co kompletnie zbiło mnie z tropu.

– Sądzę, że przyszła pora, byśmy porozmawiali o dawnych czarownikach – oświadczył. Wyjaśnił, że nadszedł czas, bym zaczął metodycznie patrzeć w przeszłość i wyciągać wnioski dotyczące zarówno świata spraw codziennych, jak i świata magii. – Czarownicy żywo interesują się swą przeszłością. Nie chodzi tu jednak o ich osobiste dzieje. Dla czarowników ich przeszłość to poczynania czarowników żyjących w minionych czasach. Właśnie takiej przeszłości będziemy się teraz przyglądać. Zwykli ludzie także patrzą wstecz, jednak badają z reguły własne losy, chcąc w ten sposób uzyskać osobiste korzyści. Czarownicy postępują całkiem inaczej – patrzą w przeszłość dla uzyskania punktu odniesienia.

– Przecież każdy tak robi: spogląda wstecz, by znaleźć punkt odniesienia – zaprotestowałem.

– Nie masz racji! – odrzekł dobitnie. – Przeciętny człowiek w swej przeszłości lub wiedzy swych młodych lat szuka porównania: chce usprawiedliwić swoje obecne lub przyszłe zachowanie albo stworzyć jego wzorzec. Jedynie czarownicy naprawdę poszukują we własnej przeszłości punktu odniesienia.

– Może rozjaśniłoby mi się w głowie, don Juanie, gdybyś określił, czym dla czarownika jest punkt odniesienia. – Dla czarowników ustanowienie punktu odniesienia jest szansą na zgłębienie intencji – odpowiedział. – Właśnie taki jest cel naszego ostatniego etapu nauczania. Najlepszy wgląd w intencję uzyskamy, studiując opowieści o zmaganiach innych czarowników, którzy starali się zrozumieć tę samą siłę. Wytłumaczył mi, że kiedy jego przodkowie zagłębiali się w przeszłość, zwracali szczególną uwagę na podstawowy, abstrakcyjny porządek swej wiedzy.

– W magii istnieje dwadzieścia jeden abstrakcyjnych wątków – kontynuował. – Wokół nich osnute są niezliczone magiczne opowieści o naszych poprzednikach, nagualach usiłujących pojąć ducha. Pora, byś zapoznał się z tymi abstrakcyjnymi wątkami i magicznymi historiami. Czekałem, aż przystąpi do opowiadania, on jednak zmienił temat i powrócił do objaśniania natury świadomości.

– Zaraz, zaraz – zaprotestowałem. – A co z magicznymi historiami? Nie zamierzasz mi ich opowiedzieć?

– Jasne, że zamierzam – odparł – ale to nie są żadne bajki. Trzeba się w nie zagłębić, a potem przemyśleć, przeżyć na nowo, że się tak wyrażę. Zapadła długa cisza. Pomyślałem, że muszę być ostrożny. Bałem się, że jeśli będę znowu nalegał, by opowiedział mi te historie, wezmę na siebie coś, czego mogę później żałować. Ostatecznie ciekawość wzięła górę nad zdrowym rozsądkiem.

– Zacznijmy w końcu – powiedziałem cicho. Don Juan musiał widzieć moje rozterki jak na dłoni, bo na jego twarzy pojawił się złośliwy uśmiech. Wstał i dał mi znak, bym poszedł za nim. Było późne popołudnie. Siedzieliśmy na dnie wąwozu, na suchych jak pieprz skałach. Niebo było ciemne i zachmurzone. Prawie czarne deszczowe chmury zwieszały się nisko nad wschodnimi szczytami. Tymczasem na południu obłoki przesuwały się wysoko, sprawiając wrażenie, że zaczyna się przejaśniać. Wcześniej tego dnia obficie padało – wyglądało na to, że deszcz czai się gdzieś w ukryciu. Chociaż panował dotkliwy chłód, mnie było ciepło. Ściskając otrzymany od don Juana okruch skały, zdałem sobie sprawę, że przywykłem już do tego, iż nie marznę mimo prawie zimowej pogody. Nigdy nie mogłem pojąć, jak się to dzieje. Kiedy tylko robiło mi się bardzo zimno, don Juan dawał mi do potrzymania gałąź czy kamień albo kładł mi pod koszulę, na mostku, pęk liści. To mi wystarczało do rozgrzania się. Daremnie usiłowałem samodzielnie uzyskać taki sam efekt. Don Juan powiedział, że ogrzewają mnie nie tyle jego poczynania, ile jego wewnętrzne milczenie – gałęzie, kamienie i liście

miały tylko przykuć moją uwagę. Wspinaliśmy się szybko stromym zachodnim zboczem góry, aż dotarliśmy do skalnego występu na szczycie. Znajdowaliśmy się u podnóża wyższego pasma gór. Widzieliśmy mgłę płynącą na południe leżącej pod nami doliny. Zdawało się, że wiszące nisko chmury również ześlizgują się z czarnozielonych, wysokich zachodnich wierzchołków, prosto na nas. Po deszczu, pod ciemnym, pochmurnym niebem miało się wrażenie, że rozpościerającą się na południe i wschód dolinę i otaczające ją góry przykrywa płaszcz czarnozielonej ciszy.

– To idealne miejsce na rozmowę – powiedział don Juan, siadając na kamiennej podłodze ledwie widocznej płytkiej pieczary. Siedząc ramię przy ramieniu, doskonale się tam mieściliśmy: głowami prawie dotykaliśmy stropu, a nasze plecy gładko wpasowały się w krzywiznę ściany. Wydawało się, że pieczarę wyżłobiono dla dwóch osób naszego wzrostu. Zwróciłem także uwagę na jej inną szczególną właściwość: kiedy stałem na skalnym występie, widziałem całą dolinę i pasma gór rozciągające się na wschód i południe, ale gdy usiadłem, otaczały mnie skały. A przecież dno jamy leżało na tym samym poziomie, co płaska półka skalna. Miałem właśnie zwrócić uwagę na ten dziwny efekt, ale don Juan mnie uprzedził.

– To nie jest naturalna ,jaskinia – powiedział. – Występ skalny przebiega skośnie, ale kąt nachylenia jest niedostrzegalny dla oka.

– Kto ją wykuł, don Juanie? – Starożytni czarownicy, być może: przed tysiącami lat. Jedną z dziwnych cech tej jaskini jest to, że zwierzęta, owady, a nawet ludzie trzymają się od niej z daleka. Wygląda na to, że ówcześni czarownicy nasycili ją złowrogimi ładunkami, powodującymi, że wszystkie żywe istoty źle się tu czują. Zdziwiło mnie, że nie mając ku temu wyraźnego powodu, czuję się bezpieczny i szczęśliwy. Przenikało mnie mrowiące, fizyczne zadowolenie. Nigdy dotąd nie czułem tak miłego, rozkosznego łaskotania w żołądku. – Ja nie czuję się źle – skomentowałem moje wrażenia

– I ja także – powiedział. – Może to tylko oznaczać, że temperamentem nie różnimy się wiele od starożytnych czarowników. Niezmiernie mnie to martwi. Obawiałem się zagłębiać w to zagadnienie, czekałem więc, kiedy don Juan zacznie mówić dalej.

– Pierwsza historia, ,jaką chcę ci opowiedzieć, nosi tytuł "Przejawy ducha" – odezwał się. – Nie daj się jednak zwieść temu określeniu. Jest to zaledwie pierwszy z wielu wątków: ten, wokół którego osnuta jest pierws2a magiczna historia. Ten abstrakcyjny wątek to opowieść sama w sobie. Mówi ona, że żył sobie kiedyś człowiek, zwyczajny, niczym nie wyróżniający się śmiertelnik. Tak jak wszystko inne, był naczyniem dla ducha. Dzięki temu był częścią ducha, częścią abstrakcji. Nie wiedział jednak o tym. Był tak zajęty światem, że brakło mu czasu i chęci do zbadania tych spraw. Duch bezskutecznie starał się ujawnić człowiekowi swoją z nim więź Używając wewnętrznego głosu, wyjawił swoje tajemnice, ale człowiek nie potrafił pojąć tego objawienia. Naturalnie, słyszał wewnętrzny głos, uznał jednak, że są to jego własne uczucia i myśli. Chcąc wyrwać go z uśpienia, duch dał człowiekowi trzy znaki, trzy następujące po sobie przejawy. W cielesnej formie ukazał się na jego drodze, tak jawnie, jak to było możliwe. Człowiek jednak był tak pochłonięty własnymi sprawami, że niczego nie zauważył.

Don Juan przerwał i spojrzał na mnie, jak zawsze, kiedy czekał na moje pytania i komentarze. Nie miałem nic do powiedzenia. Nie rozumiałem, do czego zmierza.

– Opowiedziałem ci pierwszy abstrakcyjny wątek – powiedział wreszcie. – Jedno tylko muszę dodać: ponieważ człowiek nie chciał nic zrozumieć, duch musiał uciec się do podstępu. W ten sposób fortel stał się istotą drogi czarowników. Ale to już inna historia. Don Juan wyjaśnił mi, że czarownicy uważali ten wątek za pierwowzór zdarzeń, powtarzający się wzorzec, pojawiający się za każdym razem, kiedy intencja wskazywała na jakieś istotne zjawisko. Abstrakcyjne wątki były zatem pierwowzorami całych ciągów wydarzeń. Stwierdził, że z niejasnych przyczyn wszystkie szczegóły każdego abstrakcyjnego wątku stawały się udziałem każdego z przyszłych nagualów. Dodał, że zawsze starał się wspomóc intencję i umożliwić mi doświadczenie wszystkich abstrakcyjnych wątków magii, tak samo, jak robił to jego dobroczyńca, nagual Julian, i jak wszyscy jego poprzednicy postępowali ze swoimi uczniami. Ten sam proces, doprowadzający każdego przyszłego naguala do spotkania z abstrakcyjnymi wątkami, tworzył osnute wokół nich historie, w których uwzględnione były szczegóły osobowości ucznia i okoliczności, w jakich się znalazł. Potem don Juan powiedział, że ja mam własną historię dotyczącą, na przykład, przejawów ducha, on ma swoją, tak samo jego dobroczyńca, jego poprzednik i tak dalej.

– Jaka jest moja opowieść o przejawach ducha? – spytałem zaskoczony

– Nie ma takiego wojownika, który byłby bardziej od ciebie świadomy swoich historii – odrzekł. – W końcu to ty spisujesz od tylu już lat. Nie zauważyłeś ich abstrakcyjnych rdzeni, bo ,jesteś człowiekiem praktycznym. Wszystko, co robisz, sprawia, że twój pragmatyzm jest jeszcze większy. Chociaż

przerabiałeś ,je aż do znudzenia, nie zauważyłeś tkwiących w nich abstrakcyjnych wątków. Z tego powodu sądzisz, że wszystkie moje poczynania są częstokroć dziwacznym, ale praktycznym działaniem: uczeniem magii opornego i na ogół głupiego praktykanta. Dopóki będziesz to widział w ten sposób, abstrakcyjne wątki będą ci się wymykać.

– Wybacz, don Juanie – odezwałem się – ale mam już mętlik w głowie. Co właściwie chcesz powiedzieć?

– Usiłuję wprowadzić cię w zagadnienie magicznych historii – odparł. – Nigdy nie poruszałem tego tematu, gdyż tradycyjnie pozostawia się go w ukryciu. Jest to ostatnie dzieło ducha. Powiada się, że przyswojenie sobie przez ucznia abstrakcyjnego wątku jest jak położenie kamienia wieńczącego piramidę Zaczęło się ściemniać, wyglądało na to, że znowu będzie padać. Martwiło mnie, że jeśli podczas deszczu powieje wschodni wiatr, przemokniemy w tej jaskini do suchej nitki. Byłem pewien, że don Juan zdaje sobie z tego sprawę, ale jemu najwidoczniej było to obojętne.

– Nie będzie padać aż do rana – powiedział. Dosłownie podskoczyłem, kiedy usłyszałem, że udziela odpowiedzi moim myślom. Uderzyłem głową w strop pieczary, co było bardziej głośne niż bolesne. Don Juan śmiał się głośno, trzymając się pod boki. Po chwili głowa naprawdę mnie rozbolała i musiałem ją pomasować. – Patrząc na ciebie, można się uśmiać do łez. Mój dobroczyńca miał zapewne taką samą zabawę ze mną – stwierdził don Juan i zaczął się znowu śmiać. Przez kilka minut siedzieliśmy spokojnie. Zapadła złowróżbna cisza. Zdawało mi się, że słyszę szmer obłoków, spływających na nas z wysokich gór. Potem zrozumiałem, że jest to cichy powiew wiatru. Z miejsca, w którym siedziałem, brzmiało to jak szept

. – Miałem niewiarygodne szczęście pobierać nauki u dwcich nagualów. – Głos don Juana oderwał mnie od wsłuchiwania się w hipnotyzujący szum wiatru. – Jednym z nich był, oczywiście, mój dobroczyńca, nagual Julian, a drugim jego dobrodziej, nagual Elias. Pod tym względem byłem wyjątkiem.

– Co w tym było szczególnego? – spytałem.

– Przez całe pokolenia nagualowie zaczynali szukać uczniów wiele lat po tym, kiedy ich właśni nauczyciele odeszli z tego świata – wyjaśnił don Juan. – Mój dobroczyńca postąpił inaczej. Zostałem uczniem naguala Juliana na osiem lat przed odejściem ze świata jego dobroczyńcy. Udzielono mi ośmioletniej łaski. Nie mogłem lepiej trafić: dano mi szansę uczenia się od dwóch ludzi o przeciwstawnych temperamentach i odmiennych poglądach. Można powiedzieć, że byłem pod opieką stanowczego ojca i władczego dziadka. W takich zapasach zawsze wygrywa dziadek. Należałoby więc powiedzieć, że zostałem ukształtowany przez nauki naguala Eliasa. Byłem do niego podobny nie tylko z usposobienia, ale i z wyglądu. To on dał mi ostatni szlif. Jednak większość pracy, jaka była potrzebna, by przekształcić mnie z żałosnej istoty w wojownika bez skazy, wykonał mój dobroczyńca, nagual Julian.

– Jak wyglądał nagual Julian? – zapytałem.

– Czy wiesz, że do dzisiaj trudno mi go sobie wyobrazić? – odpowiedział don Juan. – Wiem, że zabrzmi to absurdalnie, ale stosownie do potrzeb i okoliczności był młody lub stary, przystojny albo nieciekawy, słaby i zniewieściały bądź mocny i męski, gruby lub szczupły, średniego wzrostu albo bardzo niski.

– To znaczy, że był aktorem, grającym przy użyciu rekwizytów różne role?

– Nie było żadnych rekwizytów, a on nie był zwyczajnym aktorem. To znaczy, oczywiście, był urodzonym aktorem, ale to całkiem inna sprawa. Chodzi o to, że potrafił przemieniać się i wcielać we wszystkie te osoby. Wielki talent aktorski umożliwiał mu odtwarzanie najdrobniejszych szczegółów zachowania określonej osoby, które decydowały o jej realności. Można powiedzieć, że zmiana postaci była dla niego tak prosta, ,jak dla ciebie zmiana ubrań. Skwapliwie poprosiłem don Juana, by opowiedział coś więcej o przemianach swojego dobroczyńcy. Odrzekł, że ktoś nauczył naguala Juliana dokonywania tych transformacji, jednak, zagłębiając się w to zagadnienie, odbieglibyśmy zbyt daleko od tematu.

– Jak wyglądał nagual Julian, kiedy się nie przemieniał`? – spytałem.

– Powiedzmy, że nim został nagualem, był wysoki i barczysty – odrzekł don Juan. – Miał grube, czarne falujące włosy, długi prosty nos, mocne, duże i białe zęby, owalną twarz o masywnej szczęce i błyszczące, ciemnobrązowe oczy. Miał około pięciu stóp i ośmiu cali wzrostu. Odcieniem skóry nie przypominał Indian ani śniadych Meksykanów. Nie był jednak biały, jak Amerykanie. Prawdę mówiąc, miał cerę niepodobną do żadnej innej, zwłaszcza w późniejszych latach, kiedy jego skóra nieustannie

zmieniała zabarwienie: od ciemnej, przez bardzo jasną, z powrotem do ciemnej. Kiedy go poznałem, był lekko śniadym starszym mężczyzną, który z czasem przemienił się w młodego człowieka o jasnej karnacji, o jakieś kilka lat starszego ode mnie dwudziestolatka. Jego zewnętrzne transformacje były zadziwiające, to prawda, ale towarzyszące im zmiany nastroju i zachowania zdumiewały jeszcze bardziej. Na przykład, jako gruby młody człowiek był zmysłowy i rubaszny. Kiedy był chudym starcem, stawał się mściwy i małostkowy. W roli starszego grubego mężczyzny był największym idiotą, jakiego świat widział.

– Czy kiedykolwiek był sobą'? – zapytałem.

– Nie w ten sposób, w jaki ja jestem sobą – odrzekł don Juan. – Przemiany mnie nie interesują, więc jestem ciągle taki sam. On jednak w ogóle nie był do mnie podobny. Don Juan spojrzał na mnie, jakby szacując moje wewnętrzne siły. Uśmiechnął się, pokręcił głową i wybuchnął głośnym śmiechem.

– Co cię tak ubawiło, don Juanie? – Prawda jest taka, że jesteś wciąż zbyt sztywny i pruderyjny, by docenić w pełni istotę przemian mego dobroczyńcy i ich znaczenie. Mam tylko nadzieję, że kiedy ci o nich opowiem, nie staną się twoją chorobliwą obsesją.

Z niewiadomych przyczyn poczułem zakłopotanie. Musiałem zmienić przedmiot rozmowy.

– Dlaczego nagualów nazywa się "dobroczyńcami", a nie, zwyczajnie, nauczycielami? – spytałem pośpiesznie. – Zwracanie się do nich w ten sposób jest ukłonem ze strony uczniów – odrzekł don Juan.

– Nagual wzbudza w swych podopiecznych wszechogarniające uczucie wdzięczności. W końcu to właśnie on kształtuje ich i prowadzi przez niewyobrażalne krainy. Oświadczyłem, że dla mnie nauczanie jest najważniejszą i najbardziej altruistyczną czynnością, jaką można wykonać dla dobra drugiej osoby.

– Dla ciebie nauczanie jest rozmową o wzorcach – odparł don Juan. – Czarownicy uważają, że nauką jest to, co nagual robi dla swoich wychowanków. Steruje on przepływem najważniejszej z sił wszechświata, intencji, która zmienia kształt i porządek rzeczy bądź pozostawia je bez zmiany. Nagual planuje skutki oddziaływania intencji na jego uczniów, a potem kieruje ich przebiegiem. Tylko dzięki nagualowi, kształtującemu intencję, uczniowie mogą doznać uczucia grozy i objawienia. Bez jego pośrednictwa, zamiast ruszyć w magiczną i odkrywczą podróż, uczyliby się tylko kupczenia: stawaliby się znachorami, czarownikami, wróżbitami, szarlatanami lub kimś podobnym.

– Wyjaśnij mi, czym jest intencja – poprosiłem. – Intencję można poznać tylko w jeden sposób: bezpośrednio, poprzez czynną więź łączącą intencję z wszystkimi świadomymi istotami – odrzekł. – Czarownicy nazywają intencję tym, co nieopisane, duchem, abstrakcją, nagualem. Ja najchętniej używałbym nazwy nagual, ale ta pokrywa się z imieniem przewodnika, dobroczyńcy, także zwanego nagualem, wobec tego wolę nazywać ją duchem, intencją, abstrakcją. Don Juan przerwał nagle i polecił, bym w spokoju przemyślał jego słowa. Było już bardzo ciemno. Cisza jaka zapadła, była tak głęboka, że zamiast uśpić mnie i ukoić, pobudziła. Nie potrafiłem zebrać myśli. Mimo że próbowałem się skoncentrować, myślałem o wszystkim tylko nie o opowiedzianej historii – aż w końcu zasnąłem.

2. NIESKAZITELNOŚĆ NAGUALA ELIASA

Nie potrafię ocenić, jak długo spałem w tej jaskini. Ze snu wyrwał mnie głos don Juana, który powiedział, że pierwsza opowieść czarowników dotycząca przejawów ducha jest sprawozdaniem ze wzajemnych stosunków pomiędzy intencją a nagualem. Historia ta mówi, jak duch zakłada przynętę na naguala, przyszłego ucznia, i w jaki sposób nagual musi tę przynętę ocenić i zdecydować, czy połknie ją, czy odrzuci. W jaskini było bardzo ciemno i ciasno. Normalni w tak małym pomieszczeniu czułbym się przytłoczony, jednak pieczara koiła moje uczucia i odpędzała rozdrażnienie. Jej ukształtowanie sprawiało ponadto, że ściany pochłaniały dźwięk głosu don Juana. Don Juan tłumaczył, że każda czynność, jaką wykonuje czarownik, a zwłaszcza nagual, służy wzmocnieniu więzi z intencją albo też jest reakcją przez więź wywołaną. Czarownicy, a w szczególności nagualowie, musieli przeto czynnie i bez ustanku szukać oznak ducha. Takie przejawy zwano gestami ducha lub zwyczajnie – wskazówkami czy znakami. Opowiedział mi powtórnie historię, którą już kiedyś od niego słyszałem: opowieść o spotkaniu z jego dobroczyńcą, nagualem Julianem. Dwóch oszustów podstępnie nakłoniło don Juana do podjęcia pracy na położonej na uboczu hacjendzie. Jeden z nich, zarządca posiadłości, po prostu zatrzymał go siłą, zmieniając w niewolnika. Nie mając innego wyboru, zdesperowany don Juan uciekł. Gwałtowny zarządca puścił się za nim w pogoń. Dopadł go na polnej drodze, postrzelił w pierś i śmiertelnie rannego zostawił na pastwę losu. Don Juan leżał nieprzytomny na drodze. Stracił już tyle krwi, że był bliski śmierci, kiedy w pobliżu pojawił się nagual Julian. Dzięki swej wiedzy uzdrowiciela nagual Julian zatrzymał krwawienie, następnie zabrał nieprzytomnego don Juana do domu i pielęgnował go. Pierwszą wskazówką, jaką duch dał nagualowi Julianowi w związku z don Juanem, była mała trąba powietrzna, która pojawiła się na drodze kilka jardów od miejsca, gdzie leżał don Juan. Drugim znakiem była myśl, jaka przyszła mu do głowy tuż przed tym, nim usłyszał wystrzał: nadszedł czas, by znaleźć ucznia, młodego naguala. Po chwili duch dał mu trzecią wskazówkę: kiedy nagual Julian chciał się skryć, wpadł na uzbrojonego mężczyznę, zmuszając go do ucieczki i, być może, powstrzymując przed oddaniem do don Juana drugiego strzału. Zderzenie się z druga osobą było czymś, na co żaden czarownik, a co dopiero nagual, nie mógł sobie pozwolić. Nagual Julian natychmiast pojął, że oto nadarza się sposobność. Kiedy zobaczył don Juana, zrozumiał przyczynę przejawu ducha: oto leżał przed nim dwoisty człowiek, doskonały kandydat na ucznia. Poczułem nieodpartą potrzebę racjonalnego zrozumienia, czy czarownicy mogą opacznie zrozumieć dany im znak. Don Juan odpowiedział, że aczkolwiek moje pytanie jest z pozoru całkowicie uzasadnione, jednak podobnie jak większość moich pytań jest bezpodstawne, ponieważ zadałem je, opierając się na moich doświadczeniach w zwykłym, codziennym świecie. Jako takie, moje pytania dotyczyły zawsze sprawdzonych sposobów postępowania, poleceń do wykonania i formalnych reguł, nie miały się jednak nijak do założeń magii. Don Juan wy. tknął mi błąd, polegający na pomijaniu moich doświadczeń w świecie magii. Tłumaczyłem się, że nie potrafię w codziennym życiu korzystać z przeżyć w świecie magii, ponieważ tylko nieliczne z nich mają charakter ciągły. Bardzo rzadko, i to tylko w odmiennym stanie świadomości, byłem w stanie przypomnieć je sobie w całości. Na tym poziomie wzmożonej świadomości, jaki zwykle osiągałem, jedynym doświadczeniem łączącym teraźniejszość z przeszłością była nasza znajomość. Don Juan odrzekł krótko, że doskonale potrafiłbym, nadążyć za tokiem rozumowania czarowników, ponieważ zaznajomiłem się z jego założeniami w zwykły; stanie świadomości. Później dodał, nieco łagodniej, że wzmożona świadomość nie wyjawi mi swych tajemnic dopóki budowla magicznej wiedzy nie zostanie ukończona, po czym odpowiedział na moje: pytanie, czy czarownicy mogą omylić się w interpretacji znaków. Kiedy czarownicy oceniają otrzymaną wskazówkę, znają dokładnie jej znaczenie, nie mając pojęcia, skąd pochodzi ich wiedza. Jest to jeden z zadziwiających skutków działania więzi z intencją – czarownicy obdarzeni są zmysłem bezpośredniej wiedzy. Pewność, z jaką działają, zależy od siły i klarowności ich więzi z intencją. Mówił, że "przeczucia", jakie wszyscy czasem mamy powstają wskutek pobudzenia naszej więzi z intencją. Skoro czarownicy celowo dążą do zrozumienia i wzmocnienia tego połączenia, można powiedzieć, że przeczuwają nieomylnie i precyzyjnie. Odczytywanie znaków to dla nich chleb powszedni – do pomyłek może dojść wyłącznie wtedy, kiedy w grę wchodzą uczucia osobiste, przesłaniające więź łączącą czarownika z intencją. W innym wypadku jego bezpośrednia wiedza jest precyzyjna i zawsze przydatna. Przez pewien czas siedzieliśmy w milczeniu.

– Opowiem ci historię o nagualu Eliasie i przejawach ducha – odezwał się don Juan po chwili. – Duch objawia się czarownikowi, a zwłaszcza nagualowi, przy każdej okazji. Właściwie jest trochę inaczej: duch ukazuje się każdemu z tą samą intensywnością i konsekwencją, ale jedynie czarownicy,

a w szczególności nagualowie, przywykli do odbierania tego rodzaju objawień. Historia rozpoczęła się, gdy pewnego dnia nagual Elias jechał konno do miasta. Kiedy przejeżdżał przez pole kukurydzy, jego koń spłoszył się nagle – zaledwie kilka cali nad kapeluszem czarownika przeleciał sokół. Nagual natychmiast zsiadł z konia i zaczął się rozglądać. Pomiędzy wysokimi suchymi łodygami kukurydzy ujrzał dziwnego młodego mężczyznę, którego elegancki garnitur nie pasował do otoczenia. Nagual Elias przywykł do widoku wieśniaków czy właścicieli ziemskich, ale nigdy nie widział, żeby ktoś ubrany tak szykownie przemierzał pole z widocznym brakiem poszanowania dla swego kosztownego stroju. Nagual przywiązał konia i poszedł za młodym człowiekiem. Uznał lot sokoła i wygląd mężczyzny za oczywiste, nie dające się zlekceważyć przejawy ducha. Kiedy podszedł bardzo blisko, zrozumiał, co się dzieje. Elegant gonił wieśniaczkę, biegnącą kilka jardów przed nim, wymykającą mu się i śmiejącą wraz z nim. Dla naguala Eliasa było jasne, jak wiele różni tych dwoje, baraszkujących pośród kukurydzy. Nie należeli do siebie. Nagual uznał, że mężczyzna jest synem właściciela ziemi, a kobieta służącą. Poczuł się zażenowany tą sytuacją i miał właśnie odwrócić się i odejść, kiedy sokół ponownie zniżył lot nad polem, raniąc młodego człowieka w czoło. Zaniepokoiło to tamtych dwoje tak, że zatrzymali się i spojrzeli w górę, próbując przewidzieć, czy ptak znowu zaatakuje. Nagual zauważył, że mężczyzna jest szczupły, przystojny i ma przykuwające uwagę niespokojne oczy. Kiedy obojgu młodym sprzykrzyło się wypatrywanie sokoła, powrócili do przerwanej zabawy. Mężczyzna zła pał kobietę, objął i delikatnie położył na ziemi. Nie próbował jednak się z nią kochać, rozebrał się i zaczął przeć nią nago paradować. Wieśniaczka nie wyglądała na zażenowaną czy prze straszoną – nie spuściła wzroku ani nie krzyknęła. Chichotała, zahipnotyzowana przez tańczącego wokół niej niczym satyr, robiącego sprośne gesty i śmiejącego się nagiego mężczyznę. Ten widok tak ją zniewolił, że wy dała z siebie dziki okrzyk, wstała i rzuciła się w objęcia mężczyzny. Nagual Elias – jak opowiadał niegdyś don Juanowi – był oszołomiony tymi znakami od ducha. Było oczywiste że mężczyzna jest szalony. Nikt zdrowy na umyśle, świadomy, jak bardzo chłopi pilnują swoich kobiet, nie uwodziłby młodej wieśniaczki w biały dzień, tuż przy drodze – i do tego nie mając nic na sobie. Don Juan wybuchnął śmiechem i stwierdził, że jeśli w tamtych czasach ktoś rozbierał się i odbywał stosunek płciowy w takim miejscu, to musiał być albo niespełna rozumu, albo mieć błogosławieństwo ducha. Dodał, że dzisiaj takie postępowanie nie należy do rzadkości, ale wtedy, prawie sto lat temu, ludzie bardziej poskramiali swoje popędy. Wszystko to utwierdziło naguala Eliasa w odczuciu jakie go naszło w chwili ujrzenia eleganta: mężczyzna musiał być zarówno szalony, jak i naznaczony przez ducha. Nagual obawiał się, że mogą nadejść wieśniacy wpaść we wściekłość i zlinczować uwodziciela, jedna nikt się nie pojawił. Nagual Elias miał wrażenie, że czas stanął w miejscu. Kiedy mężczyzna skończył stosunek, ubrał się, wyjął chusteczkę i skrupulatnie oczyścił buty, a później, poczyniwszy dziewczynie gorące obietnice, poszedł swoją drogą. Nagual Elias ruszył za nim. Prawdę mówiąc, śledził go przez kilka dni i dowiedział się, że człowiek ten ma na imię Julian i jest aktorem. Kiedy nagual kilkakrotnie przyjrzał się Julianowi na scenie, dostrzegł, że aktor ma iskrę bożą. Publiczność, a zwłaszcza jej żeńska połowa, ubóstwiała go. Mężczyzna bez skrupułów wykorzystywał swoją charyzmę do uwodzenia wielbicielek. Śledząc aktora, nagual wielokrotnie miał okazję być świadkiem jego techniki podrywania. Polegała ona na tym, że kiedy Julian był sam na sam ze swoimi miłośniczkami, rozbierał się do naga i czekał, aż mu się oddadzą, oszołomione jego popisami. Technika ta w jego wykonaniu zdawała się wyjątkowo skuteczna. Nagual musiał przyznać, że aktor był wybrańcem losu, z jednym wyjątkiem: był śmiertelnie chory. Nagual widział idący w ślad za mężczyzną czarny cień śmierci. Don Juan przypomniał mi coś, o czym mówił przed kilku laty. Nasza śmierć jest czarnym punktem poruszającym się tuż za nami na wysokości lewej łopatki. Kiedy czarownik dostrzeże, że nasz punkt rozrósł się, przybierając postać wiszącego nad nami cienia, wie na pewno, że jesteśmy bliscy końca. Kiedy nagual zdał sobie sprawę, że nad aktorem zawisła śmierć, osłupiał. Zachodził w głowę, czemu duch wyróżnił tego chorego człowieka. Nauczono go, że w naturze regułą jest zastępowanie, a naprawa tego, co chore, należy do rzadkości. Poza tym wątpił, by starczyło mu sił i zdolności do uleczenia tego młodego człowieka lub przeciwstawienia się wiszącemu nad nim czarnemu cieniowi śmierci. Powątpiewał nawet w to, czy zdoła znaleźć przyczynę, dla której duch kazał mu marnować czas. Nie pozostawało mu nic innego, jak towarzyszyć aktorowi, śledzić go i czekać, aż nadarzy się sposobność ujrzenia go w głębszym wymiarze. Don Juan wyjaśnił mi że pierwszą reakcją naguala po zetknięciu się z przejawami ducha jest ujrzenie wmieszanych w to wydarzeń osób. Od chwili tamtego spotkania nagual Elias dołożył wszelkich starań, by zobaczyć mężczyznę. Widział tak wieśniaczkę, która była częścią manifestacji ducha, a nie zobaczył nic, co by w jego mniemaniu te przejawy uzasadniało. Kiedy jednak przyglądał się kolejnemu romansowi jego zdolność widzenia nabrała nowej głębi. Tym razem wielbicielką aktora była córka zamożnego ziemianina To ona od samego początku kontrolowała przebieg wydarzeń. Pewnego dnia nagual podsłuchał ich rozmowę dziewczyna była tak śmiała, że sama poprosiła aktora spotkanie. Nazajutrz nagual obserwował dziewczynę kiedy wyszła z domu na poranną mszę, czekał w ukryciu po drugiej stronie ulicy. Dziewczyna zamiast do kościoła

poszła do czekającego na nią aktora. Miłosnymi obietnicami nakłoniła go, by poszedł z nią na pole. Mężczyzna wahał się, lecz ona naigrawała się z niego i nie pozwoli mu się wycofać. Kiedy nagual przyglądał się, jak młodzi ukradkiem opuszczają miasto, był absolutnie przeświadczony, ; tego dnia stanie się coś, czego żadna z osób biorący udział w tym spektaklu nie mogła przewidzieć. Widząc że czarny cień wiszący nad aktorem powiększył się niemal dwukrotnie. Sądził, że kobieta również wyczuła obecność czarnego cienia śmierci – świadczyło o tym jej zagadkowe, zacięte spojrzenie. Aktor wydawał się zatroskany, tym razem się nie śmiał. Kiedy młodzi uszli już dość daleko, zauważyli, że ktoś ich śledzi. Nagual udał, że jest pracującym na polu rolnikiem. Uspokoiło to kochanków, a nagual mógł podejść bliżej. Nadeszła chwila, w której aktor zaczął zrzucać z siebie ubranie i obnażył się przed dziewczyną. Ona jednak, zamiast omdleć i paść mu w objęcia, zaczęła go bić. Bezlitośnie wymierzała mu ciosy i kopniaki, deptała po jego bosych stopach, aż krzyczał z bólu. Nagual widział, że mężczyzna nie groził dziewczynie ani jej nie skrzywdził. Nie tknął jej nawet palcem. To ona atakowała, a on próbował tylko zasłonić się przed uderzeniami. Jednocześnie uparcie, lecz bez przekonania, starał się ją znęcić widokiem swych genitaliów. Widowisko to przyciągało naguala i odpychało zarazem. Widać było, że chociaż aktor jest skończonym rozpustnikiem, ma w sobie coś wyjątkowego, aczkolwiek napawającego odrazą. Nagual nie wiedział, co myśleć, kiedy ujrzał, że więź łącząca mężczyznę z duchem jest nieprzeciętnie wyrazista. W końcu kobieta przestała okładać aktora. Nie uciekła jednak od niego, tylko mu uległa: położyła się i powiedziała, że teraz może ją wziąć. Uwagi naguala nie umknęło, że mężczyzna opadł z sił – mało brakowało, by zemdlał. Pomimo zmęczenia wziął się do rzeczy i uwieńczył sukcesem swój kolejny romans. Naguala rozbawiła ta sytuacja. Kiedy zastanawiał się, skąd u tego próżniaka tak wielka kondycja fizyczna i taka determinacja, kobieta nagle krzyknęła, a aktor począł ciężko oddychać. Nagual zobaczył, że czarny cień naciera na mężczyznę i precyzyjnie, jak sztylet, wchodzi prosto w jego szczelinę. W tym miejscu don Juan zrobił dygresję, wyjaśniając omawiane niegdyś zagadnienie. Opisywał mi kiedyś szczelinę – otwór w naszej świetlistej powłoce na wysokości pępka, miejsce nieustannych ataków śmiertelnej siły. Teraz dodał, że do zdrowych istot śmierć przychodzi w formie kulistej: przypomina wtedy cios pięścią. Stworzenia chore śmierć atakuje inaczej: jest jak pchnięcie sztyletem. W tej sytuacji nagual Elias nie miał wątpliwości, że mężczyzna nie zda się już na nic. Śmierć aktora kładła kres zainteresowaniu naguala zamiarami ducha. Nie było już żadnych zamierzeń – wszystko nikło w obliczu śmierci. Wstał z miejsca, w którym się ukrywał. Zbierał się już do odejścia, kiedy coś wzbudziło jego wątpliwości – spokój kobiety. Niedbale wkładała na siebie ubranie, które wcześniej zdjęła, pogwizdując cicho, jakby nic się nie stało. Kiedy nagual spojrzał na zwiotczałe, uległe śmierci ciało mężczyzny, zobaczył, że opadła zasłona kryjąca jego prawdziwą naturę. Był to dwoisty człowiek o niezwykłych możliwościach, który umiał wytworzyć ochronny lub maskujący parawan – urodzony czarownik. Gdyby nie wiszący nad nim czarny cień śmierci, byłby doskonałym kandydatem na młodego naguala. Nagual Elias był zaskoczony tym, co ujrzał. Zrozumiał zamierzenia ducha, ale nie mógł pojąć, jak taki próżniak mógłby podporządkować się regułom świata magii. Tymczasem kobieta, nie oglądając się na drgające ciało aktora, wstała i odeszła. Widząc bijący od niej blask, nagual zdał sobie sprawę, że zachowała się tak agresywnie za sprawą olbrzymiego napływu energii, której miała w nadmiarze. Doszedł do przekonania, że jeśli kobieta nie zacznie rozsądnie z tej energii korzystać, ta będzie ją powoli niszczyć i sprowadzi na nią nic dające się przewidzieć nieszczęścia. Kiedy patrzył, jak kobieta oddala się beztrosko, zrozumiał, że duch daje mu kolejny znak: miał zachować spokój i nie oglądając się na nic, działać, jak gdyby nie miał nic do stracenia – desperacko włączyć się w bieg wydarzeń. Jak przystało na prawdziwego naguala, zdecydował się zmierzyć z niemożliwym, jedynie ducha mając za świadka. Don juan dodał, że tego rodzaju wydarzenia są próbą, czy dana osoba jest prawdziwym nagualem, czy oszustem. Nagualowie podejmują decyzję i bez względu na konsekwencje przystępują do działania albo postanawiają od niego odstąpić, natomiast blagierzy zastanawiają się i popadają w odrętwienie. Kiedy nagual Elias podjął decyzję, spokojnie podszedł do umierającego i zrobił to, do czego zmusiło go własne ciało, nie umysł – aby wprowadzić mężczyznę w stan wzmożonej świadomości, wymierzył cios w jego punkt scalający. Bił jak oszalały, dopóki punkt się nie przemieścił. Uderzenia naguala, wspomagane siłą samej śmierci, przemieściły punkt scalający mężczyzny do miejsca, w którym śmierć przestała mieć znaczenie – wtedy aktor przestał umierać. Kiedy młody człowiek zaczął oddychać, nagual zdał sobie sprawę z bezmiaru swojej odpowiedzialności. Jeżeli mężczyzna miał odeprzeć moc śmierci, konieczne było, by pozostał pogrążony w stanie wzmożonej świadomości, dopóki śmierć nie ustąpi. Ponieważ jego ciało było bardzo wymęczone, nie można było ruszyć go z miejsca, bo umarłby natychmiast. Nagual zrobił jedyną w tych okolicznościach możliwą rzecz: zbudował nad ciałem szałas, w którym przez trzy miesiące karmił i poił całkowicie unieruchomionego mężczyznę. Nie mogłem powstrzymać swojej potrzeby racjonalizowania – zamiast po prostu słuchać, zapragnąłem dowiedzieć się, jak było możliwe, żeby nagual Elias zbudował szałas na czyjejś ziemi. Znana mi była namiętność, jaką wieśniacy żywili do posiadania ziemi, i ich poczucie

przynależności terytorialnej. Don Juan przyznał, że i on zadał kiedyś to pytanie. Nagual Elias odrzekł mu, że wydarzenie to stało się możliwe za sprawą samego ducha. Podobnie było ze wszystkim, czego imali się nagualowie, pod warunkiem, że postępowali zgodnie z przejawami ducha. Kiedy aktor zaczął oddychać, nagual Elias pobiegł za dziewczyną, która stanowiła ważny element manifestacji ducha. Dopadł jej niedaleko miejsca, w którym leż ledwie żywy Julian. Nagual nie próbował opowiadać je o niedoli mężczyzny ani prosić o pomoc, ale biorąc na siebie całą odpowiedzialność za swoje czyny, skoczył na kobietę jak lew, uderzając mocno w jej punkt scalający Podobnie jak aktor, kobieta potrafiła wytrzymać śmiertelne ciosy. Kiedy jej punkt scalający poruszył się i zyskał swobodę, zaczął się bezładnie przemieszczać. Nagual przeniósł dziewczynę w miejsce, w którym leżał aktor. Potem przez cały dzień czynił starania, by kobieta nie postradała zmysłów, a mężczyzna pozostał przy życiu. Kiedy doszedł do przekonania, że panuje nad sytuacją, odnalazł ojca dziewczyny i opowiedział mu, że jego córka najprawdopodobniej została rażona piorunem w wyniku czego przejściowo straciła rozum. Zaprowadził go na miejsce wypadku, po czym oświadczył, ż leżący obok dziewczyny mężczyzna, kimkolwiek był, wziął na siebie uderzenie gromu, ratując tym samym córkę ziemianina od pewnej śmierci, ale doznając przy tym ta rozległych obrażeń, że nie wolno go ruszać z miejsca. Wdzięczny ojciec pomógł nagualowi w budowie szałasu, w którym miał pozostać wybawca jego córki. Po upływie trzech miesięcy nagual dokonał niemożliwego: uleczył młodego człowieka. Kiedy nadszedł czas, nagual w poczuciu odpowiedzialności ostrzegł dziewczynę, że jej nadmierna energia może sprowadzić na nią nieszczęście i pogorszyć jej zdrowie. Wezwał ją, by przystała do świata magii – był to dla niej jedyny sposób obrony przed jej autodestrukcyjną siłą. Kobieta nie odrzekła ani słowa. Nagual Elias musiał opowiedzieć jej to, co od niepamiętnych czasów mówili nagualowie do swoich przyszłych uczniów. Czarownicy opisują magię jako cudownego, tajemniczego ptaka, który na chwilę wstrzymuje lot, by dać ludziom nadzieję i cel życia. Czarownicy zwą go ptakiem mądrości, ptakiem wolności. Żyją pod jego skrzydłami i karmią go swoim oddaniem i nieskazitelnością. Wiedzą też, że ptak leci prosto przed siebie, nie zmieniając kierunku – nie potrafi zrobić pętli, krążyć ani zawrócić. Ptak wolności może zrobić tylko dwie rzeczy: wziąć czarowników ze sobą albo zostawić ich z tyłu. Nagual Elias nie mógł przemówić w ten sam sposób do śmiertelnie chorego aktora. Mężczyzna nie miał wyboru. Mimo to nagual powiadomił go, że jeśli chce się wyleczyć, musi bezwarunkowo zastosować się do wskazówek. Aktor zgodził się natychmiast. W dniu, w którym nagual Elias i aktor ruszyli w podróż do domu, spotkali córkę ziemianina siedzącą w bezruchu na skraju miasta. Nie miała walizek ani nawet koszyka. Wydawało się, że chce ich tylko odprowadzić. Nagual przeszedł obok, nawet nie odwracając wzroku, natomiast leżący na noszach aktor uczynił wysiłek, by się pożegnać. Kobieta zaśmiała się i bez słowa przyłączyła się do nich. Bez trudu i rozterek zostawiła wszystko poza sobą. Doskonale zrozumiała, że druga taka okazja się nie nadarzy, że ptak wolności zabiera czarowników ze sobą albo ich pozostawia na zawsze. Don Juan zauważył, że nie było w tym nic dziwnego: siła osobowości naguala jest tak przemożna, że praktycznie nie można się jej oprzeć, a nagual Elias miał znaczny wpływ na tych dwoje. Był z nimi dzień w dzień przez całe trzy miesiące, co wystarczyło im do zapoznania się z jego konsekwencją, niezawisłością i obiektywizmem. Oczarowała ich jego trzeźwość, a przede wszystkim jego całkowite dla nich oddanie. Swoim postępowaniem ukazał im spójny obraz świata magii, w którym można znaleźć opiekę i wsparcie, trzeba jednak sprostać jego wielkim wymaganiom i starać się nie mylić. Don Juan przypomniał mi wówczas to, co często zwykł był powtarzać, a o czym zawsze udawało mi się nie myśleć. Powiedział, że nawet na chwilę nie wolno mi zapomnieć, że ptak wolności bardzo krótko czeka na niezdecydowanych, a kiedy odleci, nigdy nie powraca. Echo jego głosu napawało dreszczem, wprowadzaj napięcie w ciemny spokój jaskini. Uderzając mnie lekko w ramię, don Juan przywołał pogodny nastrój tak szybko, jak wywołał niepokój.

– Ta kobieta miała tak wielką władzę, że potrafiła każdego owinąć sobie wokół palca – powiedział. – Nazywała się Talia.

3. ABSTRAKCJA

Wczesnym rankiem wróciliśmy do domu don Juana. Zejście z góry zajęło nam mnóstwo czasu, głównie dlatego, że w ciemnościach bałem się osunąć ze stromizny, co tak śmieszyło don Juana, że musiał przystawać, by złapać oddech. Byłem wykończony, a mimo to nie mogłem zasnąć. Koło południa zaczęło padać. Bębnienie kropli o dach, zamiast mnie uśpić, przegnało senność. Wstałem, by poszukać don Juana. Drzemał w fotelu. Obudził się, kiedy podszedłem bliżej. Przywitałem się.

– Wygląda na to, że nie masz kłopotu z zaśnięciem – zauważyłem.

– Kiedy się boisz lub jesteś przygnębiony, nie kładź się do łóżka – odrzekł, nie patrząc na mnie. – Śpij jak ja, siedząc w fotelu.

Kiedyś don Juan zasugerował, że powinienem ucinać sobie dłuższe drzemki, leżąc na brzuchu, z głową zwróconą w lewo i stopami wystającymi poza łóżko – taki wypoczynek miał dodawać mi sił. Radził ponadto, bym dla ochrony przed zimnem przykrywał ramiona miękką poduszką, nie zakrywając jednak karku, oraz zakładał grube skarpety albo po prostu spał w butach. Z początku jego propozycja wydała mi się dziwaczna, później zmieniłem zdanie. W tej pozycji spało mi się wyjątkowo dobrze i budziłem się wypoczęty. Kiedy opowiedziałem o tym don Juanowi, zasugerował, bym zawsze skrupulatnie przestrzegał jego wskazówek, nie zastanawiając się, czy są słuszne. Wypomniałem mu, że poprzedniego wieczora nic nie powiedział o spaniu na siedząco. Nie mogłem zasną nie tylko z tego powodu, że byłem bardzo zmęczony, ale też dlatego, że zaintrygowało mnie to, co powiedział w jaskini.

– Daj spokój! – wykrzyknął. – Widziałeś już i słyszałeś rzeczy, które niepokoiły cię bardziej, mimo to spałeś dobrze. Trapi cię coś innego.

Przez chwilę sądziłem, że twierdzi, iż nie wyraziłem mu prawdziwej przyczyny mojego zatroskania. Chciałem to wyjaśnić, ale nie dał mi dojść do głosu.

– Ostatniej nocy w jaskini kategorycznie oświadczyłeś, że nie czujesz się skrępowany – powiedział. – Najwidoczniej było inaczej. Nie omawiałem szerzej kwestii jaskini, bo czekałem, jaka będzie twoja reakcja. Powiedział, że zgodnie z pierwotnym założeniem jaskinia miała służyć jako katalizator. Ściany wydrążono tak, by przystosować ją do pól energetycznych dwojga ludzi. Czarownicy doszli do wniosku, że sama skała i sposób jej wyżłobienia umożliwiają przenikanie się energii dwóch ciał, dwóch świetlistych kul. – Zabrałem cię do tej jaskini – ciągnął – nie dlatego bym lubił to miejsce, bo wcale tak nie jest. Miałem inny cel: pieczara ta ma służyć wprowadzeniu ucznia w stan wzmożonej świadomości. Jest to pomocne, choć z drugiej strony zaciemnia obraz rzeczy. Dawni czarownicy nie skłaniali się ku myśleniu – preferowali działanie.

– Zawsze mówiłeś, że taki był twój dobroczyńca – zauważyłem.

– Trochę z tym przesadziłem – odparł. – Tak jak kiedy mówię, że jesteś głupi. Mój dobroczyńca był nowoczesnym, poszukującym wolności nagualem, skłaniającym się ku działaniu, a nie myśleniu. Ty także jesteś nowoczesnym nagualem, idziesz tą samą ścieżką, jednak bardzo pociągają cię dziwactwa rozumu. To porównanie musiało go bardzo rozbawić. Jego śmiech odbił się echem w pustym pokoju. Kiedy podjąłem temat jaskini, don Juan udał, że mnie nie słyszy – to, że udaje, poznałem po jego oczach i uśmiechu. – Wczoraj w nocy specjalnie opowiedziałem ci pierwszy abstrakcyjny wątek – powiedział – w nadziei, że kiedy zastanowisz się nad moim sposobem postępowania wobec ciebie w ciągu wszystkich tych lat, domyślisz się pozostałych abstrakcyjnych wątków. Jesteśmy razem od tak dawna, że znasz mnie już bardzo dobrze. Starałem się, by w każdej chwili naszego związku moje czyny i myśli odpowiadały przedstawionym w tych wątkach wzorcom. Inaczej jest z opowieścią naguala Eliasa. Na pierwszy rzut oka jej tematem są ludzkie losy, ale naprawdę jest to historia o intencji. To intencja stawia na naszej drodze swoje budowle i zaprasza nas do wejścia – tak czarownicy pojmują to, co się wokół nich dzieje. Don Juan przypomniał mi, że zawsze uparcie próbowałem odkryć tkwiący w jego opowieściach porządek. Pomyślałem, że krytykuje moje próby rozpatrywania jego przekazu w kategoriach nauk społecznych. Chciałem mu wyjaśnić, że moje poglądy zmieniły się pod jego wpływem. Przerwał mi i uśmiechnął się. – Myślenie nie jest twoją mocną stroną – powiedział, wzdychając. – Pragnę, byś pojął porządek moich nauk, sprzeciwiam się jednak twojemu sposobowi rozumienia tego pojęcia. Dla ciebie porządek oznacza tajemne procedury związane niewidocznym spoiwem. Dla mnie porządek stanowią dwie rzeczy: konstrukcje, jakie w

mgnieniu oka stawia przed nami intencja, oraz znaki, jakie nam daje, abyśmy nie zgubili się we wnętrzu tych konstrukcji. jak widzisz, opowieść naguala Eliasa jest nie tylko relacją z następujących po sobie, tworzących zdarzenie szczegółów. Pod tą powłoką kryje się budowla intencji. Historia ta miała dać ci wyobrażenie o nagualach z przeszłości i unaocznić, jak postępowali, by dostosować swoje myśli i działania do budowli intencji.

Zapadła cisza, nie miałem nic do powiedzenia. Dla podtrzymania rozmowy zacząłem mówić o pierwszej rzeczy, jaka mi przyszła do głowy. Stwierdziłem, że po ty co usłyszałem o nagualu Eliasie, polubiłem go i mam o nim dobre zdanie. Natomiast wszystko, czego dowiedziałem się o nagualu Julianie, nie wiadomo dlaczego mnie niepokoiło. Wystarczyło, że o tym napomknąłem, a don Juan się rozpromienił. Zaśmiewał się tak bardzo, że musiał wstać z krzesła, żeby zaczerpnąć tchu. Położył mi rękę na ramieniu i stwierdził, że kochamy albo nienawidzimy tych do których sami jesteśmy łudząco podobni. Byłem tak idiotycznie zakłopotany, że znowu nie spytałem, co ma na myśli. Widać było, że wie, co się ze mną dzieje, bo nie przestawał się śmiać. W końcu oświadczył że nagual Julian był jak dziecko, które trzeba uczyć rozwagi i umiarkowania. Nie miał wewnętrznej dyscypliny – zdobywał ją, ucząc się magii. Ogarnęło mnie niczym nie uzasadnione poczucie, że muszę się bronić. Powiedziałem don Juanowi, że jestem zdyscyplinowany z natury.

– Oczywiście – powiedział protekcjonalnym tonem. – Nie spodziewajmy się, że będziesz do niego podobny w każdym calu. – Powiedziawszy to, znowu wybuchnął śmiechem.

Od czasu do czasu don Juan doprowadzał mnie do takiej rozpaczy, że chciało mi się wyć. Jednak tym razem ten nastrój nie trwał długo – zniknął, ustępując miejsca rozterkom innej natury. Spytałem don Juana, czy jest możliwe, bym wszedł w stan wzmożonej świadomości nie zdając sobie z tego sprawy. Przypuszczałem nawet że trwał on kilka dni.

– W tej fazie rozwoju możesz osiągać wzmożoną świadomość bez niczyjej pomocy – odrzekł. – Ten stan świadomości jest zagadką tylko dla rozumu. Od strony praktycznej nie ma w nim nic niepojętego. Tak jak ze wszystkim, gmatwamy sprawy, próbując przeniknąć rozumem otaczający nas ogrom.

Zauważył, że zamiast toczyć do niczego nie prowadzące spory na temat własnej osoby, powinienem raczej myśleć o przedstawionym mi wątku. Odpowiedziałem, że myślałem o tym cały ranek i doszedłem do wniosku, że alegorycznym przedmiotem opowieści były przejawy ducha, nie potrafiłem jednak rozpoznać wątku. Musiało to być coś nieokreślonego.

– Powtarzam raz jeszcze – powiedział don Juan tonem wykładowcy przepytującego studentów – że przejawy ducha to nazwa pierwszego abstrakcyjnego wątku magicznych historii. Jest jasne, że nie potrafisz go w tej chwili zrozumieć. Część, której nie pojmujesz, zwana jest budowlą intencji, milczącym głosem ducha bądź też ukrytym porządkiem abstrakcji.

Powiedziałem, że dla mnie słowo "ukryty" oznacza coś, co nie zostało wyjawione, jak w sformułowaniu "ukryte pobudki". Don Juan odparł, że w tym przypadku słowo to ma szersze znaczenie: symbolizuje wiedzę, do wyrażenia której nie potrzeba słów, leżącą poza zasięgiem bezpośredniego zrozumienia – z całą pewnością mojego. Chociaż pojęcie tej wiedzy wykraczało poza moje aktualne możliwości, don Juan nie wykluczał, że kiedyś będę do tego zdolny.

– Jeśli nie jestem w stanie pojąć abstrakcyjnych wątków, po co o nich mówić? – spytałem.

– Na tym etapie omawia się wątki i magiczne opowieści, gdyż taka jest reguła postępowania – odpowiedział.

– Pewnego dnia zawarty w opowieściach ukryty porządek abstrakcji, czyli wiedza bez słów albo budowla intencji zostanie ci objawiony przez same historie. Nadal nic nie rozumiałem.

– Ukryty porządek abstrakcji to nie kolejność przedstawiania abstrakcyjnych wątków – wyjaśnił don Juan – ani ich wspólne elementy, ani też osnuta wokół nich intryga. Chodzi o bezpośredni wgląd w abstrakcję, bez udziału języka. Przyjrzał mi się badawczo. Zrozumiałem, że chce mnie ujrzeć.

– Nie pojmujesz tego jeszcze – oświadczył. Zrobił gest wyrażający zniecierpliwienie, a może zdenerwowanie, jakby rozzłościła go moja powolność. Zaniepokoiło mnie to, albowiem okazywanie oznak niezadowolenia nie leżało w naturze don Juana.

– Nie ma to nic wspólnego z tobą ani z tym, co robisz – odpowiedział, kiedy spytałem, czy rozzłościłem go lub rozczarowałem. – Kiedy cię zobaczyłem, pomyślałem, że twoja świetlista istota posiada pewną cechę, za którą dawni czarownicy oddaliby wszystko.

– Powiedz mi, co to takiego – nalegałem.

– Kiedy indziej – odrzekł. – Tymczasem zajmijmy się motorem naszego działania: abstrakcją, bez której nie byłoby ścieżki wojownika ani samych wojowników po szukujących wiedzy. Powiedział, że moje kłopoty nie są mu obce – sam przeszedł męki, by zrozumieć ukryty porządek abstrakcji. Stwierdził, że gdyby nie pomoc naguala Eliasa, skończyłby jak nagual Julian, który działał, ale niewiele rozumiał.

– Jaki był nagual Elias? – spytałem, zmieniając temat.

– Nie był podobny do swojego ucznia – odpowiedział don Juan. – Był krępym Indianinem, miał bardzo ciemną skórę, grube rysy, duże usta, wydatny nos, małe. czarne oczy i mocne czarne włosy bez śladu siwizny. Nie był tak wysoki jak nagual Julian, miał za to wielkie dłonie i stopy. Był człowiekiem skromnym i bardzo mądrym, ale brakowało mu iskry. W porównaniu z moim dobroczyńcą był nudziarzem. Ciągle samotny, stale zadający sobie pytania. Nagual Julian często opowiadał w żartach, że był przez swojego nauczyciela zalewany mądrością, i dlatego, za jego plecami, nazywał go "nagualem Lawiną". Nie mogłem zrozumieć tych dowcipów. Dla mnie nagual Elias był niczym powiew świeżego powietrza. Wszystko cierpliwie mi tłumaczył, tak jak ja tłumaczę tobie. W jego wyjaśnieniach było coś jeszcze – nie nazwałbym tego współczuciem, lecz wczuwaniem się w położenie drugiej osoby. Wojownik nie zna współczucia, ponieważ nie rozczula się nad sobą. Bez siły napędowej, jaką jest litość dla siebie samego, współczucie traci sens.

– Chcesz powiedzieć, że wojownik żyje tylko dla siebie?

– Tak, w pewnym sensie. Wojownik sam jest początkiem i końcem wszystkiego. Jednak styczność z abstrakcją pomaga mu przezwyciężyć próżność, jego własna jaźń staje się czymś oderwanym i bezosobowym. Nagual Elias miał wrażenie, że jestem do niego podobny, jeśli chodzi o życiowe przejścia i usposobienie. Dlatego uważał, że musi mi pomóc. Co do ciebie, nie czuję, by łączyło nas wiele. Z tego powodu odnoszę się do ciebie mniej więcej tak, jak traktował mnie mój dobroczyńca. Następnie don Juan powiedział, że nagual Elias wziął go pod swoje skrzydła w tym samym dniu, w którym na naukę do swego domu przyjął go nagual Julian. Nagual Elias wyjaśniał don Juanowi, na czym polega jego szkolenie; nie zważając, czy ten w ogóle coś pojmuje. Tak bardzo chciał mu pomóc, że na dobrą sprawę uwięził go, ochraniając w ten sposób przed brutalnymi napaściami naguala Juliana.

– Z początku stale przesiadywałem w domu naguala Eliasa – opowiadał don Juan. – Uwielbiałem to. W domu mojego dobroczyńcy ciągle musiałem być czujny, mieć się na baczności, ustawicznie bałem się, że może znowu coś dla mnie szykować. U naguala Eliasa byłem rozluźniony i pewny siebie, mój dobroczyńca zaś bez litości przykręcał mi śrubę. Nie potrafiłem pojąć, dlaczego stawia mi tak bezwzględne wymagania. Sądziłem, że jest po prostu szalony. Don Juan powiedział, że nagual Elias był Indianinem ze stanu Oaxaca. Jego z kolei nauczycielem był pochodzący z tych samych okolic nagual o imieniu Rosendo. Nagual Elias był człowiekiem bardzo konserwatywnym, chroniącym swą prywatność, niemniej zyskał sobie sławę jako uzdrawiacz i czarownik nie tylko w Oaxaca, ale na całym południu Meksyku. Pomimo rozgłosu i ciągłych zajęć wiódł samotne życie na drugim końcu kraju, w północnym Meksyku. Don Juan przerwał swą opowieść. Uniósł brwi i wpatrywał się we mnie pytająco. Ja jednak chciałem tylko, by mówił dalej.

– Ilekroć spodziewam się, że zadasz mi pytanie, ty milczysz – powiedział. – Słyszałeś przecież, że nagual Elias jako sławny czarownik codziennie stykał się z ludźmi na południu Meksyku, a jednocześnie żył jak pustelnik na północy. Czy to cię nie zaciekawiło? Poczułem się jak ostatni tuman. Odpowiedziałem, iż kiedy słuchałem, przeszło mi przez myśl, że nagual Elias musiał mieć straszne kłopoty z dojazdami. Don Juan jedynie się zaśmiał. Zadałem mu pytanie, które mi zasugerował: jak było możliwe, że nagual Elias był w dwóch miejscach naraz.

– Samolotem, którego używają czarownicy, jest śnienie – odpowiedział. – Podczas gdy mój dobroczyńca był tropicielem, nagual Elias był marzycielem. Potrafił wytworzyć widziane przez innych śniące ciało (które czarownicy nazywają także Tym Innym) i być naraz w dwóch odległych miejscach. Dzięki śniącemu ciału mógł prowadzić aktywne życie czarownika, podczas gdy jego prawdziwe ja żyło na odludziu. Powiedziałem, że dziwi mnie, iż z łatwością mogę uwierzyć w zdolność naguala Eliasa do emanacji materialnego, trójwymiarowego obrazu własnej osoby, a zupełnie nie potrafię zrozumieć abstrakcyjnych wątków. Don Juan odrzekł, że potrafię dać wiarę podwójnemu życiu naguala, ponieważ duch sprawił w końcu, że moja świadomość się pogłębiła. Stwierdzenie to wydało mi się tak nieczytelne, że: gorąco zaprotestowałem.

– To jest zupełnie jasne – oświadczył. – To stwierdzenie faktu. Powiesz zapewne, że nie rozumiesz

tego faktu. Uwierz mi, że to się zmieni. Nie zdążyłem nic odpowiedzieć, bo don Juan podjął przerwaną opowieść o nagualu Eliasie. Stary nagual był człowiekiem dociekliwym i sprawnym manualnie. W podróżach, które odbywał jako marzyciel, widział wiele przedmiotów. Ich kopie wykonywał potem w drewnie i żelazie. Don Juan zapewnił mnie, że niektóre z tych modeli cechowało niepokojące, wyjątkowe piękno.

– Czym były te przedmioty, które kopiował nagual Elias? – spytałem zaintrygowany.

– Któż to może wiedzieć? – odparł don Juan. – Weź pod uwagę, że nagual Elias był Indianinem – rozpoczynał swe Śniące Podróże jak dzikie zwierzę szukające pożywienia. Zwierzęta nie zbliżają się do żerowiska, kiedy wyczują tam czyjąś obecność. Czekają, aż zostaną same. Nagual Elias, samotny marzyciel, przychodził na to, jak można powiedzieć, złomowisko nieskończoności, kiedy nikogo tam nic było. To, co ujrzał, kopiował, nie wiedział jednak wcale, skąd wzięły się tam te przedmioty ani do czego służyły.

I znowu bez trudu przyjąłem do wiadomości jego słowa. Historia ta nie wydała mi się ani trochę naciągnięta. Chciałem podzielić się tym spostrzeżeniem z don Juanem, lecz on dał mi znać ściągnięciem brwi, bym zamilkł, i kontynuował opowieść o nagualu Eliasie.

– Przepadałem za wizytami u niego – rzekł. – Jednocześnie, kiedy go odwiedzałem, nic opuszczało mnie dziwne poczucie winy. Nudziłem się tam śmiertelnie wcale nie dlatego, że towarzystwo starego naguala było nieciekawe. Po prostu nagual Julian nie miał sobie równych – potrafił zmienić każdego w rozkapryszone dziecko.

– Myślałem, że w domu naguala Eliasa czułeś się rozluźniony i pewny siebie – powiedziałem.

– Tak było w istocie i to właśnie stało się źródłem mojego poczucia winy i urojonego problemu. Podobnie jak ty, uwielbiałem się dręczyć. Wydaje mi się, że na samym początku w towarzystwie naguala Eliasa odnalazłem spokój, jednak później, kiedy lepiej zrozumiałem naguala Juliana, poszedłem właśnie jego drogą. Don Juan powiedział, że we frontowej części domu naguala Eliasa znajdowała się weranda, na której urządzona była kuźnia, warsztat stolarski oraz schowek na narzędzia. Pokryty dachówką dom z suszonej na słońcu cegły składał się z jednego pokoju z klepiskiem, gdzie nagual mieszkał z pięcioma wróżkami, które tak naprawdę były jego żonami. Było tam też czterech jego towarzyszy, czarowników jasnowidzów, mieszkających w małych chatkach otaczających jego dom. Mężczyźni ci byli Indianami, którzy przywędrowali do północnego Meksyku z różnych części kraju.

– Nagual Elias miał wielki respekt dla energii seksualnej – powiedział don Juan. – Uważał, że została nam dana, byśmy przy jej pomocy śnili. Sądził też, że śnienie idzie w niepamięć, gdyż może zaburzyć równowagę umysłu osób wrażliwych. Uczyłem cię śnienia tak samo, jak on uczył mnie. Od niego dowiedziałem się, że w czasie snu nasz punkt scalający porusza się w łagodny, naturalny sposób. Równowaga umysłu to nic innego jak utrzymywanie punktu scalającego w miejscu, do którego przywykliśmy. Jeśli weźmiemy pod uwagę, że we śnie punkt ten się porusza, śnienie służy kontroli tego naturalnego ruchu, a do śnienia niezbędna jest energia seksualna, stanie się jasne, że rozpraszanie tej energii we współżyciu płciowym zamiast wykorzystywania jej do śnienia może doprowadzić do katastrofy. W podobnej sytuacji punkt scalający zaczyna poruszać się bezładnie, a marzyciel popada w obłęd.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – spytałem, nie mogąc się oprzeć wrażeniu, że rozmowa nie zeszła na temat śnienia przypadkowo.

– Ty jesteś marzycielem – oświadczył don Juan. – Jeżeli nie będziesz ostrożnie wydatkował swojej energii seksualnej, musisz liczyć się z możliwością, że twój punkt scalający będzie się przemieszczał bezładnie. Przed chwilą byłeś zaskoczony własną reakcją. Niewiele brakuje, by twój punkt scalający zaczął się chaotycznie poruszać. Wszystkiemu winna jest twoja niezrównoważona energia seksualna. Zrobiłem głupią i niestosowną uwagę na temat życia seksualnego dorosłych mężczyzn.

– Energia seksualna kieruje śnieniem – wyjaśnił don Juan. – Nagual Elias uczył mnie, tak jak ja ciebie, że albo marnujesz tę energię na seks, albo wykorzystujesz ją do śnienia. Nie ma innej możliwości. Wspominam o tym dlatego, że tak trudno jest ci przesunąć swój punkt scalający w miejsce, w którym pojmiesz nasz ostatni temat: abstrakcję. To sarno działo się ze mną. Dopiero kiedy wyzwoliłem moją energię seksualną z więzów świata, wszystko znalazło swoje miejsce. Tak się sprawy mają z marzycielami. Inaczej jest z tropicielami. Będąc nagualem, mój dobroczyńca pozostał takim samym, jak można by to określić, rozpustnikiem, jak wtedy, gdy był zwykłym śmiertelnikiem. Zdawało mi się, że don Juan ma zamiar opowiedzieć mi o czynach swojego dobroczyńcy, ale najwidoczniej zmienił zdanie. Potrząsnął głową i oznajmił, że jestem zbyt sztywny, by przyjąć takie

rewelacje. Nie nalegałem Później don Juan powiedział, że nagual Elias był obdarzony trzeźwością umysłu, do jakiej mógł dojść po niewyobrażalnych zmaganiach z samym sobą tylko marzyciel. Wykorzystywał tę trzeźwość, kiedy całym sercem odpowiadał na pytania don Juana.

– Nagual Elias wyjaśnił mi, że miał podobne do moich trudności ze zrozumieniem ducha – ciągnął don Juan. – Uważał, że należy tu wyróżnić dwa aspekty: pośrednie zrozumienie, czym duch jest, oraz bezpośrednie jego pojęcie. Twój problem dotyczy pierwszej kwestii. Kiedy ją zrozumiesz, druga sama się rozwiąże – i na odwrót. Jeśli duch przemówi do ciebie bezgłośnie, z pewnością będziesz natychmiast wiedział, czym jest.

Don Juan powiedział, że według naguala Eliasa cały problem polega na naszym oporze wobec koncepcji, zgodnie z którą istnieje wiedza nie dająca się objaśnić słowami.

– Ale przecież akceptuję to bez trudu – zaprotestowałem.

– Do przyjęcia tej tezy nie wystarczy powiedzieć, że się ją akceptuje – odparł don Juan. – Nagual Elias mówił mi, że cała ludzkość odeszła od abstrakcji. Można przyjąć, że kiedyś abstrakcja była siłą podtrzymującą nas przy życiu. Później musiało się zdarzyć coś, co nas od niej odciągnęło, tak że nie jesteśmy w stanie do niej powrócić. Mawiał często, że adeptowi sztuki magii powrót do abstrakcji, czyli poznanie, że wiedza i język mogą istnieć niezależnie od siebie, zabiera całe lata. Don Juan powtórzył, że jest nam tak trudno powrócić do abstrakcji przede wszystkim dlatego, iż nie chcemy zaakceptować tego, że można posiąść wiedzę, nie posługując się przy tym językiem ani nawet myślą. Chciałem mu wytknąć bezsens jego słów, lecz nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że oto wymyka mi się coś bardzo dla mnie ważnego. Don Juan naprawdę chciał mi przekazać coś, czego nie mogłem pojąć, a może coś, czego nie da się do końca nazwać.

– Wiedza i język są odrębnymi całościami – powtórzył miękko. Już miałem powiedzieć: "Wiem o tym", tak jakbym istotnie wiedział, jednak ugryzłem się w język.

– Mówiłem ci już, że nie da się opisać ducha – kontynuował don Juan – ponieważ można go tylko doświadczyć. Dobrze zostało to ujęte w powiedzeniu czarowników: duch jest czymś, czego nie sposób zobaczyć ani dotknąć, co jednak zawsze jest blisko nas. Duch czasami przychodzi do niektórych z nas, ale najczęściej wydaje się obojętny. Siedziałem cicho, a don Juan mówił dalej. Powiedział, że duch w dużym stopniu przypomina dzikie zwierzę – trzyma się z dala od nas, dopóki coś go nie zachęci do zrobienia kroku naprzód. Wtedy właśnie się nam ukazuje. Stwierdziłem, że skoro duch jest czymś, czego nie można zobaczyć ani wyczuć i co pozbawione jest immanentnych właściwości, nie rozumiem, jak można go zwabić. – Twój problem polega na tym -odparł don Juan – że bierzesz pod uwagę tylko własną koncepcję abstrakcji. Na przykład, "wewnętrzna natura człowieka" albo "podstawowa zasada" są dla ciebie abstrakcjami. A może raczej są nimi dla ciebie pojęcia mniej mgliste, jak charakter, wola, odwaga, godność czy honor. Oczywiście, ducha można opisać w tych kategoriach. I to właśnie jest tak mylące: właściwości ducha można oddać wszystkimi tymi określeniami, a jednocześnie żadnym z nich. Dodał jeszcze, że w moim rozumieniu pojęciami oderwanymi są albo przeciwieństwa praktycznych czynności, albo nierzeczywiste, w moim mniemaniu, obiekty. – Natomiast dla czarownika abstrakcją jest to, co nie posiada odpowiednika w ludzkim świecie – zakończył.

– To przecież to samo! – wykrzyknąłem. – Czy nie widzisz, że mówimy o jednym i tym samym?

– Nie, to nieprawda – stwierdził stanowczo.

– Czarownicy uważają ducha za abstrakcję po prostu dlatego, że poznają go bez użycia słów czy nawet myśli; dlatego, że nie potrafią pojąć, czym duch jest. Wiedzą, że nie da się go ogarnąć rozumem, nawet tego nie pragną. Mimo to władają nim: rozpoznają go, przywołują, wabią, oswajają, a także wyrażają swoimi czynami. Pokręciłem głową, doprowadzony do rozpaczy. Nie mogłem zrozumieć, na czym polega różnica.

– Mogło cię wprowadzić w błąd to, że terminem "abstrakcja" opisałem ducha – powiedział don Juan. – Abstrakcje to dla ciebie słowa oddające stany intuicyjne. Przykładem może być słowo "duch", które nie ma odpowiednika w praktycznych doświadczeniach. To oczywiste, że jedynym dla ciebie pożytkiem z tego słowa jest czynienie zadość twoim upodobaniom. Byłem na niego wściekły. Nazwałem go uparciuchem, co go tylko rozśmieszyło. Radził, bym zastanowił się nad tym, że może istnieć wiedza niezależna od języka. Jeżeli przemyślę tę koncepcję, nie troszcząc się o jej zrozumienie, być może coś zaświta mi w głowie.

– Musisz wiedzieć – powiedział – że kiedy się poznaliśmy, najważniejsze nie było to, że zetknąłeś się z moją osobą. Tego dnia, kiedy się poznaliśmy, napotkałeś abstrakcję. Jednak ponieważ nie

potrafiłeś opisać tego słowami, umknęło to twojej uwadze. Czarownicy stykają się z abstrakcją, nie myśląc o niej, nie widząc jej ani nie dotykając, ani też nie czując jej obecności.

Nie miałem ochoty się z nim spierać, więc siedziałem cicho. Od czasu do czasu nachodziła mnie myśl, że don Juan celowo niejasno się wyraża. Wyglądało na to, że bawi się doskonale.

4. OSTATNI ROMANS NAGUALA JULIANA

Na patio domu don Juana było chłodno i cicho jak na klasztornym krużganku. Rosło tam blisko siebie kilka dużych drzew owocowych, które dawały przyjemny chłód i tłumiły wszelkie hałasy. Kiedy po raz pierwszy się tam zjawiłem, skrytykowałem ich nielogiczne rozmieszczenie: miały za mało miejsca. Don Juan odpowiedział, ż drzewa te nie należą do niego i że są one wolnymi i niezawisłymi drzewnymi wojownikami, którzy wstąpili do jego kompanii. Moje uwagi, odpowiednie w przypadku zwykłych drzew, tu były nie na miejscu. Uznałem to wtedy za zwykłą metaforę. Nie wiedziałem, że don Juan wszystko, co mówi, traktuje dosłownie Teraz oto siedzieliśmy na trzcinowych fotelach, twarzą zwróceni do ciężkich od owoców drzew. Wspomniałem, że to równie piękny, co intrygujący widok, ponieważ nie jest to pora owocowania.

– Jest z tym związana pewna ciekawa historia – przyznał don Juan. – Jak wiesz, drzewa te są moimi towarzyszami-wojownikami. Obrodziły, ponieważ niedawno tu, w ich obecności, wszyscy moi towarzysze mówili, co myślą i czują o naszej ostatniej podróży. Teraz drzewa już wiedzą, że kiedy ruszymy w ostatnią podróż, weźmiemy je ze sobą. Patrzyłem na niego zdumiony.

– Nie mogę ich tu zostawić – wyjaśnił don Juan. One także są wojownikami. Związały swoje losy z naszą grupą wojowników. Poza tym wiedzą, co do nich czuję. Ich punkty scalające leżą bardzo nisko w ich olbrzymich świetlistych powłokach. Dzięki temu znają nasze uczucia, na przykład to, które ogarnia nas teraz, kiedy omawiamy moją ostateczną podróż. Milczałem, ponieważ nie chciałem roztrząsać tego zagadnienia. Następne słowa don Juana rozproszyły jednak moje obawy.

– Drugi abstrakcyjny rdzeń magicznych historii nazywa się "pukaniem ducha do drzwi" – zaczął. – Pierwszy rdzeń, "przejawy ducha", to konstrukcja, jaką intencja tworzy i stawia na drodze czarownika, po czym zaprasza go do wejścia. Jest to budowla intencji widziana przez czarownika. "Pukanie ducha" jest tą samą konstrukcją widzianą oczyma początkującego, którego zaprasza się, a raczej zmusza, do wejścia. Drugi abstrakcyjny wątek mógłby być historią samą w sobie. Jak wiemy, kiedy duch ukazał się człowiekowi, ten nie zareagował. Duch zastawił wtedy na niego pułapkę. Uciekł się do fortelu nie dlatego, by osobnik ten miał jakieś szczególne właściwości – niezrozumiały łańcuch wydarzeń zetknął ich po prostu ze sobą, kiedy duch zapukał do drzwi. Jest oczywiste, że żaden z przejawów ducha nic trafił człowiekowi do przekonania. Tak naprawdę były przeciwieństwem wszystkiego, co wiedział i czym był. Nic dziwnego, że nasz śmiertelnik kategorycznie i niezwłocznie odmówił wszelkiego kontaktu z duchem. Nie zamierzał dać się nabrać na tego rodzaju dziwaczne bzdury – sam wiedział lepiej, co dla niego dobre. Jednym słowem, obydwaj znaleźli się w impasie.

– Wiesz, to idiotyczna historia – oświadczył don Juan niespodziewanie. – Powiem ci nawet, że cała ta opowieść służy ukojeniu tych, których niepokoi cisza abstrakcji. Przyglądał mi się chwilę, po czym się uśmiechnął. – Lubisz słowa – powiedział oskarżycielskim tonem. – Przeraża cię samo wspomnienie o milczącej wiedzy, natomiast najgłupsze nawet historie wprawiają cię w błogi nastrój i zapewniają poczucie bezpieczeństwa. Jego filuterna mina tak mnie rozbawiła, że wybuchnąłem śmiechem. Potem don Juan przypomniał mi, że opowiadał mi już szczegółowo, jak to duch zapukał do jego drzwi. Przez chwilę nie mogłem pojąć, o czym mówi.

– Nie chodzi tylko o to, że kiedy umierałem od postrzału, natknął się na mnie mój dobroczyńca – wyjaśnił.– Tego dnia odszukał mnie i zapukał do mnie sam duch. Mój dobroczyńca zrozumiał, że znalazł się w tym miejscu, by stać się medium dla ducha. Bez interwencji ducha moje spotkanie z nagualem Julianem nie miałoby znaczenia. Don Juan powiedział jeszcze, że nagual może stać się medium, o ile wcześniej duch da znak, że można się nim posłużyć. Znak ten może być ledwie zauważalnym zjawiskiem albo zupełnie bezpośrednią komendą. Z tego powodu żaden nagual nie może planować ani decydować. kto zostanie jego uczniem. Natomiast kiedy duch ujawni poprzez znaki swoją wolę, nagual nie poskąpi trudu dla jej wypełnienia.

– Dzięki długotrwałej praktyce – ciągnął don Juan – czarownicy, a zwłaszcza nagualowie, uczą się rozpoznawać, czy duch zaprasza ich do wejścia do wznoszących się przed nimi budowli; potrafią zapanować nad więzią łączącą ich z intencją. Zawsze uprzedzają rozwój wydarzeń – wiedzą, co duch dla nich szykuje. Don Juan oświadczył, że rozwój czarownika jest drastycznym procesem mającym na celu oczyszczenie więzi z duchem. Połączenie to u zwykłego człowieka jest praktycznie niewykorzystane, a sami czarownicy z początku nie mają żadnego pożytku ze swej więzi, gdyż nie poddaje się ona ich woli. Podkreślił, że aby czarownicy mogli uaktywnić swoją więź, muszą mieć

nieskrępowane i niezachwiane postanowienie – szczególny stan umysłu zwany niezłomną intencją. Źródłem niezłomnej intencji może być jedynie nagual. Akceptacja tego faktu jest jedną z większych trudności, jakie napotyka uczeń w czasie pobierania nauki Nie mogłem dostrzec w tym nic trudnego. – Uczniem można nazwać osobę dążącą do oczyszczenia i uczynnienia swej więzi z duchem – wyjaśnił don Juan. – Kiedy więź uczynnia się, osoba ta przestaje być uczniem. Zanim do tego dojdzie, praktykantowi, aby mógł czynić postępy, potrzeba nieskrępowanej woli, której, oczywiście, nie posiada. Uczeń może wówczas przyjąć ją od naguala, a także, z jego pomocą, odrzucić swoją osobowość. Don Juan przypomniał mi jeszcze raz, że w świecie magii niechętnie widzi się ochotników, jako że ci mają własne postanowienia, przez co wyjątkowo trudno im odrzucić swoją osobowość. Kiedy świat magii domaga się od nich myślenia i działania przeciwstawnego ich własnym zamierzeniom, ochotnicy po prostu opierają się zmianie.

– Uczynnienie więzi ucznia jest dla naguala największym wyzwaniem i najciekawszą częścią jego pracy – ciągnął don Juan – i jednocześnie jego największym problemem. Jest oczywiste, że od osobowości naguala zależy, czy plany ducha będą skromne, czy też przybiorą kształt skomplikowanych labiryntów.

Don Juan zapewnił mnie, że chociaż mógłbym mieć na ten temat odmienne zdanie, nie jestem wcale trudnym uczniem. Jego dobroczyńca miał z nim dużo więcej problemów. Przyznał, że mam trochę dyscypliny wewnętrznej, która przydaje się od czasu do czasu. Jemu samemu brakowało samozaparcia, a jego dobroczyńca miał go jeszcze mniej.

– Ma to znaczenie w przypadku przejawów ducha – kontynuował. – czasami trudno je w ogóle dostrzec. Je żeli o mnie chodzi, przejawy te przyjęły postać rozkazów. Zostałem postrzelony, krew wylewała się z dziury w mojej piersi. Mój dobroczyńca musiał działać szybko i pewnie, tak jak z nim postępował jego dobroczyńca. Czarownicy wiedzą, że im trudniejszy do wykonania jest rozkaz, tym więcej będą mieć kłopotów z przyszłym uczniem.

Do największych korzyści, jakie wyniósł z kontaktów z dwoma nagualami, don Juan zaliczył możność usłyszenia tych samych historii opowiedzianych z przeciwstawnych punktów widzenia. Dla przykładu, opowieść o nagualu Eliasie i przejawach ducha stawała się z perspektywy ucznia skomplikowaną historią o pukaniu ducha do drzwi młodego aktora.

– Wszystko, co wiązało się z moim dobroczyńcą, było bardzo zagmatwane – powiedział don Juan i wybuchnął śmiechem. – Kiedy miał dwadzieścia cztery lata, duch właściwie nie tyle zapukał do jego drzwi, ile je wyważył. Cała historia zaczęła się wiele lat wcześniej, kiedy dobroczyńca don Juana był przystojnym młodzieńcem pochodzącym z przyzwoitej stołecznej rodziny. Był majętny, wykształcony, czarujący i zniewalający. Kobiety kochały się w nim od pierwszego wejrzenia. Lubił sobie pobłażać i nie miał za grosz samodyscypliny. Wymigiwał się od wszystkiego, co nie przynosiło mu natychmiastowej korzyści.

Był jedynym synem bogatej wdowy, miał cztery kochające siostry. Wszystkie te kobiety świata poza nim nie widziały. Został przez nie tak wychowany, że przy swoim usposobieniu mógł zachowywać się tylko w jeden sposób: pozwalał sobie na wszystko, co wychodziło poza przyjęte normy. Jego równie rozwydrzeni koledzy uważali go za degenerata, którego życiowym celem były nie etyczne postępki. Ciągłe wybryki osłabiły go fizycznie. Zapadł na gruźlicę, śmiertelne przekleństwo tamtych czasów. Choroba nie poskromiła go, przeciwnie: stał się jeszcze bardziej wyuzdany. Ponieważ nie miał ani odrobiny samokontroli, oddał się rozpuście bez reszty. Zrujnował zdrowie i nie było już dla niego ratunku. Nieszczęścia zazwyczaj chodzą parami – to powiedzenie potwierdziło się w przypadku dobroczyńcy don Juana. Kiedy podupadł na zdrowiu, odeszła jego matka jedyna osoba, która dawała mu wsparcie i poskramiała jego zapędy. Zostawiła mu w spadku pokaźny majątek który powinien był mu wystarczyć do końca życia. Ponieważ jednak nie miał za grosz dyscypliny wewnętrznej, przepuścił wszystko w kilka miesięcy. Bez zawodu i źródła utrzymania, mógł już tylko żyć na cudzy rachunek. Niestety, kiedy brakło pieniędzy, przyjaciele go opuścili. Nawet kobiety, które kiedyś go kochały, teraz od wróciły się od niego. Po raz pierwszy w życiu stanął twarzą w twarz z przykrą rzeczywistością. Jego stan zdrowia nie wróżył mu długiego życia. On jednak umiał utrzymać się na powierzchni – by zarobić na życie, po stanowił pracować. Nie potrafił jednak zmienić swoich upodobań do cielesnych uciech. Pod ich wpływem w poszukiwaniu pracy udał się do jedynego miejsca, w jakim czuł się swojsko: do teatru. Aktorskie pozy miał we krwi, a większość dorosłego życia spędził w towarzystwie aktorek – były to wystarczające kwalifikacje. Wstąpił do prowincjonalnej trupy teatralnej występującej z dala od kręgu jego przyjaciół i znajomych. Był aktorem grającym na uczuciach, suchotniczym bohaterem sztuk moralnych i religijnych. Don Juan zwrócił mi uwagę na ironię losu w życiu jego dobroczyńcy. Oto on, zatwardziały grzesznik, który umierał na skutek swojej rozwiązłości, odgrywał

role świętych i mistyków. Zdarzyło mu się nawet grać Jezusa w wielkanocnym widowisku pasyjnym. Zdrowie dopisywało mu jeszcze, kiedy ze swym teatrem objeżdżał północne stany. W mieście Durango zaszły dwa ważne zdarzenia; młody aktor stanął u kresu swoich dni, a do jego drzwi załomotał duch. Śmierć nadeszła równocześnie z pukaniem ducha. Za stała go w biały dzień, kiedy romansował w zaroślach z młodą kobietą. Był wtedy bardzo osłabiony, a tego dnia mocno się nadwerężył. Pełna życia i werwy, zakochana do szaleństwa dziewczyna obietnicą współżycia nakłoniła go, by poszedł z nią w odległe, opuszczone miejsce. Kiedy tam przybyli, ze wszystkich sił opierała mu się całymi godzinami. Kiedy w końcu uległa, był kompletnie wyczerpany, kaszlał tak bardzo, że ledwie oddychał. przy ostatnim namiętnym uścisku poczuł rwący ból w łopatce. Miał wrażenie, że coś rozdziera mu pierś, a gwałtowny kaszel przyprawił go o mdłości. Nie potrafił jednak zapanować nad swym dążeniem do przyjemności – nie zatrzymał się ani na chwilę. Wtedy, przybrawszy postać krwotoku, nadeszła śmierć. Duch pojawił się w tej samej chwili, zrodzony przez człowieka, który przybył z pomocą. Już wcześniej młody aktor zauważył, że śledzi ich jakiś Indianin, ale potem zapomniał o nim, pochłonięty namiętnością. Widział dziewczynę jak we śnie. Była pewna siebie i opanowana. Ubrała się szybko i sprawnie, po czym oddaliła się błyskawicznie jak ścigany zając. Widział też Indianina, który podbiegł do niego i próbował go podnieść. Słyszał, jak tamten plecie jakieś bzdury, poświęca się opiece ducha i bełkocze niezrozumiałe słowa w obcym języku. Potem Indianin szybko wziął się do rzeczy – stanął za umierającym i mocno uderzył go w plecy. Ponieważ młody człowiek był jeszcze wtedy w pełni władz umysłowych, doszedł do wniosku, że tubylec albo próbuje go zabić, albo chce przemieścić skrzep. Gdy Indianin zaczął go rytmicznie walić po plecach, młodzieniec był już przekonany, że obcy mężczyzna jest albo kochankiem, albo mężem kobiety i właśnie próbuje pozbawić go życia. Ujrzawszy błyszczące oczy tamtego, zmienił zdanie – zrozumiał, że Indianin jest po prostu szalony i nic go nie łączy z dziewczyną. Ostatnim wysiłkiem woli skoncentrował się na jego bełkotliwych słowach. Indianin mówił o niezmierzonej potędze człowieka, o śmierci, która istnieje tylko dlatego, że z chwilą przyjścia na świat uczyniliśmy ją swym celem, o tym, że intencję śmierci można wytłumić, zmieniając pozycję punktu scalającego. Młodzieniec nie miał już wątpliwości, że tubylec jest skończonym wariatem. Sytuacja, w której się znalazł, tak bardzo przypominała sztukę teatralną oto umierał od ciosów szalonego, mamroczącego idiotyzmy Indianina – że przyrzekł sobie pozostać do samego końca aktorem. Postanowił, że nie zabije go krwotok ani uderzenia – zdecydował, że umrze ze śmiechu. I tak śmiał się i śmiał, aż w końcu umarł. Było oczywiste, że dobroczyńca don Juana nie mógł wziąć Indianina serio. Nikt nie potraktowałby takiej osoby poważnie, a już na pewno nie przyszły uczeń, któremu przecież nie dane było otrzymać magicznego zadania z własnej woli. Don Juan stwierdził, że przedstawił mi już kilka wersji magicznego zadania. Powiedział, że zapewne nie urazi tym nikogo, Jeśli opisze je teraz z punktu widzenia ducha – w takim ujęciu polega ono na oczyszczaniu łączącej nas z duchem więzi. W tym sensie budowla, którą stawia przed nami intencja, Jest bankiem informacji, gdzie nie tyle dowiadujemy się, jak oczyścić naszą więź, ile zdobywamy milczącą wiedzę, dzięki której więź oczyści się sama. Bez tej milczącej wiedzy nie moglibyśmy sprawnie działać pozostałaby nam jedynie nieokreślona tęsknota. Wyjaśnił, że wydarzenia inicjowane przez czarowników za sprawą milczącej wiedzy są wprawdzie bardzo proste, ale tak trudne do zrozumienia, że czarownicy dawno temu postanowili używać na ich określenie wyłącznie przenośni w rodzaju "przejawów ducha" czy pukania ducha do drzwi". Don Juan stwierdził, że na przykład nie da się sensownie opisać tego, co dzieje się podczas pierwszego spotkania nagualа z przyszłym uczniem. Byłoby absurdem wyjaśniać, że nagual koncentruje coś, czego nie sposób sobie wyobrazić, a mianowicie swoją wtórną uwagę – zdobytą dzięki długoletniej praktyce w sztuce magii wzmożoną świadomość – na niewidzialnym połączeniu z ja kimś nieokreślonym, abstrakcyjnym obiektem. W dodatku wszystko to czyni w tym celu, by uwydatnić i oczyścić czyjąś równie niewidoczną więź z tym abstrakcyjnym przedmiotem. Don Juan zwrócił uwagę, że w każdym z nas istnieją wrodzone bariery, które oddzielają nas od milczącej wiedzy. Największą z moich barier była według niego skłonność do ukrywania zadowolenia z siebie pod maską nie zależności. Nalegałem, by podał mi jakiś konkretny przykład Przypomniałem mu, że sam mnie kiedyś przestrzegał przed typowym, stosowanym w dyskusjach wybiegiem jakim jest ogólny krytycyzm nie poparty konkretnymi przykładami. Don Juan spojrzał na mnie i rozpromienił się.

– Kiedyś dawałem ci do zażywania obdarzone mocą rośliny – powiedział. – Początkowo usilnie próbowałeś przekonać siebie, że twoje doświadczenia są tylko halucynacjami. Potem uznałeś, że są to halucynacje o szczególnym znaczeniu. Pamiętam, że śmieszył mnie twój upór, z jakim nazywałeś je dydaktycznymi przeżyciami halucynacyjnymi.

Potem don Juan dodał, że moja potrzeba udowodnienia sobie urojonej niezależności zostawiła mnie w sytuacji bez wyjścia: nie umiałem pogodzić się z jego interpretacją moich doznań, choć jednocześnie po cichu z nim zgadzałem. Zrozumiałem, że rośliny te mają ograniczone zastosowanie –

don Juan za ich pomocą zmieniał pozycje mojego punktu scalającego, wprowadzał mnie na jakiś czas w stan całkowicie lub częściowo wzmożonej świadomości.

– Bariera niezależności pomogła ci wtedy w pokonaniu tej trudności – ciągnął don Juan. – Jednak aż do dzisiaj bariera ta stoi nienaruszona. To ona jest powodem tego nieokreślonego cierpienia, które cię nęka. Nie mogę się nadziwić, w jaki sposób zawsze udaje ci się naciągnąć wnioski płynące z twoich kolejnych doświadczeń tak, byś wiecznie był zadowolony z siebie. Przyznałem, że moim jedynym sposobem na zachowa nie niezależności było w ogóle nie myśleć o swoich prze życiach. W ataku serdecznego śmiechu don Juan omal nie spadł z trzcinowego fotela, musiał wstać i przejść się, by złapać oddech. Uspokoił się dopiero, kiedy usiadł. Od chylił krzesło do tyłu i założył nogę na nogę. Potem powiedział, że zwykli ludzie nie znają i nigdy nie odgadną przyczyny, dla której tak bardzo interesują ich nieodgadnione zrządzenia losu. Źródłem tego zaciekawienia jest pewien rzeczywisty i potencjalnie przydatny obiekt: nasza więź z intencją. Stwierdził, że od niepamiętnych czasów bieg zwykłych spraw usypia nas, nie dając nam możliwości wyjścia poza bierne zainteresowanie. Dopiero kiedy stajemy u kresu życia, ta naturalna fascynacja losem przybiera odmienny charakter przesłaniająca obraz mgła opada i zaczynamy widzieć. Niestety, to przebudzenie przychodzi wraz ze spowodowanym starzeniem się spadkiem energii i nie starcza nam już sił, by zamienić zainteresowanie w praktyczne i pozytywne odkrywanie. W takiej sytuacji pozostaje nam tylko niejasne, dotkliwe cierpienie, tęsknota za czymś nieopisanym albo po prostu spowodowana świadomością przeoczenia złość.

– Jest wiele powodów, dla których lubię wiersze – oznajmił don Juan. – Chociażby dlatego, że oddają nastrój wojownika i wyjaśniają to, czego właściwie nie da się wytłumaczyć. Przyznał, że poeci doskonałe zdają sobie sprawę ze swojej więzi z duchem, a jednak – w przeciwieństwie do czarowników, których stać także na celowe, pragmatyczne działanie – wszystkim, co mają, jest przeczucie Poeci nie znają ducha bezpośrednio – kontynuował – i dlatego ich utwory nie są prawdziwym ukłonem w jego stronę. Są jednak bardzo blisko. Ze stojącego obok krzesła podniósł mój tomik poezji, wybór wierszy Juana Ramona Jimoneza. Otworzył książkę w uprzednio założonym przez siebie miejscu, wręczył mi ją i dał znać, żebym czytał.

kim jest ten mężczyzna, który dostał się
do mego pokoju? Czy to ja, czy żebrak,
który zakradł się do ogrodu
o zmroku?
Rozglądam się
i widzę, że wszystko
jest takie jak dawniej, lecz odmienne...
Może okno było otwarte?
Pewnie spałem już wtedy...
Czyż mój ogród nie był bladą zielenią spowity?
Niebo było jasne, błękitne...
Jest pochmurno
i wietrznie
Miałem chyba, czarne włosy..
i szare ubranie...
dziś jestem siwy i czarno odziany...
Czy to ja stąpam w ten sposób?
A czy głos, który w sobie słyszę,
brzmi dźwięcznie jak dawniej?
Kim jestem? Sobą czy żebrakiem,
który zakradł się do mojego ogrodu
o zmroku?
Rozglądam się...
Jest pochmurno i wietrznie...
A mój ogród jest posępny i mroczny...
Przyszedłem, odchodzę... Czyż nie jest prawdą,
że spałem już wtedy?
Posiwiałem... a wszystko
jest takie jak dawniej, lecz odmienne...

Kiedy przeczytałem wiersz jeszcze raz, po cichu, udzielił mi się nastrój niemocy i dezorientacji. Spytałem don Juana, czy czuje to samo.

– Wydaje mi się, że autor odczuwa ciężar upływających lat i kiedy zdaje sobie z tego sprawę, niepokoi się – odpowiedział don Juan. – Ale to tylko jeden aspekt sprawy. Mnie bardziej interesuje możliwość, że poeta, który przecież nigdy nie zaznał ruchu punktu scalającego, przeczuwa, że może utracić coś wyjątkowego. Ma graniczące z pewnością przeczucie, że istnieje nieznany, straszliwy przez swą prostotę czynnik, wyznaczający nasz los.

5. OCZYSZCZANIE WIĘZI ŁĄCZĄCEJ NAS Z DUCHEM

Chociaż słońce kryło się jeszcze za wschodnimi szczytami, było już całkiem gorąco. Kiedy dotarliśmy do pierwszego stromego wzniesienia, kilka mil drogą od granic miasta, don Juan zszedł na pobocze szosy. Usiadł nie opodal głazów, które w czasie budowy drogi odstrzelono od masywu skalnego. Dał mi znak, żebym zrobił to samo. W czasie naszych wycieczek w pobliskie góry zwykle zatrzymywaliśmy się w tym miejscu, by pogadać lub odpocząć. Don Juan oświadczył, że tym razem wyprawa będzie długa i możemy zabawić w górach dobrych kilka dni.

– Porozmawiamy teraz o trzecim abstrakcyjnym wątku – powiedział. – Zowią go fortelem ducha, sztuczkami abstrakcji, osaczaniem samego siebie albo oczyszczaniem więzi. Mimo że zdziwiła mnie mnogość określeń, milczałem czekając na dalsze wyjaśnienia. – No i tak samo jak z pierwszym abstrakcyjnym wątkiem – ciągnął don Juan – mogłaby to być historia sama w sobie. Opowieść mówi, że kiedy duch zapukał do drzwi znanego nam człowieka i nie otrzymał odzewu, uciekł się do ostatniego możliwego sposobu: do fortelu. Ostatecznie to dzięki sztuczkom duchowi udawało się wybrnąć z poprzednich impasów. Było jasne, że jeśli chce wywrzeć wpływ na tego człowieka, musi mu się przypodobać – w tym celu zaczął go wtajemniczać w sekrety magii. W ten oto sposób nauka sztuk tajemnych stała się tym, czym jest w istocie: drogą pełną sztuczek i wybiegów. Historia mówi, że duch pozyskał sobie człowieka, wprowadzając go na coraz to inne poziomy świadomości. Duch chciał w ten sposób nauczyć człowieka oszczędzania energii potrzebnej do wzmocnienia łączącej ich więzi.

Don Juan powiedział, że jeśli odniesiemy tę opowieść do współczesnych realiów, otrzymamy historię naguala, żywego medium dla ducha, który powiela strukturę tego wątku, uciekając się w swych naukach do sztuczek i wybiegów. Nagle wstał i ruszył w stronę gór. Poszedłem w ślad za nim. Późnym popołudniem dotarliśmy do najwyższego pasma górskiego, gdzie pomimo wysokości było jeszcze bardzo gorąco. Po całodziennej wędrówce prawie niewidocznym szlakiem w końcu znaleźliśmy się na nie wielkiej nieosłoniętej przestrzeni. Była to stara czatownia, z której niegdyś obserwowano obszary położone na północ i zachód. Usiedliśmy, a don Juan powrócił do tematu magicznych opowieści. Powiedział, że znam już historię o tym, jak intencja ukazała się nagualowi Eliasowi, oraz opowiadanie o duchu pukającym do drzwi naguala Juliana. Wiem też, jak wyglądało spotkanie don Juana z duchem, bez wątpienia pamiętam również, w jaki sposób ja sam się z duchem zetknąłem. Wszystkie te historie, oświadczył don Juan, są osnute wokół tego samego wątku, zmienia się tylko obsada. Każda z opowieści jest abstrakcyjną tragikomedią z udziałem jednego abstrakcyjnego bohatera, intencji, oraz dwóch śmiertelnych aktorów: naguala i jego ucznia. Scenariuszem jest abstrakcyjny wątek. Zdało mi się, że nareszcie rozumiem, o co chodzi. Nie umiałem jednak porządnie wytłumaczyć don Juanowi, a nawet sobie samemu, czym było to, co pojąłem. Kiedy chciałem to wysłowić, bełkotałem jedynie bez sensu. Don Juan wiedział chyba, co się ze mną dzieje. Polecił mi odprężyć się i słuchać, co mówi. Zapowiedział, że następna opowieść dotyczyć będzie wprowadzania ucznia do królestwa ducha. Czarownicy proces ten nazywają fortelem ducha albo oczyszczaniem więzi z intencją.

– Opowiedziałem ci już, jak to było, kiedy zostałem ranny, a nagual Julian zabrał mnie do swojego domu i leczył, dopóki nie wyzdrowiałem – zaczął. – Nie wiesz jeszcze, jak oczyścił moją więź: jak nauczył mnie osaczać samego siebie. Pierwszą rzeczą, jaką nagual robi ze swym potencjalnym uczniem, jest oszukanie go, czyli wprowadzenie jego więzi z duchem w wibracje. Robi się to na dwa sposoby: albo wykorzystuje się prawie normalne środki, jak te, którymi posługiwałem się w stosunku do ciebie, albo używa się prawdziwej magii, takiej, jaką zastosował wobec mnie mój dobroczyńca. Don Juan przypomniał mi, że jego dobroczyńca przekonał gapiów zebranych przy drodze, iż ofiara napadu jest jego synem. Potem opłacił kilku mężczyzn, by zanieśli do jego domu nieprzytomnego wskutek doznanego urazu i utraty krwi don Juana. Tam właśnie, kilka dni później, don Juan przebudził się i ujrzał miłego starszego pana, który ze swoją grubą żoną opatrywał jego ranę. Mężczyzna ów, który przedstawił się jako Belisario; powiedział, że jego żona jest znaną znachorką i że właśnie obydwoje leczą ranę. Don Juan odrzekł, że nie ma pieniędzy, na co Belisario zasugerował, że kiedy don Juan wyzdrowieje, pomyśli się o jakimś rodzaju zapłaty Don Juan miał wtedy kompletną pustkę w głowie: czemu nie należy się dziwić. Był zwykłym dwudziestojednoletnim Indiańcem, lekkomyślnym osiłkiem o paskudnym charakterze, bez krzty pomyślunku i wykształcenia. Pojęcie wdzięczności było mu obce. Uważał wprawdzie, że to bardzo miło ze strony starszego pana i jego żony, że mu pomogli, zamierzał jednak poczekać, aż rana się zagoi, i zwyczajnie prysnąć w środku nocy. Kiedy wyzdrowiał już na tyle, że był gotowy do ucieczki, stary Belisario wziął go na stronę i drżącym szeptem wyjawił, że on i jego

żona są trzymani w niewoli przez potwora, do którego należy dom. Poprosił don Juana, by pomógł im wydostać się na wolność, wyzwolić się z rąk tyrana i oprawcy. Don Juan nie zdążył jeszcze odpowiedzieć, gdy do pokoju wpadł przerażający jak z sennego koszmaru stwór – zupełnie jakby podsłuchiwał pod drzwiami. Wielki jak szafa, przypominał człowieka z głową ryby. Miał zgniłozieloną twarz i jedno nieruchome oko pośrodku czoła. Rzucił się w stronę don Juana, sycząc przy tym jak wąż, gotowy rozedrzeć go na strzępy. Młody człowiek przestraszył się tak bardzo, że zemdlał.

– Poruszył moją więzią z duchem w rzeczywiście mistrzowski sposób. – zaśmiał się don Juan. – Ma się rozumieć, mój dobroczyńca przed pojawieniem się potwora wprowadził mnie w stan podwyższonej świadomości: to, co widziałem jako upiorną postać, było tylko, jak zwą to czarownicy, istotą nieorganiczną, bezkształtnym polem energetycznym. Don Juan powiedział, że pamięta całe mnóstwo komicznych i żenujących jednocześnie sytuacji, jakie z iście szatańską pomysłowością jego dobroczyńca obmyślał dla każdego ze swych uczniów. Szczególnie upodobał sobie właśnie don Juana, który przez swoją powagę i sztywność stawał się znakomitym obiektem żartów. Don Juan dodał po chwili, że jego dobroczyńcę, oczywiście, dowcipy te niepomiernie cieszyły.

– Uważasz pewnie, że czasem się z ciebie śmieję, i masz rację. Ale to nic w porównaniu z tym, jak on nabijał się ze mnie – mówił dalej don Juan. – Mój dobroczyńca, diabeł wcielony, nauczył się ukrywać śmiech pod maską płaczu. Nie masz pojęcia, jak bardzo łkał, kiedy zaczynałem u niego terminować. Don Juan stwierdził, że kiedy ujrzał potwora, doznał szoku, po którym jego życie nigdy nie wróciło do normy – zadbał o to jego dobroczyńca. Don Juan wyjaśnił, że kiedy nagual używa fortelu wobec przyszłego ucznia a zwłaszcza swojego następcy, musi dołożyć wszelkich starań, by zapewnić sobie posłuszeństwo. Mogą one być dwojakiego rodzaju. Jeżeli potencjalny praktykant będzie karny i elastyczny, jak młoda Talia, wystarczająca jest jego własna decyzja o przyłączeniu się do naguala Zdarzają się jednak kandydaci, którzy dyscypliny wewnętrznej nie mają w nadmiarze – wówczas nagual musi długo i wytrwale pracować, by ucznia przekonać. Pozyskanie don Juana, który był tylko młodym, nie okrzesanym i bezmyślnym wieśniakiem, wymagało doprawdy dziwacznych zabiegów. Jakiś czas po pierwszym wstrząsie przyszedł drugi kiedy dobroczyńca don Juana pokazał, jak potrafi się przemieniać: pewnego dnia stał się młodym mężczyzną Don Juan nie umiał dostrzec w tej transformacji niczego, co nie byłoby wytrawnym aktorstwem.

– W jaki sposób nagual dokonywał takich zmian? – spytałem.

– Był sztukmistrzem i w równej mierze artystą – odrzekł don Juan. -Jego sztuczki sprowadzały się do tego że kiedy się przemieniał, przemieszczał swój punkt scalający w taką pozycję, która umożliwiała dowolne zmiany postaci. Artyzm tych przemian polegał na perfekcji z jaką były dokonywane.

– Nie rozumiem z tego zbyt wiele – przyznałem.

Wówczas don Juan powiedział, że osią wszystkiego czym jesteśmy i co robimy, jest percepcja. Decydując wpływ na percepcję ma położenie punktu scalającego i dlatego zmiana tego położenia powoduje odpowiedni zmianę w postrzeganiu świata. Jeśli czarownik wie, gdzie dokładnie powinien przemieścić swój punkt scalający, może stać się tym, czym zechce.

– Nagual Julian tak doskonale panował nad ruchami swojego punktu scalającego, że umiał dokonywać bardzo subtelnych transformacji – kontynuował don Juan. – Dla przykładu, przemiana czarownika we wronę jest niewątpliwie wielkim osiągnięciem, jednakże punkt scalający wykonuje wtedy duży i przez to nieskładny ruch. Natomiast doprowadzenie go do pozycji odpowiadającej, powiedzmy, osobie grubej lub starej, wymaga nieznacznego przesunięcia punktu i znakomitej znajomości ludzkiej natury.

– Trudno mi w to wszystko uwierzyć – oświadczyłem. Don Juan zaśmiał się, jakbym powiedział znakomity dowcip.

– Czy twój dobroczyńca, przemieniając się, miał w tym jakiś cel, czy po prostu dobrze się bawił? – zapytałem.

– Zastanów się, co mówisz. Wojownicy nigdy nie robią czegoś ot tak, dla zabawy. – odparł don Juan. – Jego transformacje były częścią planu, wynikały z określonej potrzeby, tak jak wtedy, gdy stał się młodym człowiekiem. Od czasu do czasu doprowadzały do komicznych sytuacji, ale to już inna sprawa.

Przypomniałem mu, że kiedyś pytałem, jak jego dobroczyńca nauczył się dokonywania tych przemian. Usłyszałem wtedy, że nagual Julian miał nauczyciela, ale nie dowiem się, kto nim był. Tym razem don Juan odpowiedział krótko:

– Nauczył go jeden z naszych czarowników, nasz tajemniczy podopieczny.

– Kto taki? – spytałem.

– Przeciwnik śmierci – odrzekł i spojrzał na mnie pytająco.

Wszyscy czarownicy z grupy don Juana uważali, że przeciwnik śmierci ma najciekawszą spośród nich osobowość. Mówili, że pochodzi z dawnych czasów. Zdołał przeżyć do dzisiejszego dnia, manipulując swym punktem scalającym – przemieszczał go w określone miejsca w obrębie całego swojego pola energetycznego. Zabiegi tego rodzaju podtrzymywały jego świadomość i siłę życiową Don Juan opowiedział mi kiedyś o porozumieniu, jakie jego poprzednicy zawarli przed kilkuset laty z przeciwnikiem śmierci: w zamian za przysługi obdarzali go energią życiową. Ze względu na tę ugodę uważali, że jest pod ich kuratelą, i nazywali go "lokatorem". Don Juan wyjaśnił mi wtedy, że dawni czarownicy do perfekcji opanowali poruszanie punktem scalającym. Dzięki tym manipulacjom nie tylko odkryli niecodzienne właściwości percepcji, ale i zrozumieli, jak łatwo zejść z właściwej drogi. Przeciwnik śmierci był według don Juana klasycznym przykładem takiego wynaturzenia. Don Juan przy każdej okazji powtarzał mi, że jeśli ktoś, kto wywiera nacisk na punkt scalający, ma dość energii, by go ruszyć z miejsca, oraz widzi, co się dzieje, może przemieścić go w dowolnie wybrane miejsce wewnątrz świetlistej kuli. Dzięki swemu blaskowi punkt ten może rozjarzyć napotkane nitkowate pola energetyczne. Świat postrzegany w tym stanie tworzy zwartą całość, jak ten widziany na co dzień, chociaż jest od niego różny. Dlatego przy przemieszczaniu punktu scalającego niezbędny jest trzeźwy umysł. Don Juan kontynuował swą opowieść. Powiedział, szybko przyzwyczaił się do myśli, iż starzec, który uratował mu życie, jest w rzeczywistości przebranym młodym człowiekiem. Tymczasem pewnego dnia człowiek ten na powrót zamienił się w starego Belisaria, takiego jakim don Juan ujrzał go pierwszego dnia. Wraz z kobietą, którą don Juan uważał za jego żonę, pakował swoje rzeczy. Nie wiadomo skąd pojawiło się też dwóch uśmiechniętych mężczyzn, prowadzących gromadkę mułów. Don Juan zaśmiał się, wyraźnie delektując się swą opowieścią. Wspomniał, że kiedy mulnicy pakowali juki, Belisario wziął go na stronę i zwrócił mu uwagę na fakt, że oto znowu występują w przebraniu – on jest starym człowiekiem, a jego piękna żona stała się grubą, nerwową Indianką.

– Byłem wtedy na tyle młody i głupi, że uznawałem tylko rzeczy oczywiste – mówił don Juan. – Zaledwie kilka dni wcześniej widziałem jego niewiarygodną przemianę ze słabowitego siedemdziesięciolatka w energicznego młodego człowieka w wieku około dwudziestu paru lat. Kiedy powiedział, że stary wygląd był tylko przebraniem, wziąłem to za dobrą monetę. Jego żona, zgorzkniała gruba Indianka, zmieniła się wtedy w szczupłą młodą piękność. Jasna sprawa, że babina nie dokonała takiej transformacji jak mój dobroczyńca. Po prostu podmienił kobiety. Oczywiście, mógłbym to wszystko wtedy zrozumieć, jednak mądrość zdobywa się powoli i w bólach. Mimo że don Juan nie był jeszcze w pełni sił, Belisario zapewnił go, że rana już się zagoiła. Starzec objął don Juana i ze: szczerym smutkiem w głosie wyszeptał: "Potwór tak cię polubił, że uwolnił mnie i moją żonę, a zatrzymał sobie ciebie, byś mu usługiwał".

– Zaśmiałbym mu się w twarz – ciągnął don Juan – gdyby nie przenikliwe nieludzkie jęki i przeraźliwe hałasy dochodzące z pokojów potwora.

Oczy don Juana błyszczały – tyle uciechy sprawiła mu ta opowieść. Jeżeli o mnie chodzi, chciałem zachować powagę, jednak nie mogłem powstrzymać się od śmiechu. Kiedy Belisario ujrzał przerażenie don Juana, wylewnie przeprosił go za zrządzenie losu, które jemu samemu dało wolność, a uwięziło don Juana. Cmoknął z obrzydzeniem i przeklął potwora. Ze łzami w oczach przedstawił don Juanowi dzienny zakres obowiązków. Gdy don Juan chciał się sprzeciwić, Belisario zniżył głos i wyjawił, że nie ma możliwości ucieczki, ponieważ potwor doskonale zna się na czarach. Don Juan prosił Belisaria o poradę, jak postępować w tej sytuacji. Starzec wygłosił tyradę, w której odradził układanie jakichkolwiek planów, gdyż te przydają się jedynie, gdy mamy do czynienia ze zwykłymi śmiertelnikami. Z ludzkiego punktu widzenia można snuć plany i spiskować, co przy odrobinie szczęścia, z dodatkiem sprytu i poświęcenia, może zapewnić nam powodzenie. Ale w obliczu nieznanego, a zwłaszcza w obecnym położeniu don Juana, jedyną szansą przeżycia jest posłuszeństwo i pogodzenie się z sytuacją. Ledwie słyszalnym szeptem Belisario wyznał, że aby na dobre pozbyć się potwora, zamierza udać się do stanu Durango, by tam uczyć się magii. Spytał, czy don Juan nie zechciałby także pobierać tego rodzaju nauk. Na samą myśl o tym don Juan przeraził się na dobre i od parł, że z wiedźmami nie chce mieć nic wspólnego. Don Juan pokładał się ze śmiechu. Oznajmił, że rozbawiła go wizja, jak bardzo igranie sobie z nim musiało cieszyć jego dobroczyńcę. Najśmieszniejszy był chyba ten moment, kiedy don Juan, oszalały ze strachu i złości, na złożoną w dobrej wierze propozycję pobierania nauk zareagował: "Jestem Indianinem. Z natury nienawidzę i boję się wiedźm". Belisario spojrzał znacząco na swoją żonę. Jego ciałem zaczęły wstrząsać drgawki. Don

Juan zdał sobie sprawę że starzec łka bezgłośnie, najwidoczniej urażony odmową. Dopiero kobieta pomogła mu się uspokoić. Na odchodnym Belisario podszedł jeszcze raz do don Juana i dał mu kolejną radę. Oświadczył, że potwór nie znosi kobiet, a więc don Juan powinien rozglądać się za jakimś mężczyzną na swoje miejsce – jest nikła szansa że upiór polubi tamtego na tyle, iż zgodzi się na wymianę. Don Juan nie powinien jednak robić sobie wielkich nadziei, gdyż upłyną całe lata, nim w ogóle wolno mu będzie wyjść z domu. Powinien wiedzieć, że potwór robi wszystko, by upewnić się, że jego niewolnicy są lojalni, a przynajmniej posłuszni. Don Juan nie mógł już tego znieść. Załamał się, rozpłakał i oznajmił, że nie pozwoli zrobić z siebie niewolnika, pierwej się zabije. Belisario, wzruszony tym wybuchem, odpowiedział, że i jemu przychodziło to do głowy, ale niestety, potwór czytał mu w myślach i zawsze udaremniał jego próby odebrania sobie życia. Belisario powtórzył swoją propozycję udania się do Durango na naukę magii. Stwierdził, że jest to jedyne wyjście z sytuacji. Don Juan odrzekł na to, że nie chce dostać się z deszczu pod rynnę. Belisario gorzko zapłakał i objął don Juana. Przeklął chwilę, w której uratował mu życie, i przysiągł, że nie miał pojęcia, iż zajmie on jego miejsce w domu potwora. Następnie głośno wytarł nos, po czym z płonącym wzrokiem rzekł: "Jedyną drogą przetrwania jest odpowiednie przebranie się. Jeśli będziesz postępował niewłaściwie, potwór porwie twą duszę i przemieni cię w kretyna, zdolnego jedynie do wykonywania poleceń. Szkoda, że nie mam czasu, by nauczyć cię, jak działać". I rozpłakał się na dobre. Don Juan, cały we łzach, poprosił, by Belisario dokładniej opisał mu to przebranie. Dowiedział się, że monstrum ma kiepski wzrok, a więc można próbować noszenia różnych strojów, wedle swego upodobania – don Juan będzie miał na te eksperymenty całe lata. Na pożegnanie zapłakany Belisario objął go jeszcze raz, a kobieta nieśmiało podała mu rękę. Następnie obydwoje ruszyli w drogę.

– Nigdy w życiu, przedtem ani później, nie byłem tak przerażony i zrozpaczony – przyznał don Juan. – Z do mu dochodziły odgłosy łomotania sprzętami, jakby potwór z niecierpliwością mnie oczekiwał. Usiadłem na progu i wyłem z bólu jak pies. Bałem się tak bardzo, że zwymiotowałem. Don Juan siedział bez ruchu całe godziny. Nie ośmielił się uciec ani nie odważył wejść do domu. Bez przesady można było powiedzieć, że był już bliski śmierci, kiedy po przeciwnej stronie ulicy zauważył Belisaria, który machając rękami, starał się zwrócić na siebie jego uwagę. Na ten widok don Juan od razu poczuł się lepiej. Starzec przykucnął na brzegu chodnika i obserwował dom. Dał znać don Juanowi, by nie ruszał się z miejsca. Siedzieli tak naprzeciw siebie niewiarygodnie długo. Don Juan przeżywał piekielne męki. Wreszcie Belisario, na czworakach, przesunął się o metr w stronę domu, a potem znowu ukucnął i znieruchomiał. Pełzając w ten sposób, dotarł wreszcie w pobliże don Juana. Trwało to dobrych kilka godzin Wiele osób przeszło obok, nikt jednak nie zwrócił uwagi na zrozpaczonego don Juana i manewry starszego pana. Kiedy byli już blisko siebie, Belisario szeptem wyznał, że nie mógł pogodzić się z tym, iż zostawił młodzieńca jak psa na pastwę losu. Pomimo protestów żony wrócił, by przynajmniej spróbować mu pomóc – ostatecznie to jemu właśnie zawdzięczał swoje wyzwolenie. Natarczywym szeptem spytał don Juana, czy jest gotowy i czy się godzi na wszystko. Młody człowiek zapewnił, że zrobi, co w jego mocy, byleby uciec z tego miejsca. Na te słowa Belisario ukradkiem wręczył mu zawiniątko i nakreślił plan ucieczki. Otóż don Juan miał udać się do izby leżącej najdalej od pokojów potwora i powoli rozebrać się, zdejmując jedną część ubioru po drugiej – zaczynając od kapelusza, a kończąc na butach. Następnie powinien włożyć wszystkie swoje rzeczy na coś w rodzaju manekina, którego ma szybko i sprawnie zbudować z kawałków drewna, kiedy tylko znajdzie się w do mu. Kolejnym etapem planu było przebranie się. Tylko jeden ubiór mógł oszukać potwora: ten, który Belisario podał don Juanowi. Don Juan wbiegł do domu i przygotował wszystko, jak należało. Za pomocą tyczek znalezionych na tyłach do mu zbudował coś na kształt stracha na wróble, zdjął ubranie i nałożył je na drewnianą konstrukcję. Jednak że czekała go nie lada niespodzianka – kiedy rozwinął otrzymany od Belisaria tłumoczek, okazało się, że w środku są kobiece fatałaszki!

– Czułem się zagubiony i otumaniony – powiedział don Juan. – Miałem właśnie założyć na powrót moje własne ubranie, kiedy usłyszałem nieludzkie jęki potwora. Wychowano mnie w pogardzie dla kobiet, wierzyłem, że ich jedynym przeznaczeniem jest usługiwanie mężczyznom. Ubranie się w damskie ciuchy było dla mnie równoznaczne ze staniem się kobietą. Mój strach przed upiorem był jednak tak wielki, że zamknąłem oczy i założyłem na siebie te przeklęte łachy. Spojrzałem na don Juana, wyobrażając go sobie w niewieścim przebraniu. Był to obraz tak komiczny, że nie mogłem powstrzymać śmiechu. Kiedy stary Belisario, czekający na don Juana po drugiej stronie ulicy, zobaczył go w przebraniu, wybuchnął płaczem. Łkając, wyprowadził don Juana na skraj miasta, gdzie czekała jego żona z dwoma mulnikami. Jeden z nich bezczelnie spytał Belisaria, czy porwał tę dziwną pannę, żeby ją sprzedać do burdelu. Stary zapłakał tak gorzko, że nieomal zemdlał. Poganiacze mułów, młodzi mężczyźni, nie bardzo wiedzieli, jak się zachować. Żona Belisaria, zamiast okazać współczucie, roześmiała się w głos – don Juan nie mógł pojąć, dlaczego. Z zapadnięciem zmroku cała

gromadka ruszyła w drogę. Wędrowali mało uczęszczanymi szlakami, ciągle na północ. Belisario nie mówił zbyt wiele. Wydawało się, że obawia się czegoś lub spodziewa jakichś trudności. Jego żona kłóciła się z nim całą drogę i wyrzucała mu, że zabierając z sobą don Juana, zniweczyli swe szanse na odzyskanie wolności. Starzec kategorycznie zakazał jej poruszania tego tematu, obawiając się, że mężczyźni zorientują się, że don Juan nie jest kobietą. Ponieważ don Juan udawał kobietę w mało przekonujący sposób, Belisario uczulił go, by zachowywał się, jakby był dziewczyną lekko upośledzoną umysłowo. Kilka dni później don Juan bał się już znacznie mniej. Prawdę mówiąc, był już tak pewny siebie, że zapomniał o swoim strachu. Gdyby nie ubranie, jakie miał na sobie, mógłby pomyśleć, że cała historia była tylko złym snem. Oczywiście, noszenie kobiecych łaszków pociągało za sobą w tych okolicznościach pewne nieprzyjemne następstwa. Żona Belisaria z pełną powagą uczyła don Juana wszystkiego, co przypadało kobietom w udziale. Młody człowiek pomagał jej przy gotowaniu, praniu odzieży i zbieraniu chrustu na opał. Belisario ogolił mu głowę i posmarował ją cuchnącą maścią, a mulnikom powiedział, że dziewczyna miała wszy. Ze swoim gładkim obliczem don Juan bez trudu uchodził za kobietę, jednak w środku czuł obrzydzenie do siebie samego i wszystkich otaczających go ludzi. Miał dosyć całej tej sytuacji. Noszenie damskich szmatek i wykonywanie kobiecych obowiązków stało się dla niego nie do zniesienia. Pewnego dnia doszedł już do kresu wytrzymałości. Poszło o poganiaczy mułów. Nie tylko oczekiwali, ale wręcz domagali się, by ta dziwna dziewczyna spełniała wszystkie ich zachcianki. Don Juan musiał się mieć na baczności, gdyż się do niego zalecali.

– Czy mulnicy działali w porozumieniu z twoim dobroczyńcą? – spytałem.

– Nie – odparł don Juan i ryknął ze śmiechu. – Byli to dwaj mili ludzie, pozostający przez pewien czas pod jego przemożnym wpływem. Wynajął ich do przewozu ziół i obiecał, że zapłaci im przyzwoicie, jeśli pomogą mu w porwaniu pewnej kobiety.

– Czyny naguala Juliana pobudziły moją wyobraźnię – przedstawiłem sobie don Juana odpierającego zaloty mężczyzn i parsknąłem śmiechem. Don Juan tymczasem kontynuował swą relację. Otóż w pewnej chwili oświadczył oschle staruszkowi, że maskarada trwa już stanowczo za długo i że mężczyźni próbują się do niego dobierać Belisario nie przejął się tym i sugerował, by don Juan był dla nich bardziej wyrozumiały, "rozumiesz, mężczyźni są zawsze tacy sami" , poczym zaczął znowu płakać. Kompletnie zbiło to don Juana z pantałyku – ku własnemu zaskoczeniu próbował bronić kobiet. Kiedy zdał sobie sprawę, z jaką pasją ujmuje się za babami, przeląkł się. Powiedział Belisariowi, że cała sprawa skończy się chyba gorzej, niż gdyby został niewolnikiem potwora. Pogubił się jeszcze bardziej, kiedy starzec zaczął okropnie szlochać i bełkotać niedorzeczności: że życie jest słodkie, a niewielką ceną, jaką trzeba za nie zapłacić, nie warto sobie zawracać głowy; potwór natomiast pożarłby duszę don Juana i nawet nie pozwoliłby mu popełnić samobójstwa. "Poflirtuj trochę z mulnikami", zasugerował Belisario pojednawczo. "To tylko prości wieśniacy, chcą się trochę zabawić Nie daj się prosić, bądź bardziej przystępny. Co ci zależy?" I znowu wybuchnął płaczem. Don Juan spytał, czemu Belisario tak ciągle płacze. "Bo doskonale się do tego wszystkiego nadajesz", odpowiedział starzec i zaszlochał tak mocno, że aż zgiął się wpół. Don Juan podziękował mu za sympatię i okazaną po moc. Oznajmił, że czuje się już bezpieczny i pragnie odejść.

– "Sztuka osaczania polega na poznaniu wszystkich sekretów swojego przebrania" – powiedział Belisario, nie zwracając uwagi na słowa młodzieńca. "Znaczy to, że marsz wyuczyć się ich tak dobrze, by nikt nie rozpoznał, że. jesteś zamaskowany. Dlatego musisz być bezlitosny, sprytny, cierpliwy i pełen wdzięku".

Don Juan nie miał pojęcia, o czym mówi Belisario. Zamiast się nad tym zastanowić, poprosił o jakiś męski strój. Belisario był bardzo wyrozumiały, dał don Juanowi stare ubranie i kilka pesos oraz obiecał mu, że zachowa jego strój na wypadek, gdyby don Juan go jeszcze potrzebował. Nalegał, by don Juan jechał z nim do Durango i na dobre wyzwolił się z władzy potwora. Młody człowiek podziękował mu, ale odmówił. W końcu Belisario życzył mu szczęśliwej drogi, przy czym kilka razy klepnął go dość mocno po plecach. Kiedy don Juan zmienił ubranie, spytał Belisaria o drogę. Ten odpowiedział, że jeśli don Juan będzie trzymał się szlaku wiodącego na północ, prędzej czy później dotrze do najbliższego miasteczka. Dodał, że być może znowu się spotkają, albowiem obydwaj zmierzają w podobnym kierunku: byle dalej od potwora. Don Juan ruszył w drogę, idąc ile sił w nogach, nareszcie wolny. Uszedł ze cztery czy pięć mil, zanim natrafił na ślady ludzkiej obecności. Wiedział, że do miasta jest już niedaleko. Pomyślał, że mógłby nająć się tam do jakiejś roboty, dopóki nie zdecyduje, dokąd pójść. Przysiadł na chwilkę, by odpocząć, przewidując typowe trudności, jakie mogą napotkać przybysza w leżącej na uboczu mieścinie. Nagle dostrzegł kątem oka jakiś ruch w przydrożnych krzakach. Przejęty trwogą, zerwał się na równe nogi i zaczął biec w stronę miasta. Próbując złapać go za szyję, skoczył na niego potwór. Chybił o cal. Don Juan zaskowyczał, ale zachował na tyle przytomności umysłu, by

zawrócić i pobiec w kierunku, z którego przybył. Pędził co tchu, a monstrum tuż za nim. Przedzierało się przez zarośla, czyniąc okropny hałas, jakiego don Juan nigdy wcześniej ani później nie słyszał. Kiedy zobaczył wreszcie sylwetki mułów, krzyknął o pomoc. Belisario rozpoznał don Juana i pośpieszył ku niemu. Wyglądało, że i on sam jest przerażony. Rzucił tobołek z damskim ubraniem i zawołał: "Biegnij jak kobieta, ty głupcze" Don Juan przyznał, że nie ma pojęcia, jak udało mu się tak szybko zareagować: oto zaczął poruszać się jak panienka. Potwór od razu zaprzestał pogoni. Belisario na kazał don Juanowi przebrać się możliwie szybko, a sam starał się w tym czasie trzymać napastnika na odległość. Don Juan przyłączył się do żony Belisaria i uśmiechniętych poganiaczy mułów, nie spoglądając na nikogo. Zawrócili i pojechali inną drogą. Całymi dniami nie odzywali się do siebie. Potem Belisario zaczął codziennie uczyć don Juana. Opowiedział mu, że Indianki są rzeczowe i przechodzą od razu do sedna sprawy, ale łatwo je onieśmielić. Kiedy się im przeciwstawić, widać po nich przestrach: mają niespokojne oczy, zaciśnięta usta i rozdęte nozdrza. Podszyte lękiem, upierają się przy swoim i śmieją się płochliwie. W każdym mieście, przez które przejeżdżali, Belisario kazał don Juanowi ćwiczyć kobiecy sposób zachowania don Juan był szczerze przekonany, że starszy pan uczy go na aktora. Belisario jednak konsekwentnie określał swoje nauki terminem "sztuki osaczania". Powiedział don Juanowi, że osaczanie jest kunsztem, który zastosować można w każdej dziedzinie życia. Aby go poznać, trzeba przećwiczyć cztery formy: bezwzględność, spryt, cierpliwość i wdzięk.

I znowu poczułem, że muszę mu przerwać.

– Ale czy osaczania nie naucza się w stanie głębokiej, wzmożonej świadomości'? – zapytałem.

– Jasne – odrzekł don Juan i uśmiechnął się szeroko. – Musisz jednakże: zrozumieć, że dla niektórych facetów kobiece przebranie jest bramą do wzmożonej świadomości. Prawdę mówiąc, tego rodzaju sposoby są bardziej skuteczne niż wywieranie nacisku na punkt scalający, ale dużo trudniejsze w realizacji.

Don Juan opowiedział, że jego dobroczyńca codziennie objaśniał mu praktyczne aspekty każdego z czterech trybów osaczania. Podkreślał przy tym, że don Juan powinien zrozumieć, iż nie wolno pomylić bezwzględności z impertynencją ani sprytu z okrucieństwem, cierpliwość nie oznacza niedbałości, a wdzięk – głupoty. Pouczył go, że te cztery elementy należy ćwiczyć i doskonalić, aż nabierze się takiej biegłości, że staną się niedostrzegalne. Uważał, że kobiety są urodzonymi tropicielkami. Był o tym tak mocno przekonany, że utrzymywał, iż tylko w niewieścim przebraniu mężczyzna może poznać sztukę osaczania.

– W każdym miasteczku leżącym na naszej drodze mój dobroczyńca zabierał mnie na rynek, żebym targował się przy sprawunkach – ciągnął don Juan. – Stawał z boku i obserwował mnie. "Bądź bezwzględny, ale czarujący", mawiał. "Bądź sprytny, ale sympatyczny; cierpliwy, lecz aktywny; pełen wdzięku, ale zabójczy. Tylko kobiety to potrafią. Kiedy mężczyzna próbuje takiego zachowania, za bardzo wdaje się w szczegóły". I chyba tylko po to, by upewnić się o posłuszeństwie don Juana, od czasu do czasu gdzieś w okolicy w zasięgu wzroku pojawiał się potwór. Najczęściej ukazywał się w jakiś czas po masażach, jakie robił don Juanowi Belisario, chcąc ulżyć mu w ostrych bólach karku. Wspominając tamte chwile, don Juan roześmiał się, mówiąc, że nie miał pojęcia, iż jego dobroczyńca wprowadza go w stan wzmożonej świadomości.

– Podróż do miasta Durango zajęła nam cały miesiąc – powiedział. – W tym czasie zapoznałem się wstępnie z czterema trybami osaczania. Chociaż nie bardzo się zmieniłem, otrzymałem szansę wejrzenia w istotę kobiety.

6. CZTERY FORMY OSACZANIA

Don Juan oświadczył, że teraz powinienem usiąść na naszym posterunku obserwacyjnym i za pomocą przyciągania ziemskiego poruszyć swój punkt scalający oraz przypomnieć sobie inne stany wzmożonej świadomości, w których uczyłem się osaczania..

– Przez te parę dni wiele razy napomykałem o czterech trybach osaczania – kontynuował don Juan. – Wspomniałem o bezwzględności, sprycie, cierpliwości i wdzięku, mając nadzieję, że przypomnisz sobie, czego cię o nich nauczyłem. Byłoby wspaniale, gdybyś umiał sprawić, aby te cztery formy przywołały to wspomnienie w całej pełni.

Potem zamilkł. Cisza trwała, jak mi się zdawało, niesamowicie długo. Wreszcie odezwał się, a jego wypowiedź mnie zaskoczyła, choć nie było ku temu podstaw. Powiedział, że uczył mnie czterech form osaczania na północy Meksyku, a pomagali mu w tym Vicente Medrano i Silvio Manuel. Nie mówił nic więcej, czekał, aż przetrawię jego słowa. Starałem się coś sobie przypomnieć, ale w końcu dałem za wygraną. Chciałem wykrzyczeć mu w twarz, że nie mogę pamiętać czegoś, co się nigdy nie zdarzyło. Gdy usiłowałem wysłowić mój sprzeciw, naszły mnie niepokojące myśli. Wiedziałem, że don Juan nie powiedział tego tylko po to, żeby mnie rozdrażnić. Nie mogłem uwolnić się od wrażenia, że wydarzenia, w jakich brałem udział pod jego kierunkiem, są oderwane od siebie. Nie były uszeregowane w określonej kolejności, jak zdarzenia z mojego zwykłego życia. Równie dobrze don Juan mógł mieć rację: w jego świecie nie miałem prawa być czegokolwiek pewny. Usiłowałem dać wyraz swoim wątpliwościom, on jednak nie chciał mnie słuchać i nalegał, żebym zaczął szukać w pamięci. Było już dosyć ciemno. Mimo że zerwał się wiatr, nie czułem chłodu. Don Juan podał mi płaski kamień, który miałem sobie położyć na mostku. Moja świadomość była zestrojona ze wszystkim, co mnie otaczało. Nagle poczułem szarpnięcie, pochodzące nie wiadomo skąd – ani z zewnątrz, ani z mojego wnętrza – zupełnie jakby ktoś ciągnął jakąś nieokreśloną cześć mojego jestestwa. Nieoczekiwanie zacząłem sobie przypominać, ze wstrząsającą jasnością, pewne spotkanie sprzed lat. Wydarzenia i ich bohaterowie ożyli na nowo z wyrazistością, która mnie przestraszyła. Przeniknął mnie dreszcz. Opowiedziałem o tym wszystkim don Juanowi. Nie przejął się tym, nalegał, abym nie poddawał się lękom, ani ciałem, ani duszą. Wspomnienie miało wyjątkowy charakter: dosłownie przeżywałem całe to wydarzenie na nowo. Don Juan siedział cicho, nawet na mnie nie spoglądając. Byłem jak sparaliżowany. W końcu odrętwienie zaczęło powoli ustępować. Zareagowałem tak jak zawsze, kiedy przypominałem sobie któreś z tych nielinearnych zdarzeń:

– Jak to możliwe, don Juanie? Jak mogłem o tym wszystkim zapomnieć?

A on powtórzył to, co zwykle:

– Tego rodzaju przypominanie i zapominanie nie ma nic wspólnego ze zwykłą pamięcią – zapewnił. – Związane jest natomiast z ruchem punktu scalającego. Podkreślił, że chociaż wiem już wszystko o tym, czym jest intencja., nie potrafię jeszcze tą wiedzą rozporządzać. Znajomość intencji to możliwość dowolnego wyjaśniania lub wykorzystywania tej wiedzy. Nagual niejako z urzędu jest zobowiązany do takiego nią rozporządzania.

– Co takiego ci się przypomniało? – zapytał.

– Ten pierwszy raz, kiedy powiedziałeś mi o czterech formach osaczania – odparłem

Nieznany proces, nie dający się wyjaśnić w kategoriach mojej zwykłej, ziemskiej świadomości, przywołał wspomnienie, którego jeszcze przed chwilą w ogóle nie było. I odtworzyłem w pamięci całą sekwencję wydarzeń sprzed wielu lat.

Kiedy miałem wyjechać z Sonory, don Juan zatrzymał mnie w drzwiach swojego domu. Poprosił mnie o spotkanie za parę dni koło południa w Nogales – w amerykańskiej części miasta – na pętli autobusowej. Przybyłem na miejsce jakąś godzinę wcześniej. Stał przed wejściem, pozdrowiłem go. Nie odpowiedział, tylko pośpiesznie odciągnął mnie na bok i szeptem nakazał, bym wyjął ręce z kieszeni. Zaniemówiłem. Nie dał mi dojść do słowa, tylko powiedział, że mam rozpięty rozporek i do tego – co za wstyd! – podnieciłem się. Zasłoniłem się w okamgnieniu. Dopiero kiedy wyszliśmy na ulicę, zorientowałem się, że był to tylko wulgarny żart. Don Juan śmiał się, długo i mocno klepiąc mnie po plecach, jakby cieszył się z udanego dowcipu. Nagle znalazłem się w stanie wzmożonej świadomości. Weszliśmy do jakiejś knajpki i usiedliśmy. Miałem tak jasny umysł, że wszystkiemu

chciałem się przypatrzeć, przejrzeć istotę rzeczy.

– Nie marnuj energii! – rozkazał don Juan szorstkim tonem. – Przyprowadziłem cię tutaj, bo chcę sprawdzić, czy potrafisz jeść po tym, jak poruszyłem twój punkt scalający. Nie próbuj robić nic więcej. Niestety, przy stole naprzeciw mnie usiadł jakiś facet, przykuwając całą moją uwagę.

– Przesuń wzrok – polecił don Juan. – Nie patrz na niego. Stwierdziłem, że nie jestem w stanie. Czułem, że drażnią mnie żądania don Juana.

– Co widzisz? – Usłyszałem jego głos.

Widziałem świetlisty kokon z przejrzystych skrzydeł, które rozwijały się, łopotały przez chwilę, po czym się odklejały, a na ich miejsce pojawiały się nowe, i tak, w kółko. Don Juan bez ceregieli obrócił moje krzesło, tak że siedziałem teraz twarzą do ściany.

– Co za marnotrawstwo! – westchnął, kiedy mu opisałem, co ujrzałem. – Zużyłeś prawie całą swoją energię. Panuj nad sobą. Wojownik musi umieć się skoncentrować. Kogo obchodzą jakieś skrzydła na świetlistym kokonie? Powiedział, że wzmożona świadomość jest niczym trampolina. Za jej pomocą można skoczyć w nieskończoność. Z naciskiem powtarzał w kółko, że punkt scalający, raz poruszony, może albo osiąść gdzieś w pobliżu swego zwykłego miejsca, albo zagubić się w bezkresie.

– Sami nie wiemy, jak osobliwą moc w sobie nosimy – ciągnął don Juan. – Ty, na przykład, jesteś w tej chwili zdolny przenieść się do nieskończoności. Jeżeli nadal będziesz się tak bezsensownie zachowywał, doprowadzisz do tego, że twój punkt scalający wydostanie się poza pewną granicę, spoza której nie ma powrotu.

Zrozumiałem wówczas, o jakie zagrożenie chodzi – właściwie to odczułem namacalną obecność otchłani tuż przede mną. Pojąłem, że jeśli się pochylę, wpadnę.

– Twój punkt scalający osiągnął położenie odpowiadające wzmożonej świadomości – mówił dalej don Juan – albowiem użyczyłem ci swojej energii.

Jedliśmy w milczeniu, był to zwyczajny, prosty posiłek. Don Juan nie pozwolił mi napić się kawy ani herbaty

– Kiedy używasz mojej energii – powiedział – nie znajdujesz się w swoim czasie, tylko w moim. Ja piję wodę.

W drodze do samochodu trochę zakręciło mi się w głowie. Zachwiałem się i byłem bliski utraty równowagi Czułem się jak ktoś, kto po raz pierwszy idzie na spacer w nowych okularach.

– Trzymaj się! – powiedział rozbawiony don Juan. – Tam, gdzie dzisiaj pojedziemy, będziesz musiał być bardzo dokładny. Polecił, bym przejechał granicę, wjeżdżając do meksykańskiej części Nogales. Siedziałem za kółkiem, a on dawał mi wskazówki: kt6rą jechać ulicą, kiedy skręcić w prawo lub w lewo albo jak szybko prowadzić.

– Znam tę okolicę – oświadczyłem zirytowany. – Powiedz tylko, gdzie chcesz jechać, a zawiozę cię tam niczym prawdziwy taksówkarz. W porządku – odparł. – Pojedź na Heavenward Avenue, numer 1573.

Nie wiedziałem, gdzie to jest ani czy taka ulica w ogóle istnieje. Prawdę mówiąc, podejrzewałem, że wymyślił tę nazwę, by wpędzić mnie w zakłopotanie. Milczałem. W błyszczących oczach don Juana czaił się chochlik.

– Mania wielkości jest prawdziwym tyranem – oznajmił. – Trzeba długiej, wytrwałej pracy, by zrzucić go z tronu. Znowu zaczął mówić, którędy mam jechać. W końcu kazał mi się zatrzymać przed parterowym domem, stojącym na ma narożnej parceli w bogatej dzielnicy. Coś w wyglądzie tego domu od razu przyciągnęło moją uwagę: podwórzec grubo wysypany żółtobrązowym żwirem, masywne drzwi, ramy okienne i gzymsy – wszystko, podobnie jak dziedziniec, w kolorze ochry. Okna od frontu miały zaciągnięte drewniane żaluzje. Całość wyglądała na typową podmiejską rezydencję przedstawicieli klasy średniej. Wysiedliśmy z samochodu. Don Juan poszedł przodem. Nie zapukał ani nie użył klucza, ale kiedy podeszliśmy do drzwi, otworzyły się bezgłośnie, a w dodatku jeśli mnie wzrok nie mylił, zupełnie bez niczyjej pomocy. Wnętrze domu było bardzo harmonijnie urządzone: gładkie, lśniące czystością ściany bez obrazów, żadnych lamp ani regałów z książkami. Złociste klepki parkietu przyjemnie kontrastowały ze śnieżnobiałymi ścianami. Staliśmy w małej i wąskiej sieni przechodzącej w obszerny wysoki salon z ceglanym kominkiem. Wokół kominka ustawiono w półokręgu luksusowe meble: pośrodku dwie beżowe kanapy, po bokach dwa fotele pokryte materiałem w tym samym kolorze, a przed nimi ciężki, masywny, okrągły stół dębowy. Sądząc z wystroju,

mieszkańcy musieli być zamożni, ale oszczędni. I oczywiście, lubili przesiadywać przy ogniu. W fotelach siedzieli dwaj mężczyźni. Mogli mieć po pięćdziesiąt parę lat. Kiedy weszliśmy, wstali. Jeden z nich był Indianinem, a drugi Latynosem. Don Juan najpierw przedstawił mnie temu, który stał bliżej – Indianinowi.

– To jest Silvio Manuel – rzekł do mnie. – To najpotężniejszy i najbardziej niebezpieczny ze wszystkich czarowników z mojej kompanii. I do tego najbardziej tajemniczy.

Rysy Silvia Manuela przywodziły na myśl malowidła starożytnych Majów – miał wystające kości policzkowe i wydatne usta. Bladą, prawie żółtą cerą przypominał trochę Chińczyka. Oczy miał skośne, ale pozbawione zmarszczki nakątnej, duże, czarne i błyszczące. Jego kruczoczarne włosy przetkane były siwymi pasemkami, nic nosił zarostu. Miał z pięć stóp i siedem cali wzrostu, tył szczupły i żylasty. Ubrany był w żółtą koszulę sportową, brązowe szerokie spodnie i cienką beżową marynarkę. Jego strój i sposób zachowania wskazywały, że jest Amerykaninem meksykańskiego pochodzenia. Uśmiechnąłem się i wyciągnąłem do niego dłoń. Nie przyjął jej jednak, tylko skłonił się zdawkowo.

– A to jest Vicente Medrano – don Juan przedstawił mi drugiego mężczyznę. – To najstarszy z moich towarzyszy i najbardziej wykształcony. Nazywam go najstarszym nie ze względu na wiek, ale dlatego, że był pierwszym uczniem mojego dobroczyńcy.

Vicente wykonał konwencjonalny ukłon, podobnie jak Silvio Manuel, i tak samo jak on nie rzekł ani słowa. Był od Indianina nieco wyższy, ale równie smukły. Miał różową cerę i starannie przystrzyżoną brodę i wąsy. W jego rysach było coś delikatnego: miał wąski, pięknie wyprofilowany nos i małe usta o cienkich wargach. Brwi, gęste i ciemne, kontrastowały z siwiejącym zarostem. Jego oczy również błyszczały, jednak w brązowych tęczówkach czaił się uśmiech. Miał na sobie tradycyjny garnitur, zielonkawy w pepitkę, i sportową koszulę z rozpiętym kołnierzykiem. On również wyglądał na Amerykanina pochodzącego z Meksyku. Odniosłem wrażenie, że to on jest właścicielem domu. W porównaniu z nimi don Juan wyglądał jak indiański peon. Jego słomiany kapelusz, zdarte buty, stare portki koloru khaki i kraciasta koszula pasowały raczej do ogrodnika lub robotnika. Kiedy tak przyglądałem się im trzem, odniosłem wrażenie, że don Juan występuje w przebraniu. Miałem "wojskową" wizję, w której don Juan przewodził jakiejś sekretnej misji: był oficerem, który mimo wszelkich starań nie potrafi ukryć długiego stażu dowódcy. Wyglądało na to, że don Juan jest nie tylko starszy, ale i nieskończenie silniejszy od pozostałych. Mimo to miałem wrażenie, że cała trójka jest w podobnym wieku.

– Myślę, że już poznaliście się na Carlosie. Nigdy, przenigdy nie spotkałem kogoś, kto by sobie tak folgował – powiedział całkiem serio don Juan. – Posunął się w tym dalej niż nasz dobroczyńca. Powiadam wam, gdy byście szukali kogoś, kto serio traktuje swoje słabostki, oto macie go przed sobą Zaśmiałem się, nikt mi jednak nie zawtórował. Towarzysze don Juana przyglądali mi się, a ich oczy błyszczały osobliwie.

– Jestem pewien, że będzie z was wspaniałe trio – mówił dalej don Juan. – Najstarsze, wszechwiedzące, najbardziej niebezpieczne i najpotężniejsze, no i, oczywiście, najbardziej pobłażliwe.

Nikt się nie śmiał. Wpatrywali się we mnie badawczo, aż poczułem się skrępowany. Ciszę przerwał w końcu Vicente.

– Nie wiem, po co go wprowadziłeś do domu – powie dział oschłym, sarkastycznym tonem. – Chyba nam się na nic nie przyda. Wyprowadź go za dom, na podwórze.

– I zwiąż go – dodał Silvio Manuel.

Don Juan odwrócił się w moją stronę.

– Chodź – powiedział miękko i szybkim ruchem głowy wskazał tyły domu.

Było więcej niż oczywiste, że nie przypadłem tamtym dwóm do gustu. Nie bardzo wiedziałem, co powiedzieć. Byłem naprawdę zły i urażony, jednak uczucia te tłumił stan wzmożonej świadomości, w którym się znajdowałem. Kiedy znaleźliśmy się na podwórzu, don Juan – niby od niechcenia – podniósł z ziemi rzemień i błyskawicznie owinął go wokół mojej szyi. Poruszał się tak szybko i zgrabnie, że kiedy ochłonąłem, byłem przywiązany jak pies, za szyję, do jednego z dwóch betonowych słupów podpierających strop werandy. Don Juan pokręcił głową w geście nieufności czy rozczarowania. Wszedł do domu, kiedy tylko zacząłem wrzeszczeć, by mnie odwiązał. Pętla była zresztą tak ciasna, że nie mogłem krzyczeć tak głośno, jakbym sobie tego życzył. Nie mogłem uwierzyć w to, co się stało. Powstrzymując gniew, spróbowałem rozplątać węzeł na szyi. Mocno zaciśnięty rzemień był zasupłany w zbity kłąb. Usiłowałem go rozwiązać, ale połamałem sobie tylko paznokcie. Ogarnęła mnie niepohamowana wściekłość. Zawyłem niczym spętane zwierzę.

Schwyciłem linę, owinąłem ją wokół nadgarstków i opierając stopy o betonową kolumnę, szarpnąłem. Rzemień był jednak zbyt mocny jak na moje siły. Czułem się poniżony, zacząłem się bać. Lęk mnie otrzeźwił, zrozumiałem, że dałem się oszukać. Zmyliła mnie rzekoma racjonalność don Juana. Oceniłem swoje położenie tak obiektywnie, jak tylko umiałem. Doszedłem do wniosku, że jedynym sposobem na uwolnienie się jest przecięcie liny. Zacząłem gorączkowo pocierać rzemień o ostry brzeg kolumny. Miałem nadzieję, że jeśli zerwę linę przed przybyciem któregoś z mężczyzn, zdołam dostać się do samochodu i odjechać, nie oglądając się za siebie. Pocąc się i stękając, tarłem rzemieniem, dopóki wystarczająco go nie nadwątliłem. Wtedy zaparłem się stopą o słup, ponownie owinąłem linę wokół nadgarstków i pociągnąłem ze wszystkich sił. Kiedy rzemień się zerwał, potoczyłem się po ziemi i przez otwarte drzwi wpadłem do domu. Zobaczyłem nad sobą ich wszystkich: don Juana, Vicente'a i Silvia Manuela. Stali wokół mnie, bijąc brawo.

– Cóż za efektowne wejście oświadczył Vicente, pomagając mi się podnieść. – Zmyliłeś mnie. Nie sądziłem, że jesteś zdolny do takich wybuchów.

Don Juan podszedł do mnie i jednym ruchem rozwiązał supeł na mojej szyi, zdejmując z niej zerwany rzemień. Otrzęsłem się ze strachu, wysiłku i złości. Łamiącym się głosem spytałem don Juana, dlaczego poddaje mnie takim torturom. Cała trójka wybuchnęła śmiechem, w tym momencie nic nie wskazywało na to, że chcą mnie zastraszyć.

– Chcieliśmy cię poddać próbie, by zobaczyć jaki naprawdę jesteś – odpowiedział don Juan.

Zaprowadził mnie do jednej z kanap i grzecznie poprosił, bym usiadł. Vicente i Silvio Manuel zasiedli w fotelach, a don Juan naprzeciwko mnie, na drugiej sofie. Śmiałem się nerwowo, ale nie przejmowałem się już niczym – ani moją sytuacją, ani don Juanem i jego przyjaciółmi. Wszyscy trzej przyglądali mi się z niekłamanym zaciekawieniem. Vicente uśmiechał się, chociaż wyglądało na to, że desperacko próbuje zachować poważną minę. Silvio Manuel gapił się na mnie, kręcąc głową. Nic odrywał ode mnie wzroku.

– Związaliśmy cię – odezwał się don Juan – ponieważ pragnęliśmy dowiedzieć się, jaki jesteś: pełen wdzięku, cierpliwy, bezwzględny czy sprytny. Doszliśmy do wniosku, że nie masz żadnej z tych cech. Jesteś raczej niezmiernie pobłażliwy dla siebie, tak jak powiedziałem wcześniej. Gdybyś nie pofolgował swojej gwałtowności zauważyłbyś na pewno, że ten niezwykły węzeł na twojej szyi jest nic niewart: można go przesunąć. Vicente wymyślił ten węzeł, by zmylić swych przyjaciół.

– Gwałtownie szarpałeś linę. Z pewnością brakuje ci wdzięku – powiedział Silvio Manuel.

Milczeli przez chwilę, po czym wybuchnęli śmiechem.

– Nie jesteś bezwzględny ani sprytny – kontynuował don Juan. – Gdyby tak było, z łatwością rozsupłałbyś obydwa węzły i uciekł z rzemieniem w ręku. Nie jesteś też cierpliwy. W takim wypadku jęczałbyś tam i kwiczał, aż wreszcie dojrzałbyś leżące pod ścianą nożyce, którymi mógłbyś przeciąć linę w dwie sekundy i oszczędzić sobie cierpień i wysiłku. Gwałtowności ani tępoty nie trzeba cię uczyć – to już znasz. Możesz się jednak nauczyć, jak być bezwzględnym, sprytnym, cierpliwym i pełnym wdzięku.

Don Juan wyjaśnił mi, że bezwzględność, spryt, cierpliwość i wdzięk stanowią istotę osaczania. Są to podstawy, których wraz z ich implikacjami naucza się stopniowo, ostrożnie i skrupulatnie. Byłem pewien, że mówi pod moim adresem, patrzył jednak cały czas na Vicente'a i Silvia Manuela, którzy przysłuchiwali się jego słowom z najwyższą uwagą, potakując od czasu do czasu. Don Juan powtarzał z naciskiem, że nauczanie osaczania jest dla czarownika jednym z trudniejszych zadań. Podkreślał, że bez względu na to, co jego towarzysze zrobią, by nauczyć mnie osaczania, i bez względu na to, co ja miałbym o tym sądzić, o ich uczynkach zadecyduje ich własna nieskazitelność. Możesz być pewien, że wiemy, co robimy. Dopilnował tego nasz dobroczyńca, nagual Julian – powiedział don Juan i cała trójka ryknęła śmiechem, wprawiając mnie w zakłopotanie. Nie wiedziałem, co o tym wszystkim myśleć. Don Juan wiele razy zwracał uwagę na istotny fakt, że obserwując postępowanie czarowników, można by ich posądzić o złe zamiary, podczas gdy w rzeczywistości zawsze działają nieskazitelnie.

– Jak możesz to obiektywnie ocenić, jeśli sam w tym siedzisz? zapytałem.

– Dokuczanie innym wynika z chęci zysku – odparł. – Jednakże cel postępowania czarowników jest ukryty i z osobistą korzyścią nie ma nic wspólnego. Radości, z jaką działają, nie można uznać za profit – jest to raczej cecha ich charakteru. Przeciętny człowiek przystępuje do działania jedynie wtedy, gdy przewiduje jego intratność; wojownicy twierdzą, że działają nie dla zysku, ale w imię ducha. Zastanowiłem się nad jego słowami. Działanie bez oglądania się na korzyści było dla mnie obcym

pojęciem. Inwestowanie i nadzieję zapłaty za swoje czyny wyssałem z mlekiem matki. Don Juan moje milczące zamyślenie uznał najwidoczniej za oznakę sceptycyzmu, bo zaśmiał się i spojrzał na swych towarzyszy.

– Weźmy dla przykładu naszą czwórkę – kontynuował. – Ty, Carlosie, uważasz, że inwestujesz w tę sytuację i kiedyś w końcu odniesiesz z niej jakiś pożytek. Jeśli cię rozzłościmy lub rozczarujemy, możesz chcieć nam dokuczyć dla wyrównania rachunku. My natomiast nie mamy zamiaru osiągać osobistych korzyści, nasze czyny wynikają z naszej nieskazitelności. Nie jesteś w stanie nas rozgniewać czy sprawić nam zawodu. Don Juan uśmiechnął się do mnie i powiedział, że choć czasem mogło to wyglądać inaczej, jednak od chwili, w której spotkaliśmy się na pętli autobusowej, jego zachowanie w stosunku do mnie wypływało tylko z nieskazitelności. Wyjaśnił, że musiał spowodować, bym przestał mieć się na baczności, dzięki czemu łatwiej osiągnąłem stan wzmożonej świadomości. To właśnie w tym celu powiedział mi, że mam rozpięty rozporek.

– Miało cię to zaszokować – oznajmił, uśmiechając się szeroko. – Jesteśmy tylko prostymi Indianami, więc stać nas tylko na prymitywne wstrząsy. Im więcej wojownik ma ogłady, tym bardziej finezyjne i dopracowane są jego sposoby wpływania na ludzi. Muszę przyznać, że nasze chamstwo przyniosło nam sporo uciechy, zwłaszcza wtedy, kiedy przywiązaliśmy cię jak psa. Wszyscy trzej uśmiechnęli się szeroko i zaśmiali półgłosem, tak jakby w domu był ktoś, komu nie chcieli przeszkadzać. Następnie don Juan, nie podnosząc głosu, oznajmił, że ponieważ znajduję się teraz w stanie wzmożonej świadomości, łatwiej zrozumiem to, co ma do powiedzenia na temat dwóch umiejętności: osaczania i intencji. Nazwał je ukoronowaniem wysiłków czarowników dawnych i obecnych czasów – sprawą, którą zajmują się teraz tak samo, jak tysiące lat temu. Zapewnił mnie, że osaczanie jest punktem wyjścia, i dlatego przed dokonaniem na swej ścieżce. czegokolwiek wojownik musi nauczyć się osaczać. Następnym etapem jest nauka intencji, a dopiero na samym końcu możliwe jest dowolne przemieszczanie punktu scalającego. Znakomicie rozumiałem, co mówi. Niespodziewanie dla siebie samego zdałem sobie sprawę z możliwości, jakie otwiera przemieszczanie punktu scalającego, jednakowoż brak mi było słów, by objaśnić swoją wiedzę. Kilkakrotnie usiłowałem przekazać im, co wiem, a oni śmiali się tylko z moich bezowocnych wysiłków i namawiali, bym próbował dalej.

– Czy chcesz, żebym się wypowiedział w twoim imieniu? – zapytał don Juan. – Może uda mi się znaleźć słowa, których chciałbyś użyć, a nie potrafisz?

Wyglądało na to, że pyta o moje pozwolenie całkiem poważnie. Wydało mi się to tak niestosowne, że zacząłem się śmiać. Don Juan, wykazując wielką cierpliwość, zadał mi to pytanie jeszcze raz, a ja znowu wybuchnąłem śmiechem. Patrzyli na mnie zaskoczeni i zatroskani, jakby nie rozumieli mojej reakcji. Don Juan wstał i oświadczył, że jestem przemęczony i nadszedł czas, bym powrócił do zwykłego świata.

– Poczekaj jeszcze – chciałem go ubłagać. – Wszystko ze mną w porządku. Po prostu śmieszy mnie, że musisz mnie prosić o pozwolenie.

– Nie mogę postąpić inaczej – odrzekł – albowiem tylko ty możesz uwolnić słowa stłoczone w twoim wnętrzu. Widzę, że rozumiesz mniej, niż zakładałem. Słowa mają wielką moc i wagę, są tajemnym dobrem osoby, która je posiada. W magicznym świecie istnieje pewna prawidłowość: czarownicy powiadają, że im bardziej zagłębia się nasz punkt scalający, tym więcej mamy wiedzy, a mniej słów dla jej wyrażenia. Czasami zwykły śmiertelnik może znaleźć się w sytuacji, w której jego punkt scalający – bez uchwytne j przyczyny – przemieści się. Człowiek ten w ogóle nie zda sobie sprawy z tego, co się dzieje, będzie jedynie oniemiały i zmieszany. Tu wtrącił się Vicente. Zaproponował, bym został z nimi jeszcze trochę. Don Juan zgodził się i zwrócił w moją stronę.

– Pierwszą zasadą osaczania jest to, że wojownik osacza samego siebie – powiedział. – Robi to bezwzględnie, sprytnie, cierpliwie i z wdziękiem.

Chciałem się roześmiać, ale: don Juan nie dał mi sposobności. Przedstawił zwięzłą definicję osaczania. Stwierdził, że jest to sztuka wyszukiwania nowych sposobów zachowania dla osiągnięcia określonych celów. Powiedział, że w codziennym życiu ludzie zasadniczo postępują rutynowo. Każde zachowanie, które odbiega od sztampy, w nietypowy sposób wpływa na całe nasze jestestwo. Ponieważ niezwykłe efekty tego rodzaju sumują się, stają się czymś, czego poszukują czarownicy. Wyjaśnił, że kiedy dawni czarownicy jasnowidze widzieli, zauważyli, że niecodzienne zachowanie sprawia, iż punkt scalający drży. Wkrótce odkryli, że jeśli niezwykłe zachowanie praktykuje się systematycznie i mądrze nim kieruje, można doprowadzić do poruszenia punktu scalającego. Prawdziwym wyzwaniem dla tych czarowników jasnowidzów – ciągnął don Juan – było znalezienie

systemu zachowań wolnych od małostkowości i labilności, uwzględniających jednocześnie etykę i estetykę, odróżniających czarowników – wizjonerów od zwykłych kuglarzy. Przerwał. Wszyscy trzej spoglądali na mnie, jakby szukając w mych oczach i twarzy oznak zmęczenia.

– Każdy, kto zdoła przemieścić swój punkt scalający w nowe położenie jest czarownikiem – podjął po chwili don Juan. – Po osiągnięciu tego, człowiek potrafi uczynić swoim współbraciom wszystko, co złe lub dobre. Tak więc czarownik może stać się kimś w rodzaju szewca lub piekarza. Misją czarowników – wizjonerów jest wykroczyć poza to położenie, do tego zaś potrzebują etyki i estetyki. Potem powiedział, że dla czarowników osaczanie jest podstawą wszystkich ich czynów. Niektórym czarownikom nie odpowiada termin "osaczanie" – mówił dalej. – Używa się go, ponieważ oddaje on oddziaływanie z ukrycia. Nazywają je również sztuką niewidzialności, ale pojęcie to jest równie nieudane. My sami, ze względu na nasz pokojowy charakter, nazywamy je sztuką kontrolowanego kaprysu. Możesz nadać mu taką nazwę, jaką zechcesz. My jednak będziemy je nadal nazywać osaczaniem, ponieważ, jak stwierdził nasz dobroczyńca, "tropiciel" brzmi lepiej niż niezręczne określenie "sprawca kontrolowanego kaprysu" Wspomnienie ich dobroczyńcy rozweseliło całą trójkę niczym gromadkę dzieciaków. Doskonale wszystko rozumiałem. Nie miałem pytań ani wątpliwości. Jedyną szczególną sprawą było uczucie, że muszę mocno koncentrować się nad każdym słowem don Juana, żeby utrzymać się na wodzy – w przeciwnym wypadku moje myśli pobiegłyby szybciej, wyprzedzając jego tok rozumowania. Zauważyłem, że skupiam wzrok na ruchu jego ust, a słuch na brzmieniu głosu. Kiedy tylko zdałem sobie z tego sprawę, nie byłem już w stanie nadążyć za jego słowami. Nie mogłem się skoncentrować. Don Juan nadal mówił, ale ja przestałem słuchać. Zastanawiałem się nad trudną do wyobrażenia możliwością życia w stanie permanentnie wzmożonej świadomości. Zacząłem dociekać, czy taki stan można by wykorzystać w codziennej walce o byt: czy sprzyjałby łatwiejszej ocenie różnych sytuacji, zapewnił większą od przeciętnej szybkość reakcji, a może zwiększył inteligencję? Don Juan nagle ucichł i spytał, o czym myślę.

– Jakiś ty praktyczny! – skomentował moje rozważania. – Sądziłem, że w stanie wzmożonej świadomości ujawni się artystyczna, mistyczna część twojej natury. Don Juan odwrócił się w stronę Vicente'a i poprosił go o odpowiedź na moje pytanie. Vicente odchrząknął i potarł o uda spocone dłonie. Można było odnieść wrażenie, że ma tremę. Zrobiło mi się go żal. Moje myśli zaczęły biec coraz szybciej. Kiedy na dodatek zaczął się jąkać, przypomniał mi mojego ojca, takiego, jakim go zawsze widziałem: nieśmiałego, bojącego się ludzi. Nie udało mi się jednak zbyt długo rozpamiętywać tej wizji, gdyż oczy Vicente'a rozjarzyły się jakimś dziwnym wewnętrznym blaskiem. Zrobił groźną minę, po czym przemówił: stanowczo, tonem eksperta.

– Odpowiadając na twoje pytanie – rzekł – powiem, że wzmożona świadomość nie przynosi doraźnych życiowych korzyści. Gdyby tak było, mielibyśmy tu na karku całą ludzkość. To nam jednak nie grozi, albowiem osiągnąć ten stan nie jest łatwo. Istnieje, oczywiście, nikła szansa na to, że uda się to zwykłemu śmiertelnikowi – w takim wypadku zwykle kończy się to, czasami nieodwracalnie, pomieszaniem zmysłów.

Cała trójka wybuchnęła śmiechem.

– Czarownicy mówią, że wzmożona świadomość stanowi drzwi do intencji – dodał don Juan. – I korzystają z tej drogi. Powinno ci to dać do myślenia. Z rozdziawioną gębą wpatrywałem się w każdego z nich po kolei. Miałem wrażenie, że jeśli będę miał otwarte usta, lepiej zrozumiem tę zagadkę. Zamknąłem oczy i otrzymałem odpowiedź. Wyczułem ją, nie wymyśliłem. Jednakże, choć bardzo się starałem, nie umiałem wypowiedzieć jej słowami. – No proszę – powiedział don Juan. – Sam doszedłeś do odpowiedzi, jakiej mógłby ci udzielić czarownik, ale nie masz dosyć energii, by ją wygładzić i wysłowić. Doświadczałem wtedy czegoś więcej niż tylko braku słów dla wyrażenia myśli, przeżywałem jakby na nowo coś, co przed wiekami znikło z mej pamięci: wrażenie, że nic: wiem, co czuję, albowiem nie nauczyłem się jeszcze mówić i brak mi środków, by przełożyć uczucia na myśli.

– Precyzyjne sformułowanie w myśli lub słowie tego, co chciałbyś powiedzieć, wymaga niezmierzonych nakładów energii – odezwał się don Juan, wyrywając mnie z zadumy.

Zamyśliłem się tak mocno, że zapomniałem, od czego zacząłem moje rozważania. Gapiłem się, skołowaciały, na don Juana, i przyznałem, że nie mam pojęcia, o czym przed momentem mówiliśmy i co robiliśmy. Pamiętałem tylko incydent z rzemieniem i to, co don Juan mówił do mnie bezpośrednio potem. Nie umiałem przywołać uczucia, które przepełniało mnie dosłownie przed chwilą.

– Zmierzasz w złym kierunku – powiedział don Juan. – Starasz się przypomnieć sobie swoje myśli w zwykły sposób. W tej sytuacji trzeba postępować inaczej. Przed sekundą to uczucie cię przepełniało, wiesz, że było W nim coś szczególnego. Takich doznań nie da się odtworzyć za pomocą

pamięci. Musisz je przywołać intencją jego odtworzenia.

Zwrócił się do Silvia Manuela, który siedział rozparty, z wyciągniętymi pod stołem nogami. Indianin wpatrywał się we mnie jak sroka w kość. Jego czarne oczy świeciły jak kawałki obsydianu. Kiedy wydał z siebie świdrujący, ptasi krzyk, nie drgnęła mu nawet powieka.

– Intencja!!! – wrzeszczał. – Intencja!!! Intencja!!!

Jego nieludzkie okrzyki przeszywały mnie na wskroś. Zjeżyły mi się włosy na karku, dostałem gęsiej skórki. Mój umysł pozostał jednak wolny od strachu i skierował się od razu ku przywołaniu utraconego doznania. Nie rozkoszowałem się nim zbyt długo, gdyż stało się bardzo intensywne i gwałtownie przemieniło się w coś innego. I wówczas uświadomiłem sobie nie tylko to, dlaczego wzmożona świadomość jest bramą do intencji. – pojąłem, czym intencja. w ogóle jest. I przede wszystkim zrozumiałem, że tej wiedzy, choć jest dostępna każdemu, nie sposób wyrazić słowami. Da się ją poczuć, doświadczyć, ale nie objaśnić. Dociera się do niej, przechodząc przez różne poziomy świadomości. Wzmożona świadomość jest bramą do intencji. Niestety, nawet tego wejścia nie da się opisać. Można tylko z niego skorzystać. Tego dnia bez żadnego instruktażu poznałem jeszcze jedną cząstkę wiedzy: oto w stanie surowym wiedza o intencji jest dostępna wszystkim ludziom, jednak władać nią może tylko ten, kto ją wypróbował. Byłem wtedy niesamowicie zmęczony – to właśnie dlatego w moich reakcjach odbiło się katolickie wychowanie, jakie otrzymałem. Przez moment wierzyłem, że intencja to Bóg. Kiedy im o tym powiedziałem, wyśmiali mnie. Vicente odparł, że intencja nie może być Bogiem, ponieważ jest siłą, której nie sposób opisać, a tym bardziej sobie wyobrazić.

– Nie bądź zbyt pewny siebie – rzekł do mnie surowo don Juan. – Nie wyciągaj pochopnych wniosków z twojej pierwszej i jedynej próby. Poczekaj, aż będziesz władał swoją wiedzą, i wtedy określ, jak sprawy się mają. Wspominanie historii o czterech formach osaczania wyczerpało mnie i, co ciekawe, zobojętniło na wszystko. Nie przejąłbym się, gdybym miał tam wtedy, wraz z don Juanem, umrzeć. Było mi wszystko jedno, czy przenocujemy w tej starej czatowni, czy może od razu ruszymy w drogę powrotną przez intensywną ciemność. Don Juan był bardzo wyrozumiały. Poprowadził mnie za rękę jak ślepca i usadził pod dużą skałą, z plecami opartymi o kamienną ścianę. Powiedział, że najlepiej będzie, jeśli zasnę. Zwykły sen sprowadzi mnie znowu do normalnego stanu świadomości.

7. WIDZIEĆ DUCHA

Kiedy po zjedzeniu późnego obiadu siedzieliśmy przy stole, don Juan oświadczył, że najbliższą noc spędzimy w jaskini czarowników i że pora się szykować. Dodał, że będę musiał znowu siedzieć tam w całkowitej ciemności, dopóki rzeźba skały i intencja czarowników nie poruszą mojego punktu scalającego. Chciałem wstać, ale mnie powstrzymał. Powiedział, że chce mi najpierw coś wyjaśnić. Przeciągnął się, położył nogi na krześle i usadowił się wygodnie.

– Kiedy widzę cię dokładniej – rzekł – coraz bardziej mi przypominasz mojego dobroczyńcę.

Poczułem się zagrożony i nie dałem mu skończyć. Powiedziałem, że nie potrafię sobie wyobrazić, na czym miałoby polegać to podobieństwo, jeśli jednak coś nas ze sobą łączyło – a niepokoiła mnie ta ewentualność-chciałbym się czegoś dowiedzieć o tych cechach, po to, żeby je skorygować lub ich uniknąć. Rozbawiło to don Juana, roześmiał się głośno.

– Jedną z takich zbieżności jest to, że kiedy działasz, idzie ci to bardzo dobrze, jednak gdy próbujesz myśleć, zawsze się gubisz. Właśnie taki był mój dobroczyńca – nie miał lotnego umysłu. Już miałem zacząć się bronić, chciałem powiedzieć, że mojemu myśleniu nic nie brakuje, kiedy w oku don Juana dostrzegłem złośliwy błysk. To mnie powstrzymało. Zauważył tę zmianę i zaśmiał się, jakby się dziwił, że nie postąpiłem inaczej.

– Na przykład, nie potrafisz pojąć ducha wówczas, kiedy o nim myślisz – powiedział ze strofującym uśmieszkiem. – Ale kiedy działasz, duch z łatwością ci się objawia. Taki był mój dobroczyńca. Zanim wyruszymy w drogę, opowiem ci historię o moim dobroczyńcy i czwartym abstrakcyjnym wątku. Czarownicy uważają, że do chwili, w której duch zstąpi na nas, możemy od niego odejść. Potem jest już na to za późno. Don Juan zrobił znaczącą przerwę, uniósł brwi, jakby każąc mi zastanowić się nad jego słowami.

– Czwarty abstrakcyjny wątek opisuje frontalny atak ducha: jego zstąpienie – kontynuował. – Jest to dzieło objawienia. Oto duch ukazuje się w całej pełni. Czarownicy uważają, że duch urządza na nas zasadzkę, po czym spada na nas, jego zwierzynę. Powiadają też, że zstąpienie ducha jest zawsze zamaskowane. Dzieje się, lecz pozostawia wrażenie, że nigdy nie nastąpiło. Poczułem niepokój. I3rzmienie głosu don Juana wróżyło jakąś nieprzyjemną niespodziankę. Don Juan spytał, czy pamiętam chwilę, w której duch zstąpił do mnie, pieczętując moje oddanie się abstrakcji. Nie miałem pojęcia, o czym mówi.

– Jest taki próg, po którego przekroczeniu nie ma odwrotu – powiedział. – Od chwili, w której duch zapuka do naszych drzwi, do znalezienia się w pobliżu tego progu, upływają zazwyczaj całe lata. Czasami jednak próg ten osiąga się prawie w jednej chwili, jak było w przypadku mojego dobroczyńcy. Don Juan oświadczył, że każdy czarownik powinien pielęgnować wspomnienie chwili, w której przekroczył swój próg. Dzięki temu będzie pamiętał, że jego możliwości postrzegania weszły w nową fazę. Wyjaśnił, że osiągnięcie tego progu jest możliwe nie tylko dla osób uczących się magii. Zwykłego człowieka różni jednak od czarownika interpretacja tego zdarzenia. Czarownik podkreśla fakt przekroczenia progu, a wspomnienie tego momentu jest dla niego ważnym punktem odniesienia. Zwykły śmiertelnik w ogóle progu nie przekracza i robi wszystko, by o całej sprawie zapomnieć. Odrzekłem, że nie mogę się z nim zgodzić, nie wierzę, że istnieje tylko jeden próg do przekroczenia. Don Juan wzniósł oczy ku niebu i pokręcił głową, jakby udawał, że doprowadzam go do rozpaczy. Kontynuowałem swój wywód, właściwie nie po to, by przeciwstawić się don Juanowi, ale żeby poukładało mi się w głowie. Szybko jednak straciłem impet. Ogarnęło mnie nagle wrażenie, że poruszam się w tunelu.

– Czarownicy powiadają, że czwarty abstrakcyjny wątek pojawia się, kiedy duch niszczy pętające nas wyobrażenia o nas samych – powiedział don Juan. – Uwolnienie się z więzów jest czymś wspaniałym, ale także bardzo niepożądanym, albowiem nikt nie pragnie wolności. Wrażenie przesuwania się przez tunel trwało jeszcze przez chwilę, a potem wszystko stało się jasne. Zacząłem się śmiać. Wybuch śmiechu spowodowany był uwolnieniem się dziwnych wizji, dotąd skłębionych w moim wnętrzu. Don Juan najwidoczniej czytał w moich myślach jak w książce.

– Cóż za dziwne uczucie: zdawać sobie sprawę, że wszystko, o czym myślimy i co mówimy, zależy od pozycji punktu scalającego – zauważył.

Było to dokładnie to, nad czym dumałem i z czego się śmiałem.

– Wiem, że właśnie w tej chwili twój punkt scalający się przesunął – mówił dalej don Juan – a ty zrozumiałeś tajemnicę krępujących nas łańcuchów. Pętają nas, przykuwając do wygodnych wyobrażeń i chroniąc nas przed atakami nieznanego. Była to jedna z tych niezwykłych chwil, w których świat magii stawał się przejrzysty jak kryształ. Rozumiałem wszystko.

– Kiedy pękają nasze łańcuchy – ciągnął don Juan – stajemy się wolni od codziennych trosk. Istniejemy w zwykłym świecie, ale nie jesteśmy już jego częścią. Aby należeć do świata ludzi, musimy dzielić z nimi ich troski, czego bez łańcuchów czynić niepodobna. Potem don Juan powiedział, że nagual Elias opisał mu cechę charakterystyczną dla nas, zwykłych ludzi. Trzymamy w ręku alegoryczny sztylet, nasze zatroskanie własnym wizerunkiem, i ranimy się tym sztyletem do krwi. Łańcuchy wyobrażeń, którymi jesteśmy spętani, tworzą wrażenie, że krwawimy razem, że mamy coś, co dla wszystkich wspólne: naszą ludzką naturę. Gdybyśmy jednak mogli się temu przyjrzeć bliżej, odkrylibyśmy, że: broczymy krwią w samotności, że nic nas z innymi ludźmi nie łączy i że całe nasze życie jest tylko zabawą z posłusznym naszej woli, stworzonym przez nas nierzeczywistym odbiciem samych siebie.

– Czarownicy nie należą do świata codziennej krzątaniny – kontynuował don Juan – ponieważ nie są ofiarami własnego wizerunku. Potem zaczął opowiadać, jak na jego dobroczyńcę zstąpił duch. Historia zaczęła się zaraz po tym, jak duch zapukał do drzwi młodego aktora. Przerwałem mu, gdyż zainteresowało mnie, dlaczego wciąż określa naguala Juliana mianem "młodego człowieka" lub "młodego aktora".

– W owym czasie nie był jeszcze nagualem – odrzekł don Juan. – Był młodym aktorem. Nie mogę go określać samym imieniem, albowiem szacunek dla jego nieskazitelnego żywota każe je poprzedzać słowem "nagual". Don Juan snuł dalej swoją opowieść. Otóż po kilku godzinach zmagań, w ciągu których nagual Elias powstrzymał śmierć aktora, wprowadzając go w stan wzmożonej świadomości, młody człowiek odzyskał wreszcie przytomność. Nagual Elias, nie ujawniając swojego imienia, przedstawił mu się jako uzdrowiciel, przypadkowy świadek tragedii, w wyniku której dwie osoby o mało co nie umarły. Tu wskazał na dziewczynę – Talię – rozciągniętą na ziemi. Młody aktor był zaskoczony, widząc ją obok siebie, zemdloną. Przypomniał sobie, że widział, jak uciekała. Był wstrząśnięty, kiedy stary znachor stwierdził, że Bóg najwidoczniej pokarał Talię za jej grzechy, zsyłając na nią piorun, który odebrał jej rozum.

– Skąd się wziął piorun, jeśli nawet nie padało? – spytał młody aktor ledwie słyszalnym głosem. Kiedy stary Indianin odparł, że niezbadane są wyroki boskie, na młodym człowieku wyraźnie zrobiło to wrażenie. I znowu przerwałem don Juanowi. Ciekawiło mnie, czy kobieta naprawdę postradała zmysły. Don Juan przypomniał mi, że to nagual Elias zatrząsł jej punktem scalającym, co spowodowało, że na przemian osiągała stan wzmożonej świadomości i z niego wychodziła. Zagrażało to nie tyle jej umysłowi, co zdrowiu. Nagual Elias długo się zmagał, zanim udało mu się wspomóc Stabilizację jej punktu scalającego i wprowadzić ją w stan permanentnie wzmożonej świadomości. Don Juan wtrącił, że kobiety zdolne są do takich mistrzowskich posunięć: potrafią utrzymać na stałe nową pozycję swojego punktu scalającego. A Talia nie miała sobie równych – kiedy tylko pękły krępujące ją łańcuchy, pojęła wszystko i podporządkowała się planom naguala. Wracając do historii, don Juan powiedział, że nagual Elias – który był nie tylko znakomitym marzycielem, ale i niezrównanym tropicielem – widział, że młody człowiek jest wprawdzie próżny i zepsuty, ale jego twardość i zobojętnienie są tylko pozorem. Nagual wiedział, że jeśli posłuży się pojęciami Boga, grzechu i pokuty, religijne przekonania aktora nadwątlą jego cynizm. Wspomnienie boskiej kary zaczęło kruszyć mur, za którym chciał się ukryć młody człowiek. Zaczął żałować za grzechy, jednak nagual uciął to, mówiąc z naciskiem, że w obliczu śmierci poczucie winy jest bez znaczenia. Aktor słuchał uważnie, jednak mimo złego samopoczucia sądził, że śmierć jest daleko od niego. Uważał, że osłabienie i omdlenie spowodowane są utratą krwi. Jakby czytając w jego myślach, nagual wyjaśnił mu, że nie czas na optymizm, jako że krwotok byłby śmiertelny, gdyby on, znachor, na jakiś czas go nie zatamował.

– Uderzając cię po plecach, założyłem zatyczkę, która powstrzymuje odpływ twojej siły życiowej – oznajmił. – Bez tego nie uniknąłbyś powolnego umierania. Jeśli mi nie wierzysz, kolejnym uderzeniem usunę korek. To mówiąc, walnął młodzieńca w żebra po prawej stronic, a ten w jednej chwili zaczął krztusić się i dławić krwią, która buchnęła mu do ust. Nie mógł opanować kaszlu. Kolejne uderzenie, w plecy, spowodowało, że dręczący ból i krztuszenie ustąpiły, pozostało jednak przerażenie i nieszczęśnik zemdlał.

– Panuję w tej chwili nad twoją śmiercią – powiedział nagual, kiedy młody człowiek odzyskał przytomność. – Na jak długo, zależy od tego, jak skrupulatnie wypełnisz to, co każę ci zrobić. Później

oznajmił, że pierwszym zadaniem młodzieńca będzie pozostać w całkowitym milczeniu i bezruchu. Jeśli nie chce, by zatyczka wypadła, musi zachowywać się tak, jakby utracił władzę nad ciałem i językiem. Jeden ruch lub słowo, a zacznie znowu umierać. Młody aktor nie przywykł do słuchania rad i wypełniania poleceń. Poczuł przypływ gniewu. Kiedy próbował zaprotestować, powrócił piekący ból i konwulsje.

– Słuchaj mnie, a uleczę cię – rzekł nagual. – Zachowuj się jak słaby, zdemoralizowany imbecyl, którym w gruncie rzeczy jesteś, a niechybnie umrzesz. Dumnemu młodemu człowiekowi z wrażenia odjęło mowę. Nikt nie nazwał go jeszcze słabym, zdemoralizowanym imbecylem. Chciał dać wyraz swej wściekłości, ale okropny ból nie pozwolił mu zareagować na zniewagę.

– Jeśli chcesz, żebym ulżył ci w bólu, musisz ślepo wypełniać moje polecenia – powiedział nagual. Oziębły ton jego głosu napawał lękiem. – Skiń tylko głową. Wiedz jednak, że jeśli zmienisz zdanie i zaczniesz postępować jak kretyn, którym zresztą jesteś, natychmiast wyciągam zatyczkę i pozostawiam cię na pastwę śmierci. Resztką sił młodzieniec kiwnął głową. Nagual klepnął go po plecach i ból od razu zniknął. Jednocześnie młodemu aktorowi jakby opadła z oczu mgła: wiedział wszystko, choć niczego nie rozumiał. Stary Indianin przedstawił mu się ponownie. Powiedział, że nazywa się Elias i jest nagualem – młody człowiek wiedział, co to oznacza. Wtedy nagual Elias skupił uwagę na półprzytomnej Talii. Przyłożył usta do jej ucha i szeptał polecenia mające zatrzymać chaotyczny ruch jej punktu scalającego. Koił jej lęki, opowiadając historie o czarownikach, którzy przeszli przez to samo, co ona. Kiedy się uspokoiła, przedstawił się jako nagual Elias, czarownik. Wówczas zdecydował się uczynić wraz z nią jedną z najtrudniejszych w magii rzeczy: przemieścić jej punkt scalający poza sferę znanego nam świata. Don Juan zauważył w tym miejscu, że poza nasz świat zdolni są wykroczyć tylko dojrzali czarownicy. Nagual Elias utrzymywał, że normalnie nie: marzyłby nawet o takim wyczynie, jednak tamtego dnia jego działaniem kierowało coś innego niż tylko wiedza czy wola. W każdym razie manewr się udał – Talia wyszła poza znany nam świat i bezpiecznie stamtąd powróciła. Wtedy nagual Elias miał kolejną wizję. Usiadł na ziemi, pomiędzy dwojgiem leżących (aktor był nagi, przykryty tylko płaszczem naguala), i opisał im ich położenie. Mówił, że obydwoje zbiegiem okoliczności wpadli w pułapkę zastawioną przez samego ducha. On, nagual, był czynną składową tej pułapki, albowiem w tych warunkach był zmuszony zostać na pewien czas ich opiekunem. Jego obowiązkiem jako tymczasowego protektora było wykorzystanie magicznej wiedzy i ostrzeżenie ich, że zbliżają się do pewnego niezwykłego progu. To ich sprawą – indywidualną i wspólną dla obojga – było dojście do tej cezury. Jeśli chcą tego dokonać, powinni działać żywiołowo, ale nie lekkomyślnie; troskliwie, ale bez pobłażliwości. Nie chciał powiedzieć nic więcej, obawiając się, że pomiesza im w głowach albo wpłynie na ich decyzje. Miał wrażenie, że jeśli młodzi mają przekroczyć ten próg, powinno to się odbyć tylko z niewielką pomocą z jego strony. Następnie zostawił ich samych w tym opuszczonym miejscu i udał się do miasta po zioła, koce i materace. Uczynił to z myślą, że pozostawieni samym sobie z pewnością osiągną i przekroczą ten próg. Leżeli koło siebie bardzo długo, zatopieni w myślach. Po tym, jak ich punkty scalające się przesunęły, rozumowali lepiej, ale jednocześnie dłużej się nad wszystkim zastanawiali, bardziej martwili i obawiali. Ponieważ Talia mogła mówić i miał – Ujrzeliśmy niebo – wyszeptał. Po policzkach płynęły mu łzy.

– Widzieliście więcej odparł nagual Elias. – Zobaczyliście ducha. Don Juan powiedział, że skoro zstąpienie ducha jest zawsze zawoalowane, ani Talia, ani młody aktor nie zdołali utrzymać swojej wizji w pamięci. Wkrótce zapomnieli o niej, jak każdy na ich miejscu. Wyjątkową cechą ich przeżycia było to, że bez żadnego przygotowania, całkiem nieświadomie, śnili razem i widzieli ducha. Dokonanie tego z taką łatwością było w ich wypadku sprawą wyjątkową.

– Nie poznałem nigdy istot tak niezwykłych jak tych dwoje – dodał don Juan.

Naturalnie, chciałem dowiedzieć się o nich czegoś więcej, ale nie dał mi sposobności. Powiedział, że jeśli chodzi o jego dobroczyńcę i czwarty abstrakcyjny rdzeń, to temat został wyczerpany. Najwidoczniej przypomniał sobie jeszcze coś, czego mi nie powiedział, gdyż wybuchnął śmiechem. Poklepał mnie po plecach i oświadczył, że pora ruszać w drogę, w stronę jaskini. Kiedy dotarliśmy do skalnej półki, było prawie ciemno. Don Juan usiadł pośpiesznie, przybierając tę samą co przedtem pozycję. Siedzieliśmy ramię w ramię, don Juan po mojej prawej stronie. Wyglądało na to, że od razu głęboko się zrelaksował, co i mnie kazało pozostać w zupełnym milczeniu i bezruchu. Nie słyszałem nawet, jak oddycha. Gdy zamknąłem oczy, don Juan szturchnął mnie, nakazując mi je otworzyć. Kiedy zapadła ciemność, byłem już bardzo zmęczony. Oczy mnie rozbolały i zaczęły piec. W końcu poddałem się zmęczeniu i zapadłem w sen, najgłębszy i najbardziej nieprzenikniony jaki mi się kiedykolwiek zdarzył. Właściwie nie był to prawdziwy sen. Czułem otaczającą mnie nieprzeniknioną czerń, miałem wrażenie, że brodzę w ciemności. Nagle przestrzeń wokół mnie nabrała czerwonego odcienia, później stała się pomarańczowa, a w końcu oślepiająco biała niczym światło reflektora. Gdy

zdołałem skupić wzrok, zobaczyłem, że nadal siedzę obok don Juana w tej samej pozycji, ale już nie w jaskini. Znajdowaliśmy się na szczycie góry i spoglądaliśmy na niebywałej urody równinę zamkniętą pasmem gór na horyzoncie. Ta cudowna preria była skąpana w blasku, który emanował z samej ziemi niczym świetlne promienie. Gdziekolwiek skierowałem wzrok, widziałem znajome elementy krajobrazu: skały, wzgórza, rzeki, lasy i kaniony, wyolbrzymione i odmienione przez wewnętrzną pulsację i blask. Ta przyjemna dla oka jasność wypływała także z samego mojego jestestwa.

– Twój punkt scalający się poruszył. – Wydało mi się, że słyszę don Juana.

Jego słowa były bezgłośne, a jednak wiedziałem, co mówi. Nie mogłem oprzeć się chęci znalezienia racjonalnego wytłumaczenia tego zjawiska: słyszałem go jak w próżni, ponieważ coś chwilowo osłabiło mój słuch.

– Z twoimi uszami jest wszystko w porządku. Znajdujemy się w odmiennym obszarze świadomości. -Znowu miałem wrażenie, że słyszę don Juana. Nie byłem w stanie wydobyć z siebie ani słowa. Czułem, że chociaż senny letarg nie pozwala mi się odezwać, jednak jestem zupełnie przytomny.

– Co się dzieje? – pomyślałem.

– Jaskinia sprawiła, że twój punkt scalający się poruszył – usłyszałem myśl don Juana. Przypominało to wsłuchiwanie się we własne słowa. Wyczułem polecenie, które nie było przekazane myślą. Coś kazało mi znowu spojrzeć na prerię. Kiedy przyglądałem się cudownemu widokowi, z każdego miejsca równiny zaczęły wysuwać się świetliste włókna. Zrazu przypominało to eksplozję nieskończonej liczby niteczek, które po chwili przemieniły się w długie świetliste żyłki, Splecione Ze Sobą w strumienie drgającego, biegnącego w nieskończoność światła. To, co widziałem, mogłem określić jedynie jako włókna wibrującego światła – trudno to zrozumieć lub opisać inaczej. Włókna te nie były splecione ze sobą ani przemieszane. Chociaż nieustannie tryskały na wszystkie strony, każde stanowiło odrębną całość, a jednocześnie było z innymi ściśle związane.

– To, co widzisz, to emanacje Orła i siła, która rozdziela je i wiąże ze sobą – pomyślał don Juan.

W chwili, w której przechwyciłem jego myśl, poczułem, że świetliste: włókna pożerają całą moją energię. Ogarnęło mnie zmęczenie, które wymazało wizję i pogrążyło mnie w ciemności. Kiedy doszedłem do siebie, wyczułem wokół siebie coś znajomego, choć nieokreślonego, coś, co kazało mi przypuszczać, że jestem znowu w zwykłym stanie świadomości. Don Juan siedział tuż obok mnie. Spał. Stwierdziłem wówczas, że ciemność jest tak intensywna, że nie mogę dojrzeć własnych dłoni. Przypuszczałem, że albo półkę skalną i jaskinię spowiła mgła, albo zakryły ją wiszące nisko chmury, które każdej deszczowej nocy spływały z wysokich szczytów jak cicha lawina. Mimo całkowitej ciemności w jakiś sposób dostrzegłem, że don Juan – w chwilę po moim przebudzeniu się – otworzył oczy, ale nie patrzył na mnie. Od razu zrozumiałem, że jego obraz nie powstaje, jak pod wpływem światła, na siatkówce moich oczu. Było to raczej cielesne doznanie. Tak mnie pochłonęło obserwowanie don Juana bez użycia wzroku, że zupełnie nie zwracałem uwagi na to, co chce mi powiedzieć. W końcu przestał mówić i odwrócił twarz w moją stronę, jakby chciał spojrzeć mi w oczy. Odchrząknął kilka razy i zaczął bardzo cicho mówić. Powiedział, że jego dobroczyńca przychodził do tej jaskini bardzo często z don Juanem i innymi uczniami, ale najczęściej w pojedynkę. Z tej pieczary widział tę samą, co my, prerię. Wizja ta kazała mu przedstawiać ducha jako przepływ rzeczy. . Don Juan powtórzył, że jego dobroczyńca nie był wielkim myślicielem. Gdyby tak było, zrozumiałby w jednej chwili, że to, co widział i opisywał jako przepływ rzeczy, było intencją, przenikającą wszystko siłą. Don Juan dodał, że gdyby nawet jego dobroczyńca pojął istotę swego widzenia, nie wyjawiłby jej nikomu – naprawdę jednak, jak sądził don Juan, nigdy nie zdał sobie z tego sprawy. Jego dobroczyńca słusznie uważał to, co widzi, za przepływ rzeczy, ale rozumiał przez to coś całkiem innego niż don Juan. Don Juan podkreślał to z takim naciskiem, że chciałem dowiedzieć się, na czym polega ta różnica. Nie mogłem się jednak odezwać – moje gardło było niczym bryła lodu. Mimo że siedzieliśmy tam, cicho i nieporuszenie, dobrych kilka godzin, nie czułem niewygody, bólu mięśni ani pleców czy zdrętwienia nóg. Nawet nie zauważyłem, kiedy znowu przemówił. Od razu z łatwością zamieniłem się w słuch. Jego głos dobiegał przez otaczającą mnie całkowitą ciemność. Don Juan powiedział, że w tym momencie nie znajduję się ani w zwykłym, ani w odmiennym stanie świadomości. Według niego znajdowałem się na ziemi niczyjej, pogrążony w czerni apercepcji. Mój punkt scalający osiągnął pozycję, w której nie postrzegałem już ziemskiego świata, ale nie dotarł jeszcze do miejsca, w którym mógłby podświetlić zupełnie nową wiązkę pól energetycznych. Fachowo mówiąc, tkwiłem pomiędzy dwiema ewentualnościami percepcyjnymi. Ów stan zawieszenia, zastój percepcji powstał za sprawą jaskini – te szczególne właściwości nadała pieczarze intencja czarowników, którzy ją wyżłobili. Don Juan kazał mi zwrócić szczególną uwagę na to, co Usłyszę za chwilę. Oto przed tysiącami lat czarownicy odkryli, dzięki swej zdolności widzenia, że ziemia jest

obdarzona wrażliwością, a jej świadomość oddziałuje: na świadomość ludzi. Usiłowali znaleźć sposób na wykorzystanie tego wpływu i odkryli, że oddziaływanie to jest najsilniejsze w niektórych jaskiniach. Poszukiwanie takich jaskiń stało się dla tych czarowników nieomal pełnoetatowym zajęciem, a ich wysiłki zostały uwieńczone odkryciem rozmaitych zastosowań dla pieczar o różnym ukształtowaniu. Dodał, że jedynym istotnym dla nas rezultatem tej pracy jest właśnie ta jaskinia, obdarzona własnością przemieszczania punktów scalających znajdujących się w niej osób w położenie odpowiadające zastojowi percepcji. Słuchając, Poczułem, że coś zaczyna mi świtać w głowie – coś, co burzy stary porządek mojego umysłu. Moja świadomość zaczęła się jakby przelewać do długiego wąskiego kanału. Należące do mojej zwykłej świadomości strzępy myśli i uczucia były stopniowo wypierane na zewnątrz. Don Juan zdawał sobie sprawę ze wszystkiego, co się ze mną dzieje – usłyszałem, jak cicho śmieje się z zadowoleniem. Powiedział, że teraz rozmowa pójdzie nam gładko i że będziemy mogli poruszyć poważne zagadnienia. Przypomniałem sobie wtedy setki rzeczy, które tłumaczył mi wcześniej. Na przykład, wiedziałem, że śnię. Choć naprawdę mocno spałem, jednak byłem świadomy samego siebie dzięki wtórnej uwadze, będącej przeciwieństwem zwykłej uwagi. Byłem pewien, że śpię – czułem to fizycznie i potwierdzałem rozumowo, opierając się na dawniejszych wywodach don Juana. Oto przed momentem widziałem emanacje Orła, a don Juan mówił mi kiedyś, że długotrwałe wizje tego rodzaju dostępne są czarownikom tylko w stanie śnienia – a więc wszystko wskazywało na to, że śnię. Don Juan wyjaśnił mi kiedyś, że wszechświat zbudowany jest z pól energetycznych nie dających się opisać ani zbadać. Przypominać miały włókna tworzone przez coś w rodzaju światła, które znamy, z tą różnicą, że zwykłe światło jest martwe, natomiast emanacje Orła promieniują świadomością. Po raz pierwszy miałem okazję widzieć je dłużej: istotnie, były zrobione z żyjącego światła. Don Juan utrzymywał kiedyś, że moja ówczesna wiedza i stopień panowania nad intencją nie wystarczały, bym mógł wytrzymać siłę oddziaływania tego widoku. Wyjaśniał mi wtedy, że zwykła percepcja ma miejsce, kiedy intencja, będąca czystą energią, rozjarzy pewną część świetlistych włókien znajdujących się wewnątrz naszego kokonu, rozpalając jednocześnie ich przedłużającą się w nieskończoność część, leżącą na zewnątrz. Natomiast nietypowa percepcja – widzenie – zachodzi, kiedy intencja, pobudza i rozświetla odrębny zlepek pól energetycznych. Kiedy liczba świecących pól energetycznych wewnątrz kokonu przekroczy określoną wielkość, dostępne widzeniu czarownika stają się również same pola. Innym razem don Juan opisał mi sposób rozumowania wczesnych czarowników. Oto, widząc, zrozumieli, że świadomość powstaje, gdy pola energetyczne wewnątrz i na zewnątrz kokonu są ustawione w jednej linii Doszli więc do wniosku, że źródłem świadomości jest uporządkowanie. Jednakże po bliższym zbadaniu sprawy stało się jasne, że to, co zwali uporządkowaniem emanacji Orła, nie wyjaśnia należycie tego, co widzą. Zauważyli mianowicie, że pobudzeniu ulega tylko niewielka część świetlistych włókien wewnątrz kokonu, a inne pozostają bez zmiany. Widząc tych kilka pobudzonych włókien, doszli do błędnego wniosku: uznali, że włókna, aby się jarzyć, nie muszą być ułożone w jednej linii, jako że te zewnętrzne są tożsame z tymi wewnątrz kokonu – musi je pobudzać jakaś niezależna siła. Czarownicy nie chcieli nazywać jej jak dotąd, świadomością, ponieważ pod tą nazwą krył się blask podświetlonych pól energetycznych. Jak więc siłę rozpalającą pola nazwano wolą. Don Juan Powiedział mi wtedy, że kiedy czarownicy nauczyli się widzieć z większą głębią i precyzją, zrozumieli, że wola jest siłą, która rozdziela emanacje Orła i która odpowiada nic tylko za naszą świadomość, ale w ogóle za wszystko we wszechświecie. Zobaczyli, że owa siła ma własną wszechogarniającą świadomość, a jej źródłem są te same pola energetyczne, które tworzą wszechświat. Uznali wówczas, że terminem lepszym od woli będzie intencja, jednak i to określenie nie było doskonałe, ponieważ nie oddawało niebywałej ważności tej siły ani jej ścisłych związków ze wszystkim we wszechświecie. Don Juan podkreślił wówczas, że naszą wielką wspólną wadą jest to, że na co dzień kompletnie ignorujemy to połączenie. Pochłonięci codzienną krzątaniną, interesami, troskami, nadziejami oraz lękami, prawie nigdy nie uświadamiamy sobie faktu, że jesteśmy powiązani ze wszystkim, co istnieje wokół. Stwierdził, że chrześcijańska koncepcja wypędzenia z raju jest metaforą utracenia naszej milczącej wiedzy – wiedzy o intencji. W takim rozumieniu magia stawała się drogą do naszych początków, powrotem do raju. Siedzieliśmy w jaskini cicho i nieporuszenie przez kilka godzin, a może tylko parę chwil. Nagłe odezwanie się don Juana rozdrażniło mnie tak, że nie zrozumiałem, o czym mówi. Odchrząknąłem i poprosiłem o powtórzenie, co wyrwało mnie z zadumy. Szybko zorientowałem się, że ciemność nie jest już tak intensywna. Znowu mogłem mówić, poczułem, że moja świadomość powróciła do normy. Don Juan powiedział miękko, że oto po raz pierwszy w życiu widziałem ducha, dźwigającą wszechświat siłę. Podkreślił, że intencji nie da się wykorzystać, opanować ani poruszyć – mimo to można ją wykorzystać, opanować i poruszyć wedle własnego uznania. Owa sprzeczność jest istotą magii. Niezrozumienie tego paradoksu sprawiło, że całe pokolenia czarowników były dręczone niewysłowionym cierpieniem i smutkiem. Współcześni nagualowie, pragnąc uniknąć tej wygórowanej, bolesnej ceny, opracowali system zachowań, zwany drogą wojownika albo nieskazitelnym działaniem, który zapewniał czarownikom odpowiednie

przygotowanie, rozwijając w nich stateczność i rozwagę. Don Juan wyjaśnił, że był taki czas, bardzo dawno temu, kiedy czarowników niezwykle zajmowała więź intencji ze wszystkim, co istnieje. Koncentrując na tej więzi swą wtórną uwagę, zdobyli nie tylko bezpośrednią wiedzę, ale także zdolność manipulowania ową wiedzą i dokonywania zadziwiających czynów. Nie nauczyli się jednak trzeźwego myślenia, niezbędnego do właściwego używania zdobytej władzy. W przypływie rozsądku czarownicy postanowili skoncentrować swą wtórną uwagę jedynie na więzi łączącej intencję ze stworzeniami obdarzonymi świadomością. W grupie tej znalazły się wszystkie istoty organiczne oraz te, które czarownicy nazywają istotami nieorganicznymi albo sprzymierzeńcami. Opisuje się je jako jednostki świadome, ale pozbawione życia w naszym rozumieniu tego słowa. To rozwiązanie także nie przyniosło skutków, jako że nie dało czarownikom mądrości. Kolejnym krokiem było skupienie uwagi wyłącznie na więzi łączącej z intencją istoty ludzkie. Rezultaty były analogiczne. ~ I wreszcie czarownicy spróbowali maksymalnie uprościć problem – każdy z nich miał koncentrować się jedynie na własnej więzi. Również i to podejście okazało się jednak bezowocne. Don Juan powiedział, że jakkolwiek pomiędzy tymi kolejnymi próbami istniały znaczne różnice, wszystkie jednako wiodły na manowce. Ostatecznie czarownicy zajęli się wyłącznie: tym, w jaki sposób ich własna, indywidualna więź z intencją może ich wyzwolić, tak aby mogli rozpalić swój wewnętrzny ogień. Podkreślił, że wszyscy żyjący obecnie czarownicy muszą usilnie dążyć do osiągnięcia trzeźwości umysłu. Nagual musi starać się tym bardziej, że jest od zwykłych czarowników silniejszy, lepiej panuje nad determinującymi percepcję polami energetycznymi oraz jest lepiej wyszkolony i zaznajomiony z tajnikami milczącej wiedzy, będącej niczym innym jak bezpośrednim kontaktem z intencją. . W tym rozumieniu magia staje się próbą odbudowania naszej wiedzy o intencji i odzyskania możliwości jej wykorzystywania, bez jednoczesnego ulegania jej pokusom. Natomiast abstrakcyjne wątki magicznych opowieści są cząstkami naszego zrozumienia, stopniami naszej świadomości intencji. Pojmowałem każdy szczegół wyjaśnień don Juana. Ale im więcej rozumiałem, im bardziej trafiało mi to do przekonania, tym bardziej byłem zagubiony i zniechęcony. W pewnej chwili całkiem serio zacząłem się zastanawiać, czy nie odebrać sobie życia. Czułem się jak skazaniec. liski płaczu, powiedziałem don Juanowi, że jego dalszy wykład nie ma sensu, gdyż z pewnością utracę jasność umysłu, a kiedy powrócę do normalnej świadomości, zapomnę, że cokolwiek widziałem lub słyszałem. Znowu wpadnę w kołowrót przyziemnych myśli, uczuć i usiłującej przewidzieć wszystko logiki. Oto skąd wziął się mój wisielczy nastrój – naprawdę nie mogłem ścierpieć wizji swego losu. Don Juan zarzucił mi, że nawet w stanie wzmożonej świadomości stale mówię to samo. Oświadczył, że moje napady, w czasie których zapewniam go o własnej marności, już go nudzą. Powiedział, że jeśli mam umrzeć, powinienem walczyć, a nie żałować siebie czy sobie współczuć – nie ma znaczenia, co nas spotyka, dopóki stawiamy temu czoło z takim oddaniem, na jakie nas stać. Jego słowa przepełniły mnie błogim szczęściem. Rozpływając się we łzach, powtarzałem raz po raz, że się z nim zgadzam. Byłem szczęśliwy tak bardzo, że zaniepokoił mnie stan moich nerwów. Zebrałem się w sobie i poczułem, jak mój umysł przejmuje kontrolę nad porywającym mnie uczuciem, jednak w tej samej chwili moje myśli zaczęły tracić klarowność. Zmagałem się ze sobą w milczeniu, próbując być jednocześnie mniej rzeczowy i mniej podekscytowany. Don Juan nie odzywał się, pozostawiając mnie własnemu losowi. Kiedy odzyskałem równowagę umysłu, na dworze zaczynało świtać. Don Juan wstał, podniósł ręce i przeciągnął się, napinając mięśnie i strzelając stawami. Pomógł mi wstać i oznajmił, że była to dla mnie noc oświecenia. Oto poznałem, czym jest duch, zdołałem także przywołać ukrytą moc, dzięki której dokonałem czegoś, co mogło się wydawać jedynie zapanowaniem nad nerwami, ale w istocie było bardzo udanym, dokonanym siłą woli przemieszczeniem mojego punktu scalającego. Mówiąc to, dał mi znać, że nadszedł czas powrotu.

8. PRZESKOK MYŚLOWY

Do domu don Juana doszliśmy rankiem, w porze śniadania. Byłem wygłodniały, ale nie zmęczony. Jaskinię opuściliśmy jeszcze o świcie, kierując się w stronę doliny. Zamiast najkrótszym szlakiem don Juan poprowadził mnie okrężną drogą, wzdłuż rzeki. Wyjaśnił, że nim dotrzemy do domu, musimy ochłonąć. Odpowiedziałem, że użycie liczby mnogiej jest z jego strony miłym gestem – sądziłem, że jedyną osobą, która ma zamęt w głowie, jestem ja. Don Juan odparł, że nie kieruje się uprzejmością, ale swoim przygotowaniem wojownika. Powiedział, że wojownik musi ustawicznie wystrzegać się właściwego zwykłym ludziom prostactwa, albowiem jest istotą urzekającą, choć bezwzględną – samotnikiem o wykwintnym smaku i manierach, którego ziemskim celem jest ostrzyć broń i trzymać ją w ukryciu, tak aby nikt nie domyślił się jego bezwzględności. Po śniadaniu pomyślałem, że nie od rzeczy będzie się przespać jednak don Juan utrzymywał, iż nie powinienem tracić na to czasu. Powiedział, że niestety wkrótce utracę tę odrobinę jasności umysłu, która mi jeszcze Pozostała. Gdybym zasnął, znikłaby od razu.

– Nietrudno zgadnąć, że o intencji właściwie nie da się rozmawiać – powiedział pośpiesznie, przyglądając mi się badawczo. – Samo jednak stwierdzenie tego nic nie wnosi. Z tego właśnie powodu czarownicy uciekają się do magicznych opowieści, z nadzieją, że ich abstrakcyjne wątki przemówią kiedyś do słuchaczy.

Rozumiałem jego słowa, jednak nadal nie pojmowałem, czym jest abstrakcyjny wątek i jakie miało być jego znaczenie w moim przypadku. Kiedy próbowałem się nad tym zastanowić, zalał mnie potok myśli, obrazy przelatywały przez mój umysł tak szybko, że nie mogłem się na nich skoncentrować. Nie umiałem ich spowolnić na tyle, by je rozpoznać. W końcu ogarnął mnie gniew i uderzyłem pięścią w stół.

Don Juan zatrząsł się ze śmiechu.

– Zrób to, co wczorajszej nocy – poradził, mrugając do mnie okiem. – Zwolnij tempo. Moje nieudane próby wyzwoliły we mnie agresję: wszcząłem jakiś bezprzedmiotowy spór, a potem, kiedy pojąłem swój błąd, zacząłem przepraszać za brak opanowania.

– Nie przepraszaj – powiedział don Juan. – Muszę ci powiedzieć, że sprawa, którą chcesz zrozumieć, leży w tej chwili poza zasięgiem twoich możliwości. Być może później, to znaczy za wiele lat, uchwycisz jej sens.

Błagałem, by nie zostawiał mnie w mroku i omówił abstrakcyjne wątki. Nie było dla mnie jasne, co według niego miałem z nimi zrobić. Zapewniałem, że stan wzmożonej świadomości, w którym się znajduję, mógłby mi pomóc zrozumieć jego wyjaśnienia. Nakłaniałem, żeby się pośpieszył, bo nie byłem pewien, jak długo ten stan może potrwać. Powiedziałem – pół żartem, pół serio – że już niedługo, kiedy powrócę do swego zwykłego stanu, będę jeszcze głupszy niż wcześniej. Don Juan roześmiał się, zapewne nie traktując mnie poważnie. Ja natomiast, słysząc własne słowa, popadłem w melancholię. Don Juan łagodnie wziął mnie pod rękę, posadził w wygodnym fotelu, po czym usiadł naprzeciwko mnie. Wpatrywał się w moje oczy z taką siłą, że nie mogłem odwrócić wzroku.

– Czarownicy nieustannie osaczają samych siebie – powiedział pocieszająco, jakby chciał mnie ukoić samym tonem głosu. Chciałem powiedzieć, że już jestem spokojny, a moje roztrzęsienie musiało być spowodowane brakiem snu, nie dał mi jednak dojść do słowa. Zaręczył, że nauczył mnie o osaczaniu wszystkiego, co mógł, i że do wiedzy tej, zmagazynowanej w zakamarkach mej wzmożonej świadomości, na razie nie potrafię dotrzeć. Powiedziałem mu wtedy o ogarniającym mnie uczuciu: miałem wrażenie, że coś mnie dławi. Czułem, że siedzi we mnie coś, co zniechęca mnie do wszystkiego i drażni, tak że chce mi się trzaskać drzwiami i przewracać stoły.

– Źródłem tego uczucia, którego wszyscy czasem doświadczamy – stwierdził – jest nasze połączenie z intencją, które w ten sposób przypomina o swoim istnieniu.

Czarownicy odczuwają to jeszcze intensywniej, właśnie dlatego, że aby sterować złączem z intencją, muszą je najpierw uwrażliwić. Kiedy intensywność oddziaływania złącza wzmaga się, czarownicy zmniejszają ją poprzez osaczania samych siebie.

– Wciąż nie mogę zrozumieć, co nazywasz osaczaniem – oznajmiłem. – Chociaż jednocześnie czuję, że gdzieś w głębi duszy pojmuję wszystko.

– Wobec tego postaram się wyjaśnić ci to, co sam już wiesz – rzekł don Juan. – Osaczanie jest bardzo prostą sprawą: to szczególny sposób postępowania, wymagający przestrzegania określonych reguł. Jest to zachowanie tajemnicze, ukradkowe, zwodnicze i szokujące. Osaczanie siebie polega na bezwzględnym i sprytnym potrząśnięciu sobą samym.

Don Juan powiedział, że kiedy świadomość czarownika zapada się pod naporem doznań – co właśnie działo się ze mną – najlepszą, a czasami jedyną metodą osaczenia się jest wywołanie wstrząsu za pomocą pojęcia śmierci.

– Dlatego wyobrażenie śmierci ma w życiu czarownika fundamentalne znaczenie – kontynuował. – Zawsze chciałem cię przekonać, że wiedza o naszym bliskim, nieuchronnym końcu jest źródłem trzeźwości umysłu, i dlatego uczyłem cię bardzo wielu rzeczy dotyczących śmierci. Najkosztowniejszym błędem, jaki my, zwykli ludzie, możemy popełnić, jest żywienie nadziei, iż jesteśmy nieśmiertelni – zupełnie jakbyśmy wierzyli, że jeśli nie będziemy myśleli o śmierci, uchronimy się przed nią.

– Musisz przyznać, don Juanie, że niemyślenie o śmierci z pewnością ratuje nas przed martwieniem się nią.

– Owszem, temu służy to znakomicie – przyznał. – Jednak taki cel jest bezwartościowy dla przeciętnego człowieka, a dla czarownika jest po prostu kpiną. Brak jasnego wyobrażenia śmierci pozbawia nasze życie porządku, trzeźwości i piękna. Dlatego czarownicy ze wszystkich sił starają się przedstawić sobie ten istotny obraz. Dzięki niemu potrafią z całą wyrazistością pojąć, że mogą umrzeć w każdej chwili. Ta świadomość daje im odwagę, by być cierpliwym, a jednak działać; by być posłusznym, nie stając się głupim. Don Juan wpatrywał się we mnie. Uśmiechnął się i skinął głową.

– Tak właśnie sprawy się mają – ciągnął. – Wyobrażenie śmierci jest jedynym źródłem odwagi czarowników. Dziwne, nieprawdaż? Dzięki temu obrazowi stać ich na przebiegłość wolną od pr6żności, a przede wszystkim na bezwzględność bez obawy o zarozumiałość.

Uśmiechnął się ponownie i szturchnął mnie łokciem. Powiedziałem, że wyobrażenie własnej śmierci niesamowicie mnie przeraża. Rozmyślam o niej ciągle, ale z pewnością nie daje mi to odwagi ani nie pobudza do działania – raczej staję się cyniczny albo przygnębiony.

– Twój problem jest bardzo prosty – stwierdził don Juan. – Trudno ci się pozbyć natrętnych myśli i wyobrażeń. Mówiłem ci już, że czarownicy walczą z obsesją, osaczając samych siebie. Istnieje wiele sposobów osaczania Jeśli nie chcesz posłużyć się wyobrażeniem własnej śmierci, wykorzystaj wiersze, które mi czytałeś.

– Słucham?

– Powiedziałem ci już, ze lubię poezję z wielu powodów – odpowiedział. – Używam jej do osaczania samego siebie, przy jej pomocy potrząsam własnym jestestwem. Kiedy czytasz, przysłuchuję się, ucinam toczący się w mym wnętrzu dialog i pozwalam przybrać na sile wewnętrznemu milczeniu. Wówczas poezja miesza się z milczeniem, wywołując wstrząs. Wyjaśnił przy tym, że poeci nieświadomie tęsknią za światem magii. Ponieważ jednak nie są poszukującymi wiedzy czarownikami, tęsknota jest wszystkim, co im pozostaje.

– Zobaczmy, czy poczujesz, o co mi chodzi – powiedział, wręczając mi wybór wierszy Jose Gorostizy.

Otworzył książkę w założonym miejscu i wskazał swój ulubiony utwór.

...tę śmierć żywą, zawzięte
konanie nieustanne
które Cię, Boże, zabija
w twoich kształtach starannych,
i w różach, i w kamieniach,
i w owych gwiazdach hardych,
i w Ciele, co się spopiela
niczym stos podpalony
przez śpiew, przez sen głęboki
i przez spojrzenia barwę
... Boże, na odpryskach Twoich,
tych, co przed wiekami wieków
może Cię zabiły ongiś,
a myśmy nic nie wiedzieli,

okruchy, fusy, popioły
po Tobie, który wciąż jesteś
obecny jak gwiazda owa
przez światło swoje skłamana
światło bez gwiazdy, jałowe,
co ziemi sięga i kryje
bezmierną jej katastrofę.

Jose Gorostiza, Śmierć nieskończona, przekł. Krzysztof Andrzej Jeżewski, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1971, wyd. I

– Słysząc te słowa – odezwał się don Juan, kiedy skończyłem czytać – czuję, że ten człowiek widzi istotę rzeczy. Możemy widzieć ją razem: on i ja. Nie obchodzi mnie, o czym ten wiersz opowiada. Ważne jest jedynie uczucie, jakie wzbudza we mnie tęsknota poety. Przejmuję jego nostalgię, a wraz z nią towarzyszące jej piękno. I nie mogę się nadziwić, że on, niczym prawdziwy wojownik, obsypuje tym bogactwem słuchaczy, swych odbiorców, pozostawiając dla siebie tylko tęsknotę. To dramatyczne przeżycie, doznanie tego wstrząsającego piękna, jest właśnie osaczaniem. Wywody don Juana poruszyły mnie do żywego, potrąciły nieznaną strunę w mym wnętrzu.

– Nie – odparł zdecydowanie..– Choć mogłoby się tak się zdawać, śmierć nie jest naszą nieprzyjaciółką ani niszczycielką.

– Czym więc jest w takim razie? – zapytałem.

– Czarownicy powiada-ją, że śmierć jest jedynym godnym nas przeciwnikiem, który rzuca nam wyzwanie. Naszym przeznaczeniem – zwykłych ludzi i czarowników – jest stanąć do walki, jednak tylko czarownicy zdają sobie z tego sprawę.

– Wydaje mi się, don Juanie, że to życie, a nie śmierć, jest dla nas próbą sił.

– Życie jest tylko ciągiem zdarzeń, za pomocą których śmierć nas wypróbowuje – odrzekł don Juan. – Śmierć jest działającą siłą, a życie areną, na której zmagają się tylko dwaj zawodnicy: śmierć i my sami.

– Sądziłem, że to my, ludzie, rzucamy wyzwanie śmierci – zaoponowałem.

– Nie masz racji – odparł. – Jesteśmy bierni. Pomyśl tylko jeżeli się poruszamy, to tylko wtedy, kiedy czujemy napór śmierci. To ona narzuca tempo naszym działaniom i intensywność uczuciom. Popycha nas bezlitośnie, aż nas zniszczy i wygra walkę, albo aż my dokonamy niemożliwego i ją pobijemy. Czarownicy pokonują śmierć, a ona uznaje swoją porażkę, pozwalając im odejść wolno i zostawiając ich na zawsze w spokoju.

– Czy oznacza to, że czarownicy stają się nieśmiertelni? – zapytałem.

– Nie, nie o to chodzi – odpowiedział. – Śmierć przestaje ich niepokoić, to wszystko.

– Ale co to znaczy, don Juanie?

– Oznacza to, że myślą dokonuje się przeskoku, sięgając tego, co niepojęte.

– No, ale co to znaczy, że myślą sięgamy niepojętego? – pytałem, starając się ukryć rosnącą agresję. – Problem polega na tym, że pewne określenia rozumiemy inaczej.

– Nie jesteś ze mną szczery – przerwał mi don Juan. – Przecież wiesz, co chcę powiedzieć. Żarty sobie stroisz, pytając mnie o racjonalne wytłumaczenie przeskoku myśli w obręb niepojętego. Dokładnie wiesz, co to znaczy.

– Nie, nie wiem – oświadczyłem.

Wtedy zdałem sobie sprawę, że wiem, a raczej wyczuwam, o co mu chodzi. Jakąś częścią swojego jestestwa potrafiłem wyjść poza racjonalne rozumowanie i pojąć, a nawet wyjaśnić, nie uciekając się do przenośni, przeskok myśli w obręb niepojętego. Kłopot w tym, że część ta była zbyt drobna, by dało się nią dowolnie sterować. Kiedy mu o tym powiedziałem, roześmiał się i przyrównał moją świadomość do huśtawki: w górnym położeniu panowałem nad sobą doskonale, w dolnym natomiast stawałem się racjonalnym tępakiem. Większość czasu spędzałem, wisząc bezużytecznie gdzieś pośrodku, jak nie wiadomo kto – ni pies, ni wydra.

– Przeskok myśli w obręb niepojętego – wyjaśnił z nutką rezygnacji – to zstąpienie ducha, akt przełamania barier naszej percepcji. Jest to moment, w którym ludzkie postrzeganie sięga granic. Czarownicy ćwiczą się w sztuce wysyłania zwiadowców, szperaczy, którzy penetrują granice percepcji. Właśnie dlatego lubię wiersze: traktuję je jak moich wysłańców. Oczywiście, jak ci już powiedziałem, czarownicy dużo lepiej od poetów wiedzą, co tacy zwiadowcy potrafią.

Wczesnym wieczorem don Juan powiedział, że mamy wiele spraw do omówienia, i zaproponował mi mały spacer. W moim umyśle działo się coś niepojętego. Już wcześniej zauważyłem u siebie dziwną powściągliwość, która to słabła, to przybierała na sile. Początkowo sądziłem, że to zwykłe fizyczne zmęczenie, które zaciemnia mi umysł – tak jednak nie było, jako że myśli formułowałem z niebywałą precyzją. Doszedłem więc do przekonania, że ta osobliwa rezerwa powstała za sprawą osiągnięcia odmiennego stanu świadomości. Wyszliśmy z domu i zaczęliśmy się przechadzać po miejscowym rynku. Nim don Juan zdążył się odezwać, pośpiesznie spytałem go 0 ogarniające mnie poczucie oderwania. Odrzekł, że jest to objaw przemieszczenia energii: kiedy wyzwoli się energię wykorzystywaną za zwyczaj do utrzymywania punktu scalającego w ustalonej pozycji, koncentruje się ona automatycznie na złączu z intencją. Zapewnił mnie, że nie istnieją metody ani techniki, dzięki którym czarownik mógłby się nauczyć na zapas jak przesuwać energię z miejsca na miejsce – ruch ten odbywa się automatycznie wraz z osiągnięciem określonego poziomu sprawności. Zainteresowało mnie, co ten poziom sprawności oznacza. Czyste zrozumienie, odrzekł don Juan. Aby energia przemieściła się w ten sposób, musimy wpierw oczyścić nasze złącze z intencją. Żeby tego dokonać, powinniśmy to tylko, za pomocą czystego zrozumienia, zaplanować. Chciałem, oczywiście, by wytłumaczył mi, czym jest czyste zrozumienie. Zaśmiał się i usiadł na ławce.

– Opowiem ci o czarownikach i ich magicznych czynach coś niezwykle ważnego – powiedział. – O tym, jak ich myśl wykracza poza granice rozumu. Niektórzy czarownicy, wyjaśnił, są gawędziarzami. Snucie historii to dla nich nie tylko wysyłanie zwiadowców badających granice ich percepcji, ale także sposób Osiągnięcia doskonałości, zdobycia mocy i dotarcia do ducha. Milczał przez chwilę, najwidoczniej szukając odpowiedniego przykładu. Przypomniał mi, że Indianie Yaqui wyróżniają pewien zbiór zdarzeń z historii, nazywany przez nich "pamiętnymi datami". Wiedziałem, że są to ustne relacje z historii ich narodu, z czasów prowadzenia wojen z najeźdźcami: najpierw Hiszpanami, potem Meksykanami. Don Juan, który sam był Yaqui, podkreślał, że pamiętne daty opisują klęskę i rozpad jego plemienia.

– A więc co ty, człowiek wykształcony, powiedziałbyś o czarowniku-gawędziarzu, który przypominając jakąś pamiętną datę, na przykład, historię Calixto Muni, zmieniłby jej zakończenie? Jednym słowem, zamiast opowiedzieć, jak to Calixto Muni został oprawiony i poćwiartowany przez hiszpańskich katów, co rzeczywiście się zdarzyło, przedstawiłby Calixta Muni jako zwycięskiego buntownika, który obdarza swój lud wolnością?

Znałem tę historię. Calixto Muni był Indianinem Yaqui, który aby nauczyć się sztuki wojennej, pływał długie lata po Morzu Karaibskim na statku pirackim. Kiedy powrócił do rodzinnej Sonory, zdołał wszcząć bunt przeciwko Hiszpanom i ogłosić wojnę o niepodległość, po to tylko, by zostać zdradzonym, pojmanym i straconym. Don Juan nakłaniał mnie, bym to skomentował. Powiedziałem, że tego rodzaju modyfikacja prawdziwej historii może być środkiem psychologicznym, pobożnym życzeniem czarownika. Albo, być może, w ten dziwaczny sposób ów bajarz radził sobie z własną frustracją. Dodałem, że można by nazwać tego czarownika patriotą, który nie umie przełknąć goryczy porażki.

Don Juan pokładał się ze śmiechu.

– Ale to nie jest kwestia jednego czarownika – gawędziarza – argumentował. – Oni wszyscy robią to samo.

-– W takim razie jest to przykład społecznie usankcjonowanego środka, poprzez który cała społeczność daje wyraz swym pobożnym życzeniom – odparłem. – Powszechnie akceptowany sposób zbiorowego uwolnienia się od psychicznego stresu.

– Mówisz gładko, przekonująco i rozsądnie – odpowiedział don Juan. – Ponieważ jednak twój duch jest martwy, nie potrafisz dostrzec swego błędu.

Wpatrywał się we mnie, jakby chciał wyczarować moje zrozumienie. Nie odzywałem się, gdyż mówiąc, nie umiałbym ukryć rozdrażnienia.

– Czarownik-gawędziarz, który zmienia zakończenie "rzeczywistej" relacji – powiedział w końcu don Juan – czyni to pod kierunkiem i patronatem ducha. Ponieważ potrafi manipulować swą nieuchwytną więzią z intencją, umie naprawdę zmieniać bieg rzeczy. Kiedy czarownik-gawędziarz

chce zasygnalizować swoją intencję takiego czynu, zdejmuje z głowy kapelusz, kładzie go na ziemi i obraca o pełne trzysta sześćdziesiąt stopni w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara. Dzięki tej prostej, wykonywanej w imię ducha czynności, czarownik staje się jednością z duchem: myślą sięga tego, co niepojęte. Don Juan uniósł rękę ponad głowę i wskazał na niebo nad horyzontem.

– Jego czyste zrozumienie jest zwiadowcą, penetrującym ten ogrom w oddali – dodał. – Dzięki niemu czarownik-gawędziarz nie ma nawet cienia wątpliwości, że w jakiś sposób gdzieś tam, w bezkresie, w tej właśnie chwili zstąpił duch. Oto Calixto Muni zwyciężył i wyzwolił swój lud. Wyznaczając swój cel przekroczył własne granice.

9. PRZEMIESZCZANIE PUNKTU SCALAJĄCEGO

Parę dni później wybraliśmy się z don Juanem na wycieczkę w góry. W połowie drogi do podnóża gór usiedliśmy, by odpocząć. Wcześniej tego dnia don Juan postanowił poszukać stosownego miejsca, w którym mógłby mi wytłumaczyć pewne tajniki sztuki świadomości. Zazwyczaj wybierał bliżej położone, zachodnie pasmo górskie, tym razem jednak zdecydował się skierować na wschód, w stronę szczytów dużo wyższych i dalej położonych. Mnie wydały się bardziej złowieszcze, ciemne i masywne. Nie wiem, czy było to moje własne wrażenie, czy też w jakiś sposób przyswoiłem sobie uczucia, jakie góry te wzbudzały w don Juanie. Otworzyłem plecak spakowany przez wróżki z grupy don Juana, znajdując tam przygotowany dla mnie ser. Rozdrażniło mnie to, bo chociaż lubiłem ser, nie służył mojemu żołądkowi. Nigdy nie potrafiłem jednak odmówić, gdy mnie nim częstowano. Don Juan uznawał to za prawdziwą słabość i Śmiał się ze mnie. Z początku wprawiało mnie to w zakłopotanie, ale później odkryłem, że kiedy nie widzę sera, nie tęsknię za nim. Problem polegał na tym, że żartownisie z grupy czarowników don Juana zawsze pakowali mi do plecaka spory kawał sera, który, rzecz jasna, w końcu zawsze zjadałem.

– Zjedz go od razu – doradził mi don Juan ze złośliwym błyskiem w oku. – W ten sposób nie będziesz musiał się nim już więcej martwić.

Zapewne pod wpływem jego rady zachciało mi się nagle pochłonąć od razu cały kawałek. Don Juan śmiał się tak bardzo, iż zacząłem podejrzewać, że znowu uknuł ze swymi towarzyszami spisek, żeby wytrącić mnie z równowagi. Nieco poważniej zaproponował, abyśmy przenocowali u podnóża gór, a podróż w wyższe partie rozłożyli sobie na dzień lub dwa. Przystałem na to. Zapytał od niechcenia, czy udało mi się przypomnieć sobie cokolwiek na temat czterech form osaczania. Przyznałem, że pomimo prób moja pamięć mnie zawiodła.

– Czy nie pamiętasz, jak nauczyłem cię istoty bezwzględności? – spytał.

– Bezwzględności, która wyklucza użalanie się nad sobą?

Nie mogłem sobie nic przypomnieć. Don Juan przez chwilę jakby zastanawiał się, co powiedzieć, zaraz jednak dał sobie spokój. Wydął usta w żartobliwym grymasie rezygnacji. Wzruszył ramionami, wstał i szybkim krokiem wszedł na pobliski mały pagórek.

– Wszyscy czarownicy są bezwzględni – powiedział, kiedy usiedliśmy na płaskim wzniesieniu. – Ale przecież ty to wiesz. Wyczerpaliśmy już ten temat.

Po dłuższym milczeniu oświadczył, że wrócimy teraz do abstrakcyjnych wątków magicznych historii, jednakże zamierza mówić o nich coraz mniej, albowiem zbliża się czas, w którym ich odkrycie i przyzwolenie, by wyjawiły swoje znaczenie, będzie zależało ode mnie.

– Jak ci już powiedziałem – rzekł – czwarty abstrakcyjny wątek magicznych opowieści określa się mianem zstąpienia ducha albo poruszenia przez intencję. Historia ta opowiada, że aby ujawnić tajemnice magii znanemu nam człowiekowi, duch musiał do niego zstąpić. Stosowny moment nadszedł, kiedy nasz śmiertelnik był zdekoncentrowany i nieostrożny. Wówczas sama obecność ducha wystarczyła, by punkt scalający człowieka przemieścił się w określone położenie, zwane przez czarowników "bezlitosnym miejscem". W tym rozumieniu bezwzględność stała się pierwszą regułą magii. Pierwszej reguły nie należy mylić z pierwszym efektem stażu u czarownika, którym jest przechodzenie pomiędzy zwykłą i odmienną świadomością.

– Nie rozumiem, co chcesz mi powiedzieć – poskarżyłem się.

– Chcę Powiedzieć, że wedle wszelkiego prawdopodobieństwa poruszenie punktu scalającego jest pierwszą rzeczą, która przytrafia się adeptowi sztuk tajemnych – odparł don Juan. – Tak więc nic dziwnego, że w tym upatruje on najważniejszą z zasad magii. Tu jednak mija się z prawdą, gdyż pierwszą regułą magii jest bezwzględność. No, ale o tym już rozmawialiśmy, teraz tylko próbuję przypomnieć ci to, o czym zapomniałeś. Chociaż mógłbym przysiąc, że nie wiem, o czym mówi, miałem jednocześnie dziwne wrażenie, iż wiem wszystko.

– Przywołaj wspomnienie pierwszego razu, kiedy uczyłem cię bezwzględności – nalegał. – Wspominanie łączy się z ruchem punktu scalającego.

Odczekał chwilę, chcąc sprawdzić, czy posłuchałem jego rady. Ponieważ było jasne, że nie, wrócił do wyjaśnień. Powiedział, że chociaż osiąganie wzmożonej świadomości jest sprawą wielce

zagadkową, do jej osiągnięcia potrzeba tylko jednego: obecności ducha.

Oświadczyłem, że albo on mówi mgliście, albo ja jestem zbyt tępy, bo nie mogę nadążyć za jego rozumowaniem. Odpowiedział stanowczo, że moje zakłopotanie nie ma znaczenia – jedyną ważną rzeczą jest, żebym zrozumiał, iż sam tylko kontakt z duchem może w dowolny sposób przemieścić punkt scalający.

– Mówiłem ci już, że nagual jest medium dla ducha – kontynuował. – Nagual poświęca całe swoje nieskazitelne życie określeniu własnej więzi z intencją, a ponadto ma więcej energii od zwykłego człowieka. Z tych powodów w jego działaniach może uzewnętrznić się duch. Zatem pierwsze doświadczenie ucznia, wejście na inny poziom świadomości, dokonuje się wyłącznie za sprawą obecności naguala. Chcę tylko, byś wiedział, że nie istnieją procedury przemieszczania punktu scalającego. Duch dotyka ucznia i jego punkt scalający się porusza. To wszystko. Powiedziałem, że jego twierdzenia mnie niepokoją, ponieważ przeczą temu, o czym z wielkim mozołem przekonałem się na własnej skórze. Otóż byłem przekonany, że można celowo wprowadzić kogoś w stan wzmożonej świadomości – w moim przypadku służył temu niewytłumaczalny, choć niepozorny manewr, którym don Juan manipulował moją percepcją. Przez całe lata naszej znajomości zawsze wprowadzał mnie w odmienny stan świadomości, uderzając mnie w plecy nie omieszkałem zwrócić mu uwagi na ten paradoks. Odrzekł, że walenie mnie po plecach było raczej sztuczką, mającą odwrócić moją uwagę i rozwiać wątpliwości, niż rzeczywistą manipulacją percepcji. Ponieważ był osobą z natury opanowaną, jego fortel był nieskomplikowany. Całkiem poważnie dodał, że mam szczęście, iż jest tylko zwykłym człowiekiem, wolnym od dziwacznych upodobań. W przeciwnym razie miejsce prostych wybiegów zajęłyby kuriozalne rytuały, mające uwolnić mnie od wątpliwości i przygotować mój punkt scalający do ruchu, którego sprawcą jest sam duch.

– Jedyne, czego trzeba, by ulec czarom, to rozwiać wątpliwości – powiedział. – Wtedy wszystko staje się możliwe.

Przypomniał mi pewne zdarzenie, którego byłem świadkiem kilka miesięcy wcześniej w Mexico City. To, co zobaczyłem, było dla mnie kompletnie niezrozumiałe, dopóki don Juan nie przedstawił mi tego wydarzenia z punktu widzenia czarownika. Oglądałem wtedy paranormalną operację chirurgiczną, której poddano jednego z moich przyjaciół. Zabieg wykonywała sławna znachorka. Zanim przystąpiła do operacji, weszła w dramatyczny trans. Widziałem wyraźnie, jak rozcina kuchennym nożem brzuch mojego przyjaciela w okolicy pępka, wyjmuje jego chorą wątrobę, przemywa ją w naczyniu z alkoholem, wkłada z powrotem, po czym zamyka bezkrwawą ranę samym naciskiem dłoni. Świadków było więcej, w półmroku stało jeszcze kilka osób. Niektórzy wyglądali na ciekawskich obserwatorów, jak ja inni byli raczej pomocnikami znachorki. Po operacji rozmawiałem z trzema spośród obserwatorów – wszyscy potwierdzili, że widzieli to, co ja. Mój przyjaciel, pacjent, powiedział, że w czasie zabiegu czuł tępy ból w brzuchu i palenie w prawym boku. Opisałem kiedyś to wszystko don Juanowi. Pokusiłem się nawet o cyniczne wyjaśnienie tego zjawiska. Panujący w tamtym pokoju półmrok, jak sądziłem, sprzyjał doskonale wszelkim kuglarskim sztuczkom, którymi należało tłumaczyć rzekome wyjmowanie narządów wewnętrznych i ich płukanie w alkoholu. Szokujący, dramatyczny trans znachorki, który także uważałem za oszustwo, stworzył atmosferę nieomal religijną.

Don Juan od razu wytknął mi błąd: moja cyniczna wersja wydarzeń nie wyjaśniała faktu, że mój przyjaciel naprawdę poczuł się lepiej. Zaproponował wytłumaczenie odmienne, oparte na wiedzy czarowników. Otóż osią całego wydarzenia był oczywisty fakt, że znachorka potrafiła przemieszczać punkty scalające określonej liczby osób w swoim otoczeniu. Jedyna sztuczka, o ile w ogóle można było tak to nazwać, polegała na tym, że w pokoju mogło być tylko tyle osób, z iloma mogła się uporać. Don Juan uznał wówczas, że ekstaza i dramatyzm zachowania znachorki były albo pomysłowymi środkami dla odciągnięcia uwagi widzów, albo nieświadomymi manewrami podyktowanymi przez samego ducha. Tak czy owak, były to najodpowiedniejsze z metod, za pomocą których znachorka mogła osiągnąć jedność myśli, dzięki czemu zdołała rozwiać wątpliwości osób obecnych na sali i zmusić je do osiągnięcia wzmożonej świadomości. Rozcinanie ciała kuchennym nożem i wyjmowanie wnętrzności nie było, jak podkreślił don Juan, kuglarstwem. Były to prawdziwe, wymykające się zwykłemu osądowi wydarzenia, odbywające się w przestrzeni wzmożonej świadomości. Spytałem go wtedy, w jaki sposób kobieta zdołała poruszyć punkty scalające tych ludzi bez ich dotykania. Odparł, że moc znachorki – dar natury albo zdumiewające osiągnięcie – polegała na stawaniu się medium dla ducha: to on, a nie kobieta, dokonał przemieszczenia.

– Wyjaśniłem ci wtedy, choć nie zrozumiałeś z tego ani słowa – kontynuował don Juan – że kunszt i siła znachorki polegały na rozwiewaniu wątpliwości otaczających ją osób. W ten sposób umożliwiała

duchowi przemieszczenie punktów scalających. Kiedy punkty zostały poruszone, wszystko stało się możliwe: ludzie ci weszli w krainę, w której cuda są na porządku dziennym. Podkreślił z naciskiem, że znachorka musiała być czarownicą. Jeśli się postaram, na pewno przypomnę sobie, że w czasie operacji kobieta była dla ludzi, a zwłaszcza samego pacjenta, bezwzględna. Przekazałem don Juanowi to, co mogłem sobie przypomnieć. Kiedy znachorka weszła w trans, barwa i wysokość jej głosu zmieniły się dramatycznie: zamiast nijakiego, kobiecego głosiku odezwał się głęboki chrapliwy bas. Głos oznajmił, że ciało znachorki zostaje objęte w posiadanie przez ducha starożytnego wojownika z epoki prekolumbijskiej. Po tym oświadczeniu w zachowaniu uzdrowicielki zaszła widowiskowa przemiana: stała się opanowana, absolutnie pewna siebie i stanowcza.

– Wolę określenie "bezwzględny" niż "pewny siebie" i "stanowczy". Ta znachorka musiała być bezwzględna, żeby stworzyć odpowiednie warunki dla ingerencji ducha – oświadczył don Juan.

Podkreślił, że trudne z pozoru do wytłumaczenia wydarzenia, jak cała ta operacja, są w istocie bardzo proste. Stają się Skomplikowane, ponieważ uparcie trzymamy się rozumu. Gdybyśmy nad nimi nie rozmyślali, wszystko samo znalazłoby swoje miejsce.

– To oczywisty absurd – powiedziałem poważnie.

Przypomniałem mu, że zawsze wymagał od swoich uczniów sprawnego myślenia, a nawet krytykował własnego nauczyciela za niedostatki rozumowania.

– To jasne, że chcę, aby ludzie, z którymi się stykam, myśleli rozsądnie – odpowiedział. – I wyjaśniam wszystkim, którzy chcą mnie słuchać, że najlepszym sposobem na rozsądne myślenie jest nie myśleć wcale. Byłem pewien, że zrozumiałeś już ten magiczny paradoks.

Głośno zaprotestowałem przeciwko tak niejasnemu sformułowaniu. Don Juan wyśmiał mój przymus samoobrony. Potem kolejny raz wyjaśnił mi, że czarownicy wyróżniają dwa rodzaje myślenia. Pierwsze, zwyczajne, kierowane przez normalną pozycję punktu scalającego, jest tak pogmatwane, że pozostawia tylko zamęt w głowie. Do niczego się właściwie nie nadaje. Drugie to myślenie precyzyjne: jest przydatne, oszczędne i niewiele pytań pozostawia bez odpowiedzi. Don Juan zwrócił mi uwagę, że aby ten drugi rodzaj myślenia mógł wziąć górę, trzeba poruszyć punkt scalający albo przynajmniej umożliwić jego przemieszczenie, powstrzymując się od zwyczajnego, codziennego myślenia. I oto cały paradoks, w którym tak naprawdę nie ma sprzeczności.

– Chciałbym, żebyś przypomniał sobie coś, czego kiedyś dokonałeś – powiedział. – Chcę, żebyś przywołał pewien szczególny ruch twojego punktu scalającego. W tym celu musisz przestać myśleć w zwyczajny sposób, a wtedy drugi rodzaj myślenia, zwany przeze mnie przenikliwym, weźmie górę i przywoła wspomnienie.

– Ale jak mam przestać myśleć? – spytałem, chociaż z góry znałem jego odpowiedź.

– Swoją intencją ruchu punktu scalającego – odparł. – Intencję przyzywa się oczami.

Przyznałem mu się do mojej umysłowej huśtawki: chwile niezwykłej jasności, w których wszystko było przejrzyście proste, przeplatały się z przemożnym mentalnym zmęczeniem, kiedy to nie rozumiałem nic z tego, co mówi. Próbował mnie pocieszyć, mówiąc o odpowiedzialnym za mój stan drżeniu punktu scalającego, który nie ustabilizował.

– O jaką nową pozycję ci chodzi, don Juanie? – zapytałem.

– Zdarzyło się to parę lat, temu. Tę właśnie chwilę masz sobie przypomnieć. Twój punkt scalający sięgnął wtedy bezlitosnego miejsca.

– Słucham?

– Bezlitosne miejsce jest siedzibą bezwzględności – odpowiedział. – No, ale ty to wszystko wiesz. Na razie, dopóki sobie nie przypomnisz, powiedzmy, że bezwzględność, będącą konkretnym położeniem punktu scalającego, widać po oczach czarowników. Jest niczym błyszcząca warstwa powlekająca ich gałki oczne. Oczy czarowników lśnią: im większy blask, tym bardziej bezwzględny czarownik. W twoich oczach w tej chwili nie widać żadnego światła. Wyjaśnił mi, że kiedy punkt scalający osiąga bezlitosne miejsce, oczy czarownika się rozjarzają. Im mocniej punkt scalający tkwi w swej nowej pozycji, tym blask staje się jaśniejszy.

– Próbuj przywołać to, co już o tym wiesz – zachęcał. Milczał przez chwilę, po czym przemówił, nie patrząc na mnie.

– Przywoływanie to nie to samo, co przypominanie sobie – mówił. – Przypominaniem rządzi zwyczajne myślenie, a przywoływaniem kieruje ruch punktu scalającego. Kluczem do poruszenia

punktu scalającego jest dla czarownika podsumowanie własnego życia. Rekapitulacja ta zaczyna się od myślenia, od przypominania sobie najważniejszych czynów, jakich dokonali. Czarownik z początku tylko rozmyśla, a potem naprawdę przenosi się na arenę danego zdarzenia. Kiedy rzeczywiście się tam znajdzie, oznacza to, że udało mu się nadać punktowi scalającemu położenie odpowiadające dokładnie miejscu zdarzenia. Przywracanie całego zdarzenia za pomocą przesuwania punktu scalającego nazywa się magicznym przywoływaniem. Przyglądał mi się przez chwilę, jakby chcąc upewnić się, czy słucham.

– Nasze punkty scalające ustawicznie, chociaż nieznacznie, zmieniają swoje położenie – wyjaśnił. – Czarownicy uważają, że aby przesunąć je w określone miejsce, trzeba zaangażować intencję. Ponieważ intencji nie da się poznać, przywołują ją oczami.

– Nic z tego nie rozumiem – powiedziałem.

Don Juan założył ręce za głowę i położył się na ziemi. Poszedłem w jego ślady. Leżeliśmy cicho przez dłuższą chwilę. Wiatr przeganiał chmury, a ich ruch przyprawiał niemal o zawrót głowy. Nagle moje oszołomienie przerodziło się w znajome cierpienie. Zawsze kiedy znajdowałem się w pobliżu don Juana, zwłaszcza gdy odpoczywaliśmy lub nic się nie działo, czułem ogarniającą mnie rozpacz, a może raczej tęsknotę za czymś nieopisanym. Uczucie to nie pojawiało się nigdy, kiedy byłem sam lub z innymi ludźmi. Don Juan wytłumaczył mi kiedyś, że to, co odczuwam i odbieram jako tęsknotę, jest w istocie raptownym ruchem mojego punktu scalającego.

Kiedy się odezwał, było to tak nieoczekiwane, że musiałem usiąść, poruszony brzmieniem jego głosu.

– Musisz przywołać ten moment, w którym twoje oczy zaczęły błyszczeć – powiedział – albowiem wtedy po raz pierwszy twój punkt scalający dotarł do bezlitosnego miejsca. Wówczas zawładnęła tobą bezwzględność – to ona rozpala oczy czarownika, a blask ten przyzywa intencję. Każde położenie punktu scalającego czarownika jest oznaczone specyficznym blaskiem jego oczu. Ponieważ oczy mają własną pamięć, wspomnienie związane z określonym położeniem punktu scalającego można przywołać, wywołując odpowiedni blask oczu.

Wyjaśnił mi, że czarownicy podkreślają znaczenie tego blasku i spojrzenia w ogóle, ponieważ oczy są bezpośrednio powiązane z intencją. Wygląda to na paradoks, ale ich połączenie z naszym codziennym światem jest tylko powierzchowne – oczy są przede wszystkim związane z abstrakcją. Odparłem, że trudno mi pojąć, jak w moich oczach mogą pomieścić się tego typu informacje. Don Juan odrzekł, że ludzkie możliwości są tak olbrzymie, iż czarownicy, zamiast o nich rozmyślać, zdecydowali się je zgłębić, porzucając wszelką nadzieję ich zrozumienia. Zadąłem pytanie, czy oczy zwykłych ludzi także podlegają wpływowi intencji.

– Oczywiście! – wykrzyknął. – Wiesz o tym doskonale. Twoja wiedza siedzi jednak tak głęboko, że staje się wiedzą milczącą. Brak ci energii, by ją wyłożyć nawet sobie samemu. Zwykły śmiertelnik na temat swoich oczu wie to, co i ty, ma jednak jeszcze mniej energii. Jedyną przewagę nad przeciętnym człowiekiem daje czarownikowi zmagazynowana energia, pozwalająca mu lepiej określić i oczyścić swoje złącze z intencją. Jest oczywiste, że to dzięki niej czarownik może dowolnie odtwarzać wspomnienia, poruszając swój punkt scalający za pomocą blasku oczu.

Don Juan przerwał i skupił na mnie wzrok. Miałem wrażenie, że jego oczy wodzą, popychają i pociągają coś nieokreślonego w moim wnętrzu. Nie mogłem odwrócić wzroku. Jego oczy dosłownie paliły: było mi gorąco jak w piecu. Niespodziewanie moje spojrzenie skierowało się do wewnątrz. Było to trochę tak, jakbym zadumał się w roztargnieniu. Jednocześnie ogarnęło mnie niezwykłe, intensywne uczucie samoświadomości, a wszystkie myśli gdzieś uciekły. Zdając sobie sprawę ze wszystkiego, spoglądałem w głąb siebie, w nicość. Gigantycznym wysiłkiem woli otrząsnąłem się z tego odczucia i wstałem.

– Coś ty ze mną zrobił, don Juanie:? – zapytałem.

– Czasami trudno z tobą wytrzymać – odpowiedział. – Twoje marnotrawstwo doprowadza mnie do szału. Twój punkt scalający zbliżał się właśnie do najdogodniejszego położenia, w którym mógłbyś przywołać każde wspomnienie, a ty co zrobiłeś? Zostawiłeś to wszystko, żeby mnie spytać, co ci uczyniłem.

Nie odzywał się przez chwilę. Kiedy usiadłem, na jego twarzy pojawił się uśmiech.

– No, ale irytujące zachowanie jest twoją największą zaletą – dodał. – Dlaczego więc miałbym narzekać?

Obydwaj wybuchnęliśmy śmiechem, ponieważ przypomniało nam się pewne wydarzenie. Kilka lat wcześniej niezwykłe poświęcenie, z jakim don Juan mi pomagał, budziło we mnie podziw, a jednocześnie niezmiernie mnie kłopotało. Nie umiałem znaleźć wytłumaczenia dla jego troski. Było jasne, że mógłby doskonale się beze mnie obejść – z pewnością nie oczekiwał jakichś przyszłych korzyści. Bolesne życiowe doświadczenia nauczyły mnie jednak, że nie ma nic za darmo. Niemożność przewidzenia tej zapłaty spędzała mi sen z powiek. Pewnego razu zapytałem go wprost, z cyniczną nutką w głosie, co daje mu nasz związek. Dodałem, że sam nie potrafię zgadnąć.

– Nic, co mógłbyś zrozumieć – odparł.

Jego odpowiedź mnie rozdrażniła. Zaczepnym tonem oświadczyłem, że nie jestem głupi, a więc mógłby przynajmniej spróbować mi to wyjaśnić.

– No dobrze, powiedzmy, że chociaż jesteś w stanie to pojąć, na pewno ci się to nie spodoba – oznajmił z uśmiechem, który zapowiadał, że chce wprawić mnie w zakłopotanie. – Widzisz, chcę ci tego oszczędzić.

Musiałem brnąć dalej. Nalegałem, by powiedział mi, co ma na myśli.

– Czy na pewno chcesz usłyszeć prawdę? – spytał, wiedząc, że nie zaprzeczę, choćby miało od tego zależeć moje życie.

– Jasne. Chcę wiedzieć, co chowasz w zanadrzu – oznajmiłem sarkastycznie.

Zaśmiał się, jakby usłyszał żart. Im głośniejszy był jego śmiech, tym większa była moja irytacja.

– Nie wiem, co cię tak rozbawiło – powiedziałem.

– Czasami nie należy dobierać się do ukrytej prawdy – odpowiedział. – Jest ona niczym głaz, kamień węgielny leżący głęboko pod wielką stertą rzeczy. Jeżeli poruszymy fundament, nastąpią skutki, które mogą nam się nie spodobać. Wolałbym tego uniknąć.

I znowu się roześmiał. Złośliwy błysk w jego oczach jakby zachęcał mnie do zagłębiania się w to zagadnienie, a więc nalegałem, by mi o tym powiedział. Starałem się mówić łagodnie, lecz stanowczo.

– Skoro tego pragniesz... – zawiesił głos jak ktoś, kto wbrew swej woli uległ czyjejś prośbie. – Przede wszystkim chcę powiedzieć, że wszystko, co robię dla ciebie, jest za darmo. Nie musisz mnie spłacać. Jak wiesz, zachowuję się wobec ciebie nieskazitelnie. Zdajesz sobie również sprawę, że moja przykładność nie jest inwestycją. Nie wychowuję cię po to, żebyś zaopiekował się mną, kiedy będę zbyt słaby, by o siebie zadbać. Jednak wynoszę z naszego związku coś nieocenionego, rodzaj zapłaty za nienaganne obchodzenie się z fundamentem, o którym ci wspominałem. Tego rodzaju nagrody zapewne nie zrozumiesz ani nie spodoba ci się to, co usłyszysz. Zatrzymał się i spoglądał na mnie z chochlikiem w oczach.

– Powiedz mi o niej, don Juanie! – wykrzyknąłem rozdrażniony jego odwlekaniem.

– Chcę, żebyś pamiętał, że powiedziałem ci o tym na twoje własne życzenie – oznajmił, ciągle się uśmiechając.

Znowu zamilkł. Byłem już u kresu wytrzymałości.

– Osądzając mnie na podstawie mojego postępowania – zaczął – musisz przyznać, że jestem wzorem cierpliwości i konsekwencji. Nie wiesz jednak, że aby tego dokonać, zmuszony byłem walczyć o swą nieskazitelność jak nigdy dotąd. Aby z tobą przebywać, musiałem z dnia na dzień zmieniać się i najwyższym wysiłkiem panować nad sobą.

Miał rację – wcale mi się to nie podobało. Nie chcąc tracić twarzy, spróbowałem ciętej riposty.

– Nie jestem wcale taki zły, don Juanie – powiedziałem.

Mój głos wydał mi się zaskakująco nienaturalny.

– A jednak to prawda – odrzekł poważnie. – Jesteś ograniczony, dogmatyczny, rozrzutny, porywczy i próżny, markotny, ociężały i niewdzięczny. Twoje zdolności do folgowania sobie są niezmierzone. Co najgorsze, masz o sobie wygórowane mniemanie, którego w rzeczywistości nic nie potwierdza. Powiem ci jeszcze, że sama twoja obecność przyprawia mnie o mdłości. Chciałem się rozzłościć, zaprotestować, poskarżyć się, że nie ma prawa tak do mnie mówić, nie mogłem jednak wydobyć z siebie ani jednego słowa. Byłem przybity i oniemiały. Wyraz mojej twarzy musiał być szczególny, ponieważ don Juan ryknął takim śmiechem, że omal się nie udławił.

– Mówiłem ci, że albo tego nie zrozumiesz, albo ci się to nie spodoba – powiedział. – Motywy

postępowania wojowników są bardzo proste, za to ich przebiegłość – niezmierzona. Wojownikowi rzadko trafia się gratka, żeby zachowywać się nienagannie pomimo tak istotnych uczuć. Właśnie ty dałeś mi tę wyjątkową szansę. Nieprzymuszone nieskazitelne działanie odmładza mnie i odnawia cud, którego doświadczam. Ze związku z tobą wynoszę coś naprawdę nieocenionego. To ja jestem twoim dłużnikiem.

Kiedy to mówił, w jego błyszczących oczach nie było ani śladu złośliwości. Don Juan zaczął wyjaśniać, co takiego ze mną zrobił.

– Jestem nagualem i poruszyłem twój punkt scalający blaskiem moich oczu – powiedział obojętnym tonem. – Oczy naguala mogą to sprawić. Nie ma w tym nic trudnego, jeśli weźmie się pod uwagę, że oczy każdej żywej istoty mogą poruszyć czyjś punkt scalający, zwłaszcza jeśli są skoncentrowane na intencji. Jednak zazwyczaj ludzie skupiają wzrok na sprawach tego świata, w poszukiwaniu jedzenia... albo schronienia... – Trącił mnie w ramię. – Albo miłości... – dodał i wybuchnął śmiechem.

Don Juan ustawicznie kpił z moich "poszukiwań miłości". Nigdy nie zapomniał naiwnej odpowiedzi, jakiej mu udzieliłem na pytanie, czego naprawdę szukam w życiu. Oczekiwał wtedy, że przyznam się, iż nie mam jasnego celu, i wprost skręcał się ze śmiechu, kiedy powiedziałem, że szukam miłości.

– Dobry myśliwy potrafi zahipnotyzować zwierzynę wzrokiem – kontynuował. – I chociaż swym spojrzeniem przemieszcza punkt scalający ofiary, jednak jego oczy, w poszukiwaniu żywności, spoglądają na ten świat.

Zadałem pytanie, czy czarownicy potrafią hipnotyzować spojrzeniem innych ludzi. Zachichotał i zasugerował, że tak naprawdę chciałbym wiedzieć, czy koncentrując się na ziemskim świecie w poszukiwaniu miłości, mógłbym hipnotyzować wzrokiem kobiety. Całkiem poważnie dodał, że od takich pokus chroni czarowników ich koncentracja na intencji – dzięki temu hipnotyzowanie kogokolwiek w ogóle ich nie interesuje.

– Aby jednak czarownik, a zwłaszcza nagual, mógł blaskiem swych oczu przemieścić czyjś punkt scalający – mówił dalej – musi być bezwzględny. Oznacza to, że powinien znać szczególne położenie punktu zwane bezlitosnym miejscem. Każdy nagual, jak powiedział mi don Juan, wypracował swój własny, specyficzny odcień bezwzględności. Jeżeli o mnie chodzi, to ze względu na wrodzoną niestabilność mej struktury, ukazuję się osobom widzącym jako świetlista sfera złożona nie z czterech – jak to zwykle bywa w przypadku naguala – ale z trzech połączonych w jedną kulę Taka konfiguracja powoduje, że automatycznie ukrywam swą bezwzględność pod maską pobłażliwości i swobodnego zachowania.

– Oceniając naguala, łatwo popełnić błąd – ciągnął don Juan. – Zawsze sprawia on wrażenie kogoś, kim nie jest, i robi to tak doskonale, że wszyscy, nawet ci, którzy go świetnie znają, wierzą w prawdziwość jego kostiumu.

– Nie wiem, jak możesz przypuszczać, że ukrywam się pod jakąś maską, don Juanie – protestowałem.

– Pragniesz uchodzić za człowieka pobłażliwego i zrelaksowanego – powiedział. – Sprawiasz wrażenie osoby wielkodusznej i współczującej. Nikt nie posądza cię o fałsz. Każdy mógłby przysiąc, że taki naprawdę jesteś.

– Ależ taki właśnie jestem!

Don Juan zgiął się wpół, tak go to rozśmieszyło. Rozmowa przybrała niemiły dla mnie obrót. Chciałem wyjaśnić sprawę do końca. Ostro zaprotestowałem, mówiąc, że postępuję uczciwie, a jeśli don Juan sądzi inaczej, niech poda mi konkretne przykłady. Odpowiedział, że ponieważ nie potrafię podchodzić do ludzi inaczej niż z bezwarunkową wspaniałomyślnością, mogą oni odnieść fałszywe wrażenie, że jestem rozluźniony i otwarty. Utrzymywałem, że jestem otwarty z natury. Don Juan zaśmiał się i spytał, dlaczego w takim razie zawsze podświadomie oczekuję, że moi rozmówcy będą sobie zdawać sprawę z mojej maskarady. Przypomniał mi, że jeśli ludzie brali moją rzekomą słabość za dobrą monetę, zwracałem się przeciwko nim z tą właśnie zimną bezwzględnością, którą starałem się ukryć. Jego uwagi sprawiły, że byłem bezsilny – nie mogłem znaleźć kontrargumentu. Siedziałem cicho, nie dając poznać po sobie, jak bardzo mnie zranił. Zastanawiałem się, co zrobić, a wtedy don Juan wstał i zaczął szykować się do odejścia. Schwyciłem go za rękaw, by go zatrzymać – był to odruch, który mnie samego zaskoczył, a jego rozśmieszył. Usiadł przy mnie znowu, wyglądał na zdziwionego.

– Nie chcę być natarczywy – powiedziałem – ale muszę się dowiedzieć czegoś więcej. To nie daje

mi spokoju.

– Porusz swój punkt scalający – nakazał mi don Juan. – Mówiliśmy już o bezwzględności – przywołaj ją!

Wpatrywał się we mnie z oczekiwaniem, musiał jednak dostrzec, że nie potrafię niczego przywołać, bo podjął temat nagualów i ich różnych wzorców bezwzględności. Powiedział, że jego własna metoda polega na stawianiu ludzi w sytuacji bez wyjścia. W obliczu jednoczesnej konieczności i niemożności ogarnia ich popłoch, podczas gdy on zachowuje pozory rozsądku i zrozumienia.

– A co z wyjaśnieniami, których mi zawsze udzielałeś? – zapytałem. – Czy nie są owocem rozsądku i pragnienia, bym zrozumiał?

– Nie – odrzekł. – Wynikają z mojej bezwzględności. Upierałem się, że naprawdę pragnę wszystko zrozumieć. Don Juan poklepał mnie po ramieniu i stwierdził, że istotnie, moja potrzeba zrozumienia jest prawdziwa, ale z moją wyrozumiałością jest wręcz przeciwnie. Dodał, że nagualowie maskują bezwzględność automatycznie, niekiedy nawet wbrew własnej woli. Kiedy go słuchałem, przemknęło mi przez głowę, że temat bezwzględności omówiliśmy wyczerpująco już dość dawno temu.

– Nie jestem rozsądny – mówił dalej don Juan, patrząc mi w oczy. – Wyglądam na takiego, bo moja maska jest bez zarzutu. To, co uważasz za rozsądek, jest w istocie moim nieprzejednaniem. Kompletny brak litości to właśnie bezwzględność. Ty natomiast skrywasz swój brak litości za fasadą wielkoduszności. Z pozoru jesteś otwarty i rozluźniony, naprawdę jednak jesteś równie wspaniałomyślny, jak ja rozsądny. Obaj jesteśmy oszustami. Sztukę ukrywania faktu, że nie znamy współczucia, opanowaliśmy do perfekcji. Natomiast dobroczyńca don Juana maskował swój brak litości postawą niefrasobliwego żartownisia, który nie potrafi się oprzeć pokusie płatania figli każdej napotkanej osobie.

– Mój dobroczyńca nosił maskę osoby szczęśliwej, spokojnej i nie dbającej o nic – mówił don Juan. – Ale w środku był, jak wszyscy nagualowie, zimny jak lód.

– Ależ ty wcale nie jesteś zimny, don Juanie – powiedziałem szczerze.

– A jednak to prawda – stwierdził. – To moja doskonała maska sprawia, że czujesz bijące ode mnie ciepło.

Następnie przedstawił mi maskę naguala Eliasa: tworzyły ją irytująca drobiazgowość i dosłowność, sprawiające wrażenie uważności i dokładności. Kiedy don Juan opisywał zachowanie naguala Eliasa, pilnie mi się przyglądał – chyba z tego powodu nie umiałem się skupić na jego słowach. Z wielkim wysiłkiem zbierałem myśli. Patrzył na mnie jeszcze przez moment, a potem ponownie przystąpił do objaśniania istoty bezwzględności. Jego objaśnienia nie były mi już jednak potrzebne. Oświadczyłem, że przywołałem to wspomnienie, o które mu chodziło: chwilę, w której moje oczy po raz pierwszy rozjarzył blask. Dawno temu, na samym początku mojego terminowania, osiągnąłem – bez niczyjej pomocy – nowy poziom świadomości: mój punkt scalający znalazł się w położeniu zwanym bezlitosnym miejscem.

10. BEZLITOSNE MIEJSCE

Don Juan oznajmił, że nie ma potrzeby, przynajmniej na razie, omawiania szczegółów przywołanego wspomnienia, ponieważ rozmowa służy tylko do przywoływania przeszłych zdarzeń – kiedy punkt scalający przemieści się, całe wydarzenie jest przeżywane na nowo. Dodał, że wspomnienie odtworzy się najlepiej, jeśli będziemy spacerowali. Tak więc wstaliśmy z miejsca. Szliśmy powoli, w milczeniu, szlakiem wiodącym w stronę gór, dopóki nie odtworzyłem całego zdarzenia. Pewnego popołudnia, kiedy wracając z Nogales w Arizonie, przejeżdżaliśmy przez przedmieścia Guaymas, miasta w północno-zachodnim Meksyku, zauważyłem, że z don Juanem dzieje się coś złego. Przez ostatnią godzinę był cichy i ponury jak nigdy wcześniej. Nie przejmowałem się tym aż do chwili, kiedy jego ciało wykrzywił nieopanowany skurcz. Broda opadła mu na klatkę piersiową jakby mięśnie karku nie mogły utrzymać ciężaru głowy.

– Niedobrze ci, don Juanie? – spytałem, zaalarmowany sytuacją.

Nie odpowiadał. Sapał, oddychając przez usta. W pierwszej części naszej podróży, która zajęła kilka godzin, wszystko z nim było w porządku. Dużo rozmawialiśmy na różne tematy. Kiedy zatrzymaliśmy się po paliwo w Santa Ana, gimnastykował się nawet, żeby rozluźnić mięśnie barków, wspierając się dłońmi o dach samochodu. Teraz sytuacja była całkiem inna.

– Co się z tobą dzieje, don Juanie? – zapytałem.

Poczułem, że strach ściska mi gardło. Don Juan ze spuszczoną głową wybełkotał, że chce jechać do pewnej restauracji. Powoli, drżącym głosem, opisał mi drogę. Zatrzymałem wóz na bocznej uliczce oddalonej o jedną przecznicę od restauracji. Kiedy chciałem wysiąść, don Juan schwycił mnie kurczowo za rękę. Ponieważ uparł się, że wysiądzie od mojej strony, musiałem mu pomóc przeleźć przez fotel kierowcy i wydostać się z samochodu – był to naprawdę karkołomny wyczyn. Gdy już wysiadł, wsparł się na mnie obydwiema rękami, by wyprostować plecy. W taki też sposób powlekliśmy się w stronę rudery, w której mieściła się knajpa. Don Juan wisiał mi na ramieniu całym ciężarem. Oddychał szybko i trząsł się okropnie. Nie wiedziałem, co robić. Kiedy się niespodziewanie potknąłem, musiałem się oprzeć o ścianę – mało brakowało, żebyśmy obydwaj upadli. Byłem tak niespokojny, że nie potrafiłem zebrać myśli. Spojrzałem mu w oczy. Nie było w nich blasku. Gdy przyczłapaliśmy wreszcie do restauracji, troskliwy kelner pośpieszył, jak na rozkaz, w naszą stronę, żeby pomóc don Juanowi.

– Jak się pan dzisiaj miewa? – krzyknął mu do ucha. Zaciągnął don Juana do stolika, posadził go tam i zniknął.

– Czy on cię zna, don Juanie? – zapytałem, kiedy usiedliśmy.

Don Juan nawet na mnie nie spojrzał, wybełkotał coś tylko. Wstałem i poszedłem do kuchni poszukać zabieganego kelnera.

– Czy zna pan tego staruszka, z którym przyszedłem? – spytałem, kiedy go wreszcie dopadłem.

– Jasne – odparł. Sprawiał wrażenie człowieka niecierpliwego, który może udzielić odpowiedzi tylko na jedno pytanie. – To ten pan chory na nadciśnienie.

Teraz wszystko stało się jasne: w czasie podróży don Juan dostał lekkiego udaru. Chociaż miałem świadomość, że nie byłem w stanie temu zapobiec, czułem się bezradny i skrępowany. Było mi niedobrze, czułem, że najgorsze dopiero przede mną. Wróciłem do stolika i usiadłem w milczeniu. Nagle pojawił się ten sam kelner z dwoma talerzami krewetek i dwiema miskami zupy żółwiowej. Przyszło mi do głowy, że albo w tej knajpie dają tylko te dwie potrawy, albo don Juan jadał tu zawsze to samo. Mimo gwaru rozmów donośny głos kelnera słychać było wyraźnie.

– Smacznego! – wykrzyczał don Juanowi do ucha. – Jeśli będzie mnie pan potrzebował, proszę tylko podnieść rękę, a zaraz przyjdę.

Don Juan skinął głową. Kelner konfidencjonalnie poklepał go po ramieniu, po czym odszedł. Don Juan jadł żarłocznie, uśmiechając się do siebie od czasu do czasu. Byłem tak niespokojny, że na samą myśl o jedzeniu zbierało mi się na mdłości. Po pewnej chwili oswoiłem się z ogarniającym mnie uczuciem: im bardziej się denerwowałem, tym bardziej byłem głodny. Spróbowałem jedzenia – było przepyszne. Po posiłku poczułem się nieco lepiej. Sytuacja jednak nie uległa zmianie, a niepokój pozostał. Kiedy don Juan skończył, raptownie uniósł rękę nad głowę. W jednej chwili zjawił się kelner i

wręczył mi rachunek. Zapłaciłem. Kelner pomógł don Juanowi wstać. Podprowadził go do drzwi, a nawet wyszedł z nim na zewnątrz i wylewnie się z nim pożegnał. Droga powrotna przebiegała podobnie jak poprzednio. Don Juan wisiał na moim ramieniu całym ciężarem, dyszał i zatrzymywał się co kilka kroków dla złapania oddechu. Kelner nadal stał w drzwiach, jakby chcąc się upewnić, czy bezpiecznie prowadzę don Juana. Zanim don Juan wgramolił się do samochodu, upłynęły ze dwie, trzy minuty.

– Powiedz, co mogę dla ciebie zrobić, don Juanie`? – spytałem, jakby błagając go o zmiłowanie.

– Cofnij auto – rozkazał drżącym, ledwie słyszalnym głosem. – Chcę jechać na drugi koniec miasta, do sklepu. Tam też mnie znają, są moimi przyjaciółmi.

Powiedziałem, że nie mam pojęcia, o jakim sklepie mówi. Wybełkotał coś tylko i dostał ataku wściekłości. Tupał nogami i gniewnie wydymał wargi, ślina kapała mu na koszulę. Potem uspokoił się, jakby miał moment jasności umysłu. Przeraźliwie długo próbował uporządkować myśli i w końcu zdołał wytłumaczyć mi, jak dojechać do sklepu. Mój niepokój sięgał zenitu, obawiałem się, że udar jest bardziej rozległy, niż sądziłem początkowo. Chciałem się pozbyć staruszka, zawieźć go do rodziny lub znajomych. Nie wiedziałem, gdzie ich szukać, a innego pomysłu nie miałem. Zawróciłem więc i pojechałem na drugą stronę miasta, do sklepu, który miał się tam znajdować. Zastanawiałem się, czy nie wrócić do restauracji i nie spytać kelnera o rodzinę don Juana. Miałem nadzieję, że może ktoś w sklepie będzie go znał. Im więcej rozmyślałem o moim nieprzyjemnym położeniu, tym bardziej sobie współczułem. Don Juan był już do niczego. Ogarnęło mnie poczucie dotkliwej straty i zagubienia. Wiedziałem, że będzie mi go brakować, jednak to wrażenie nikło w porównaniu z rozdrażnieniem, jakie wywoływał fakt, że muszę być przy nim w jego najgorszych chwilach. Prawie godzinę jeździłem w kółko, szukając sklepu. Nigdzie go nie było. Don Juan przyznał, że może popełnił błąd, a sklep jest w innym mieście. Byłem zmordowany i nie wiedziałem, co począć. W zwykłym stanie świadomości nie opuszczało mnie dziwne wrażenie, że wiem o don Juanie więcej niż podpowiada mi rozum. Teraz natomiast jego szaleństwo sprawiło, że byłem, nie wiedząc czemu, pewien, iż gdzieś tam, w Meksyku, czekają na niego jego przyjaciele. Wszystko to wyczerpało mnie także duchowo – dręczył mnie niepokój pomieszany z poczuciem winy. Martwiłem się, że siedzę tu ze słabowitym, być może śmiertelnie chorym starcem, wyrzuty sumienia natomiast spowodowane były obawą, że jestem wobec niego nielojalny. Zaparkowałem koło nadbrzeża. Prawie dziesięć minut trwało, nim don Juan wysiadł z samochodu. Poszliśmy w stronę oceanu, ale kiedy zbliżyliśmy się do brzegu, don Juan zaparł się jak muł i nie chciał iść dalej. Wymamrotał, że woda w zatoce Guaymas go przeraża. Zawrócił i poprowadził mnie na główny plac miasta. Na zakurzonym rynku nie było ani jednej ławki i don Juan usiadł na krawężniku. Tuż obok przejechał samochód z zakładu komunalnego, obracające się szczotki wzniosły obłok kurzu, który przyprawił mnie o atak kaszlu. Sytuacja była tak nieznośna, że przyszło mi do głowy, żeby zostawić go tam, gdzie siedzi. Zakłopotany tym pomysłem, poklepałem go po plecach.

– Musisz zrobić wysiłek i powiedzieć mi, gdzie mam cię zabrać – powiedziałem miękko. – Gdzie mam z tobą pójść?

– A idź do diabła! – zawołał łamiącym się, chrapliwym głosem.

Kiedy to usłyszałem, zacząłem podejrzewać, że to wcale nie był udar, tylko inna choroba mózgu, która odebrała mu rozum i uczyniła gwałtownym. Nagle don Juan wstał i zaczął iść przed siebie. Wyglądał na bardzo chorego: w ciągu paru godzin postarzał się i stracił swoją żywotność. Miałem przed sobą starego, słabego człowieka. Pośpieszyłem mu z pomocą. Zalała mnie fala litości. Ujrzałem siebie samego w podeszłym wieku, słabowitego starca, ledwie powłóczącego nogami. Był to widok nie do zniesienia -wzruszył mnie bardziej niż położenie don Juana. Złapałem staruszka za rękę i cicho obiecałem, że zaopiekuję się nim bez względu na wszystko. Niespodziewanie z objęć litości do samego siebie wyrwał mnie wymierzony mi policzek. Zanim ochłonąłem, don Juan uderzył mnie jeszcze raz, w kark. Stał twarzą do mnie, trzęsąc się ze wściekłości, jego półotwarte usta drżały.

– Kim jesteś? – krzyknął nieswoim głosem.

Zwrócił się do grupki gapiów, którzy natychmiast zebrali się w pobliżu.

– Nie znam tego człowieka – oświadczył. – Pomóżcie mi. Jestem samotnym, starym Indianinem. Ten obcokrajowiec chce mnie zabić. Oni tak właśnie robią z bezradnymi starymi ludźmi: zabijają ich dla przyjemności.

Przez tłumek przeszedł pomruk niezadowolenia. Kilku młodych, silnych mężczyzn rzuciło mi groźne spojrzenia.

– Co robisz, don Juanie? – spytałem głośno. Chciałem pokazać zebranym, że znamy się nie od

dziś.

– Nie znam cię! – wykrzyknął. – zostaw mnie w spokoju!

Odwrócił się do tłumu i poprosił o pomoc. Chciał, żeby mnie przytrzymali, dopóki nie przyjedzie policja.

– Trzymajcie go – nalegał. – I proszę, niech ktoś wezwie policję. Oni będą wiedzieli, co z nim zrobić.

Wyobraziłem sobie meksykańskie więzienie. Nikt nie dowiedziałby się, że tam jestem. Kiedy pomyślałem, że zanim ktoś zauważy moje zniknięcie, miną cale miesiące, zacząłem błyskawicznie działać. Kopnąłem pierwszego z młodych ludzi, który się do mnie zbliżył, po czym rzuciłem się do panicznej ucieczki – wiedziałem, że zależy od tego moje życie. Kilku młodzieńców ruszyło za mną w pogoń. Kiedy biegłem w stronę głównej ulicy, zdałem sobie sprawę, że w miasteczku takim jak Guaymas pełno jest policjantów na pieszym patrolu. Na razie nie było widać żadnego. Nie chcąc się natknąć na któregoś z nich, wpadłem do pierwszego lepszego sklepu. Tam zacząłem udawać, że rozglądam się za pamiątkami. Usłyszałem tupot nóg. Ścigająca mnie grupa przebiegła obok. Szybko opracowałem plan: kupić tyle rzeczy, ile tylko zdołam. Liczyłem na to, że sprzedawcy wezmą mnie za turystę, chciałem poprosić któregoś z nich, by pomógł mi odnieść zakupy do samochodu. Wybranie odpowiednich przedmiotów zajęło mi jakiś czas. Zapłaciłem młodemu sprzedawcy, by poniósł część sprawunków. Niestety, kiedy znaleźliśmy się w pobliżu samochodu, zobaczyłem stojącego tam don Juana, otoczonego grupką ludzi. Rozmawiał z policjantem sporządzającym notatki. Wszystko na nic – mój plan się nie powiódł, nie sposób było dostać się do samochodu. Poleciłem młodemu człowiekowi położyć pakunki na chodniku i powiedziałem, że wkrótce będzie przejeżdżał tędy mój przyjaciel, który zabierze mnie do hotelu. Chłopak mnie zostawił, a ja, trzymając paczki na wysokości twarzy, ukryłem ją przed don Juanem i towarzyszącymi mu ludźmi. Gdy zobaczyłem policjanta oglądającego kalifornijskie tablice rejestracyjne mojego wozu, zrozumiałem, że skazany jestem na porażkę. Oskarżenie, jakie złożył ten stary kretyn, było zbyt poważne. Dla każdego policjanta moja ucieczka mogła być tylko potwierdzeniem winy. Poza tym trudno się było spodziewać, że policjant zignoruje oczywistą sytuację – z pewnością od razu zaaresztowałby obcokrajowca.

Stałem tam, u wejścia do jakiegoś budynku, prawie godzinę. Policjant odszedł, ale tłum nadal otaczał don Juana, który szybko i nerwowo coś wykrzykiwał, żywo przy tym gestykulując. Byłem zbyt daleko, żeby to usłyszeć, ale mogłem wyobrazić sobie, o czym mówi. Konieczny był inny plan. Zastanawiałem się, czy nie wynająć pokoju w jakimś hotelu i nie przeczekać tam kilka dni, zanim zdecyduję się zrobić wypad w kierunku mojego samochodu. Myślałem też o powrocie do sklepu i wezwaniu taksówki. Nigdy nie jechałem taksówką w Guaymas, nie wiedziałem, czy w ogóle tam jakieś kursują. Mój plan spełzł na niczym, kiedy uświadomiłem sobie, że jeśli policjanci znali się na rzeczy, a sprawę don Juana potraktowali poważnie, na pewno już sprawdzili hotele. Być może gliniarz, który rozmawiał z don Juanem, oddalił się właśnie w tym celu. Potem przyszło mi do głowy inne rozwiązanie: dostać się na dworzec i wsiąść do autobusu jadącego w kierunku granicy albo do jakiegokolwiek innego miasta – byle dalej od Guaymas. Porzuciłem ten plan od razu. Byłem pewien, że don Juan podał policji moje nazwisko. Na pewno zawiadomili już spółki transportowe. Wpadłem w popłoch. Żeby się uspokoić, wziąłem parę głębokich oddechów. Zauważyłem, że tłum otaczający don Juana zaczął się rozpraszać. Policjant pojawił się znowu, w towarzystwie drugiego. Po chwili odeszli. W tym momencie poczułem nieodpartą potrzebę działania, zupełnie jakbym przestał panować nad ciałem. Podszedłem do wozu, niosąc wszystkie pakunki. Bez śladu lęku czy zdenerwowania otworzyłem bagażnik, włożyłem paczki, po czym odemknąłem drzwi od strony kierowcy. Don Juan stał na chodniku koło samochodu, patrząc na mnie w roztargnieniu. Przyglądałem mu się z zupełnie nietypowym dla mnie chłodem. Nigdy dotąd czegoś takiego nie doświadczyłem: nie była to nienawiść ani gniew, ani irytacja. Trudno też było to nazwać rezygnacją czy cierpliwością. Była to raczej zimna obojętność, zatrważający brak litości. W tamtej chwili nie dbałem zupełnie o to, co stanie się z nim czy ze mną. Wtedy don Juan otrząsnął się jak mokry pies. W jednej chwili stał się na powrót – jakby wszystko do tej pory było tylko złym snem – człowiekiem, którego znałem. Szybko wywrócił marynarkę na drugą stronę – można ją było nosić na dwa sposoby, po jednej stronie była beżowa, po drugiej czarna. Teraz ubrany był na czarno. Wrzucił swój słomiany kapelusz do samochodu i starannie zaczesał włosy. Wyłożył kołnierz koszuli na marynarkę – od razu zrobił się młodszy. Bez słowa zaczął mi pomagać przy pakowaniu reszty sprawunków. Kiedy policjanci, zaalarmowani odgłosem otwierania i zamykania drzwi, podbiegli ku nam, dmuchając w gwizdki, don Juan raźnym krokiem wyszedł im na spotkanie. Wysłuchał ich uważnie i zapewnił, że nie mają się czym martwić. Wyjaśnił, że musieli napotkać jego ojca, schorowanego starego Indianina, który przeszedł udar mózgu. Rozmawiając z nimi, otwierał i zamykał drzwi samochodu, jakby sprawdzając zamki, oraz przenosił paczki z

bagażnika na tylne siedzenie. Jego wigor i młodzieńcza siła były przeciwieństwem sposobu poruszania się staruszka, z którym jeden z policjantów rozmawiał kilka minut wcześniej. Wiedziałem, że don Juan robi to przedstawienie właśnie dla niego – na miejscu tego człowieka nie miałbym wątpliwości, że mam przed sobą syna tego starego, stukniętego Indianina. Don Juan podał im nazwę restauracji, gdzie znają jego "ojca", po czym bez żenady wręczył im łapówkę. Nie miałem ochoty odzywać się do policjantów. Coś sprawiło, że stałem się w środku twardy, zimny oraz oszczędny w gestach i słowach. W milczeniu wsiedliśmy do auta. Policjanci nawet nie próbowali mnie o nic pytać, wyglądali na zbyt zmęczonych. Ruszyliśmy w drogę.

– Cóż to było za przedstawienie, don Juanie? – spytałem, zaskoczony własnym oziębłym tonem.

– To była pierwsza lekcja bezwzględności – odparł.

Zwrócił mi uwagę, że w drodze do Guaymas ostrzegł mnie, że zamierza mi jej udzielić. Przyznałem się, że nie zwróciłem na to uwagi, sądziłem, że tylko zwyczajnie rozmawiamy dla zabicia nudy w czasie podróży.

– Nigdy nie rozmawiam ot tak, zwyczajnie – odrzekł surowo. – Powinieneś to już wiedzieć. To, co dzisiaj zrobiłem, było stworzeniem warunków, w których mógłbyś odpowiednio przemieścić swój punkt scalający. W tym nowym położeniu znika wszelka litość, dlatego nazywa się je bezlitosnym miejscem. Jedyny problem polega na tym, że do bezlitosnego miejsca należy w zasadzie dotrzeć o własnych siłach, tylko z niewielką pomocą z zewnątrz. Nagual jedynie przygotowuje arenę działania – uczeń musi przemieścić swój punkt scalający samodzielnie. Dzisiaj to właśnie ci się udało. Pomogłem ci, może z pewną przesadą, przemieszczając własny punkt scalający w położenie, w którym stałem się słabowitym i nieobliczalnym starcem. Nie grałem człowieka starego i schorowanego – naprawdę byłem stary. . Złośliwy błysk w oku don Juana kazał mi sądzić, że mój rozmówca dobrze się bawi.

– Nie było to konieczne – kontynuował. – Mogłem tak tobą pokierować, że poruszyłbyś swój punkt scalający nawet bez uciekania się do chwytów poniżej pasa, ale wtedy sam bym na tym nie skorzystał. Ponieważ była to jedyna w swoim rodzaju okazja, chciałem wiedzieć, czy potrafię działać – na swój sposób – jak mój dobroczyńca. Uwierz mi: nie mniej niż ciebie zaskoczyłem siebie samego.

Przepełniał mnie niebywały spokój. Nie miałem trudności z akceptacją każdego słowa don Juana, nie odczuwałem też potrzeby zadawania pytań – rozumiałem wszystko bez objaśniania. Potem don Juan powiedział coś, co już było mi wiadome, ale czego nie umiałem wysłowić, gdyż nie mogłem znaleźć stosownych określeń. Otóż każdy czyn czarownika jest konsekwencją ruchu jego punktu scalającego, o którym z kolei decyduje ilość energii, jaką czarownik dysponuje.

Wspomniałem don Juanowi, że wiem nie tylko to, ale także dużo więcej. Odpowiedział, że w ludzkim wnętrzu istnieje olbrzymie ciemne jezioro milczącej wiedzy, dostępnej naszej intuicji. Dodał, że potrafię wyczuć jej obecność lepiej, od przeciętnych ludzi, ponieważ podążam ścieżką wojownika. Czarownicy, jak mówił, są Jedynymi istotami na ziemi, które celowo wykraczają poza poziom intuicji, przygotowując się do wykonania dwu transcendentalnych kroków: pierwszym jest wyobrażenie sobie istnienia punktu scalającego, drugim – jego poruszenie. Ciągle podkreślał, że do największej perfekcji czarownicy doszli w dziedzinie wiedzy dotyczącej potencjału, jaki posiadamy jako istoty zdolne do percepcji, oraz w tej, która określa zależność percepcji od pozycji punktu scalającego. W tym momencie odczułem pogorszenie koncentracji – nie dlatego, że byłem nieuważny czy zmęczony, ale dlatego, że mój umysł zaczął z własnej inicjatywy bawić się w przewidywanie słów don Juana. Było to tak, jak gdyby nieznana część mojej istoty bezskutecznie próbowała znaleźć stosowne słowa dla wyrażenia jakiejś myśli. Kiedy don Juan mówił, miałem wrażenie, że mogę przewidzieć, w jaki sposób wyrazi moje własne, bezgłośne myśli. Nie mogłem się nadziwić, że tak dobrze potrafi je wysłowić. Tak czy owak, przewidywanie, co powie, zmniejszyło moją koncentrację. Raptownie zjechałem na pobocze. I tam po raz pierwszy w życiu poznałem dualizm mojej osoby. W moim wnętrzu istniały dwa, najwyraźniej odrębne, elementy. Pierwszy był stary jak świat, spokojny i obojętny, masywny, nieprzenikniony i ze wszystkim innym powiązany. Wszystko go cieszyło, choć niczego nie oczekiwał. Drugi natomiast był młody, jasny, delikatny i mobilny, a także szybki i nerwowy. Troskał się o siebie, gdyż czuł się niepewnie, i niczym się nie radował – po prostu dlatego, że nie potrafił się z niczym związać. Był samotny, odsłonięty i podatny na zranienie. Tą właśnie częścią mnie spoglądałem na świat. Postanowiłem rozejrzeć się dokoła tą niepewną, delikatną i zatroskaną składową. Wszędzie jak okiem sięgnąć, widziałem wielkie, rozległe pola. Ta część mojej istoty nie mogła się zdecydować, czy ma być dumna z ludzkiej przedsiębiorczości, czy smucić się widokiem pobrużdżonego pługami, upstrzonego obcymi roślinami odwiecznego majestatu sonorskiej pustyni. Tymczasem starej, ciemnej i masywnej części było to obojętne. Powstał spór: lekka składowa pragnęła, by ciężka zajęła jakieś

stanowisko; ta natomiast chciała, by lekka uspokoiła się i radowała.

– Dlaczego się zatrzymałeś? – spytał don Juan.

Jego głos wywołał we mnie jakiś oddźwięk, ale trudno określić, czy tym, kto zareagował, byłem właśnie ja. Brzmienie jego głosu dociążyło najwidoczniej lekką część mojej osoby, albowiem nagłe stałem się znowu sobą – takim jak zwykle. Opisałem don Juanowi, jak przed chwilą uświadomiłem sobie swoją dwoistość. Don Juan stwierdził, że w kategoriach położenia punktu scalającego utraciłem stabilność. Moja lekka składowa stała się tak ulotna, jak w chwili dostrzeżenia mojej podwójnej natury, i oto znowu rozumiałem jego wyjaśnienia. Powiedział, że kiedy punkt scalający zmienia swoje położenie i dociera do bezlitosnego miejsca, racjonalizm i zdrowy rozsądek chwieją się w posadach. Odczuwając pradawną, mroczną i milczącą stronę siebie samego, wejrzałem w naturę poprzedników rozumu.

– Rozumiem wszystko, o czym mówisz – oświadczyłem_ – Wiem wiele, ale nie umiem o tym opowiedzieć. Nie mam pojęcia, od czego zacząć.

– Wspomniałem ci już o tym – rzekł. – To, co przeżyłeś, a co nazywasz dualizmem, jest spojrzeniem z innej pozycji punktu scalającego. W tym położeniu potrafisz wyczuć starszą stronę człowieka. To, co ta strona wie, nazywa się milczącą wiedzą. Nie umiesz jej jeszcze wypowiedzieć.

– Dlaczego? – spytałem.

– Aby ją wysłowić, musiałbyś zużyć wielkie ilości energii – odpowiedział. – Jak na razie nie masz jej w nadmiarze. Milcząca wiedza, dostępna każdemu z nas, to perfekcyjne opanowanie i poznanie wszystkiego. Jednak ponieważ wiedza nie myśli, me umie się sama wysłowić. Czarownicy wierzą, że kiedy człowiek zdał sobie sprawę ze swojej wiedzy i zapragnął ją zgłębić, stracił ją z oczu. Ta nieopisana, milcząca wiedza to oczywiście intencja – duch, abstrakcja. Człowiek popełnił błąd, kiedy usiłował poznać ją bezpośrednio, tak jak zdobywa się wiedzę o codziennym świecie – im bardziej się starał, tym bardziej stawała się ulotna.

– Ale co to właściwie znaczy, don Juanie? – zapytałem.

– Oznacza to, że człowiek porzucił milczącą wiedzę dla sfery rozumu – odrzekł. – Im bardziej wiąże się z tą sferą, tym mniej uchwytna staje się intencja.

Uruchomiłem silnik. Pojechaliśmy dalej w milczeniu. Don Juan nie próbował pouczać mnie, dokąd jechać i jak prowadzić – co często robił, by pobudzić moją zarozumiałość. Właściwie nie miałem pojęcia, gdzie jedziemy. Kierowało mną coś w moim wnętrzu, pozwoliłem tej składowej przejąć inicjatywę. Późnym wieczorem znaleźliśmy się w jakimś wiejskim zakątku stanu Sinaloa w północno-zachodnim Meksyku, przed dużym domem, będącym własnością grupy czarowników don Juana. Wydawało mi się, że jechaliśmy tylko chwilę. Nie mogłem sobie przypomnieć żadnych szczegółów podróży, wiedziałem jedynie, że nie rozmawialiśmy. Dom wyglądał na opuszczony. Nie było żadnych oznak ludzkiego bytowania, jednak wiedziałem, że przyjaciele don Juana są tam obecni – nie widziałem ich, ale ich wyczuwałem. Don Juan zapalił kilka naftowych lamp, po czym usiedliśmy przy masywnym stole. Wyglądało na to, że przygotowuje się do spożycia posiłku. Zastanawiałem się, co powiedzieć, gdy nagle do pokoju wkroczyła kobieta, która postawiła na stole tacę z jedzeniem. Jej wyjście z ciemności i pojawienie się w kręgu światła jakby spod ziemi, zaskoczyło mnie. Jęknąłem bezwiednie.

– Nie bój się, to tylko ja, Carmela – powiedziała i zniknęła, rozpływając się w mroku.

Siedziałem z otwartymi ustami. Don Juan wybuchnął śmiechem tak głośnym, że musiało go być słychać w całym domu. Przyszło mi do głowy, że ten odgłos sprowadzi kogoś do pokoju, nikt jednak nie przyszedł. Próbowałem jeść, ale nie byłem głodny. Rozmyślałem o kobiecie. Nie znałem jej. Prawdę mówiąc, świtało mi w głowie, kim jest, nie potrafiłem wszelako wydostać wspomnienia o niej z mgły ogarniającej mój umysł. Usilnie starałem się pozbierać myśli. Było to tak męczące, że w końcu tego zaniechałem. Kiedy przestałem o niej myśleć, prawie natychmiast ogarnął mnie dziwny, obezwładniający niepokój. Zrazu pomyślałem, że przytłacza mnie ten wielki ciemny dom i panująca w nim i wkoło niego cisza. Gdy z oddali dobiegł odgłos szczekania psów, uczucie to stało się udręką – rosło we mnie, prawie mnie rozsadzając. Don Juan zareagował błyskawicznie: skoczył ku mnie i pchnął mnie ręką w plecy, aż zatrzeszczało. Ucisk przyniósł mi natychmiastową ulgę. Gdy się uspokoiłem, stwierdziłem, że wraz z niepokojem, który prawie mnie pochłonął, odeszło wyraźne poczucie znajomości wszystkiego. Nie potrafiłem już przewidzieć, jak don Juan wyrazi to, co wiem. Don Juan udzielił mi wtedy pewnych istotnych wyjaśnień. Po pierwsze, przyczyną niepokoju, który ogarnął mnie jak burza, był spowodowany raptownym pojawieniem się Carmeli nagły ruch mojego

punktu scalającego oraz moje wysiłki przemieszczenia go w położenie, w którym zdołałbym tę kobietę zidentyfikować. Radził mi oswoić się z myślą, że mój punkt scalający będzie się nadal przemieszczał, a więc podobne ataki niepokoju będą się powtarzały.

– Każdy ruch punktu scalającego przypomina umieranie – powiedział. – Rozpadamy się, po czym na nowo, z dużo większą siłą, łączymy z naszym źródłem. To wzmocnienie energii odczuwa się jako morderczy niepokój.

– Co mam robić, kiedy mi się to przytrafi? – zapytałem.

– Nie rób nic – odrzekł. – Tylko czekaj. Wybuch energii sam się skończy. Niebezpieczna jest tylko nieświadomość tego, co będzie się z tobą działo. Jeśli będziesz to wiedział, nic ci się nie stanie.

Następnie zaczął mówić o ludziach żyjących na długo przed nami. Otóż nasz przodek wiedział, co i jak powinien robić. Skuteczne działanie zwróciło jego uwagę na własną odrębność, za której sprawą doszedł do wniosku, że także w przyszłości będzie umiał postępować tak, jak do tej pory: przewidywać i planować swoje działania. W ten sposób pojawiła się idea własnego "Ja": to ono zaczęło decydować o tym, co i w jaki sposób człowiek będzie robił. Gdy poczucie własnej jaźni się wzmocniło, człowiek utracił swój przyrodzony dostęp do milczącej wiedzy. Jego następca, współczesny mieszkaniec Ziemi, został bez nadziei powrotu odsunięty od źródła wszechrzeczy. Jedyne, co może robić, to dawać wyraz swojej rozpaczy, gwałtownie i cynicznie niszcząc samego siebie. Don Juan stwierdził, że przyczyną ludzkiej przewrotności i desperacji jest resztka milczącej wiedzy, która każe się nam domyślać istniejącego dawniej połączenia ze źródłem wszechrzeczy oraz wywołuje w nas wrażenie, że bez tej więzi nie mamy szans na spokój, zadowolenie i spełnienie.

Chciałem mu wytknąć wewnętrzną sprzeczność jego wypowiedzi. Przypomniałem mu, że kiedyś opowiadał, iż dla wojownika pokój jest wynaturzeniem, a wojna – stanem normalnym.

– To prawda – przyznał – ale wojna nie jest dla wojownika przejawem indywidualnej lub zbiorowej głupoty ani niepotrzebnym gwałtem. Wojnę rozumie on jako totalną walkę z jaźnią, która pozbawiła nas mocy.

Następnie don Juan oświadczył, że powinniśmy pod-jąć temat bezwzględności, będącej podstawą magii. Powiedział, że: czarownicy odkryli, iż najmniejszy nawet ruch punktu scalającego zmniejsza tak typową dla współczesnego człowieka nadmierną troskę o własne Ja. Doszli też do wniosku, że to właśnie obecna pozycja punktu scalającego zamienia ludzi naszych czasów w samolubnych morderców, pochłoniętych bez reszty własnym wizerunkiem: straciwszy nadzieję powrotu do wszechźródła, ludzie znaleźli pociechę w swym egoizmie. W ten sposób zatrzymali swoje punkty scalające w pozycji, dzięki której wizerunek własny człowieka zyskał nieśmiertelność. Można więc śmiało powiedzieć, że jakiekolwiek oddalenie się punktu scalającego od jego zwykłego położenia zmniejsza ludzkie przywiązanie do własnego wizerunku i niszczy towarzyszącą mu pychę. Don Juan określił próżność jako siłę generowaną przez ludzki wizerunek własny. Podkreślił, że jest to siła, która unieruchamia punkt scalający – dlatego też priorytetem drogi wojownika jest pozbycie się pychy. Wszystko, co robią czarownicy, zmierza do tego celu. Dodał, że czarownicy odkryli, czym jest próżność: zakamuflowanym użalaniem się nad sobą samym.

– Nie wygląda na to, ale to prawda – powiedział. – Litowanie się nad sobą jest prawdziwym wrogiem człowieka i sprawcą jego nieszczęść. Bez niego człowiek nie poważyłby się na tak wielką zarozumiałość. Tymczasem próżność, kiedy się pojawi, zaczyna przybierać na sile – z tego powodu wydaje się nam niezależna od niczego i w tym upatrujemy jej wartości. W normalnych warunkach nic nie zrozumiałbym z jego wyjaśnień, teraz jednak trafiały mi do przekonania, chociaż ze względu na wciąż utrzymującą się dwoistość mojej osoby, wydawały mi się nieco uproszczone. Wyglądało na to, że don Juan kierował swoje myśli i słowa w określoną stronę: do mnie, będącego w zwykłym stanie świadomości. Don Juan powiedział również, że czarownicy są absolutnie przekonani, iż dzięki wypchnięciu punktu scalającego ze zwykłej pozycji osiąga się stan, który trudno nazwać inaczej niż bezwzględnością. Czarownicy wiedzą też z własnej praktyki, że ruch punktu scalającego kruszy zarozumiałość. Kiedy punkt opuści swe zwykłe położenie, rozmywa się nasze wyobrażenie samych siebie nie mogąc się skoncentrować na tym obrazie, nie możemy już sobie współczuć i chełpić się sobą. Jasno wynika z tego, że zarozumiałość jest tylko zamaskowaną litością wobec własnej osoby. Następnie rozpatrzył krok po kroku doświadczenia, które tego dnia zebrałem. Oświadczył, że nagual jako przewodnik i nauczyciel powinien postępować skutecznie, ale i nienagannie zarazem. Ponieważ nagual nie potrafi racjonalnie planować swoich działań, pozwala, by o ich przebiegu zadecydował duch. Zilustrował to przykładem wziętym z tamtego dnia: nie miał żadnych szczególnych planów, dopóki podczas śniadania, które jedliśmy w Nogales, nie otrzymał znaku od ducha. Nakłonił mnie,

bym odtworzył to wydarzenie i powiedział mu, co pamiętam. Przypomniałem sobie, że w czasie śniadania byłem bardzo zażenowany, gdyż don Juan stroił sobie ze mnie żarty.

– Pomyśl o kelnerce – nakazał don Juan.

– Pamiętam tylko, że była nieuprzejma.

– Ale jak się zachowywała? – nalegał. – Co robiła, kiedy przyjmowała zamówienie?

Po chwili przypomniałem sobie, że kelnerka, młoda kobieta o zaciętym spojrzeniu, rzuciła mi jadłospis i stała nade mną, prawie mnie dotykając, jakby żądała, żebym się pośpieszył i czym prędzej zamówił posiłek. Kiedy czekała, stukając niecierpliwie nogą, upięła w kok swoje długie czarne włosy. To odmieniło ją całkowicie: wyglądała teraz na kobietę atrakcyjną i dojrzałą.

Byłem pod wrażeniem tej przemiany – prawdę mówiąc, z tego powodu wybaczyłem jej złe zachowanie.

– To był omen – stwierdził don Juan. – Zaciętość i przemiana były znakami danymi od ducha.

Następnie powiedział mi, że jako nagual musiał przede wszystkim wyjawić mi swoje zamiary. W prostych słowach, ale w niejasnym kontekście, oświadczył, że udzieli mi lekcji bezwzględności.

– Pamiętasz? – zapytał. – Rozmawiałem z kelnerką i starszą panią siedzącą przy sąsiednim stoliku.

Kierowany przez don Juana, przypomniałem sobie wreszcie, że praktycznie flirtował ze starszą panią i nieuprzejmą kelnerką. Kiedy jadłem, prowadził z nimi długą rozmowę. Opowiadał im idiotyczne historie o łapownictwie i moralnym zepsuciu członków rządu oraz dowcipy o przygodach wieśniaków w mieście. Potem spytał kelnerkę, czy jest Amerykanką. Zaprzeczyła i roześmiała się, rozbawiło ją to pytanie. Don Juan odpowiedział, że to się dobrze składa, ponieważ– tu wskazał na mnie– ma tu Amerykanina meksykańskiego pochodzenia, mężczyznę szukającego miłości, który po tak dobrym śniadaniu mógłby już tutaj, w tej restauracji, rozpocząć swoje poszukiwania.

Kobiety zachichotały – sądziłem, że rozbawiło je moje zakłopotanie. Don Juan powiedział im, że tak naprawdę przyjechałem do Meksyku, by znaleźć sobie żonę. Podając się za mojego rzecznika, spytał, czy nie znają jakiejś uczciwej, skromnej i czystej kobiety, która chciałaby wyjść za mąż i nie miałaby zbyt wielkich wymagań co do męskiej urody. Kobiety śmiały się do rozpuku. Byłem tą sytuacją bardzo zażenowany. Don Juan zwrócił się do kelnerki i zapytał, czy za mnie wyjdzie. Odpowiedziała, że jest zaręczona – wyglądało, że wzięła don Juana serio.

– Dlaczego nie pozwoli mu pan samemu przemówić? – spytała starsza pani.

– Ma wadę wymowy – odpowiedział don Juan. – Strasznie się jąka. Kelnerka zauważyła, że kiedy wybierałem potrawy, miałem dobrą dykcję.

– Ach, jest pani taka spostrzegawcza! – zachwycił się don Juan. – On mówi jak się należy, tylko kiedy zamawia posiłek. Ciągle mu powtarzam, że jeśli chce się nauczyć normalnie mówić, musi być bezwzględny. Przywiozłem go tu, by dać mu parę lekcji bezwzględności.

– Biedaczysko – użaliła się nade mną starsza pani.

– No, zbierajmy się, jeśli chcemy jeszcze dziś znaleźć jego miłość – powiedział don Juan i wstał od stołu.

– Widzę, że traktuje pan sprawę tego małżeństwa poważnie – powiedziała do niego kelnerka.

– No pewnie – odrzekł. – Pomogę mu otrzymać to, czego mu potrzeba, żeby mógł przekroczyć granicę i dostać się do tego bezlitosnego miejsca.

Myślałem, że don Juan nazywa bezlitosnym miejscem małżeństwo, a może Stany Zjednoczone. Zaśmiałem się z tej metafory i zacząłem się okropnie jąkać, co wystraszyło kobiety, a don Juana pobudziło do histerycznego śmiechu.

– Musiałem ci wtedy wyjawić mój cel – powiedział don Juan. – Zrobiłem to, ale nie zwróciłeś na to uwagi. Tak właśnie miało być.

Oświadczył, że od kiedy duch się ukazał, wszystko, do samego końca, przebiegało jak po maśle. Pod wpływem transformacji don Juana mój punkt scalający musiał opuścić swe zwykłe, związane z wizerunkiem mojej osoby położenie i przemieścił się, docierając do bezlitosnego miejsca.

– Kiedy punkt scalający tkwi w położeniu związanym z naszymi wyobrażeniami, staje się zwornikiem świata, w którym króluje kłamliwe współczucie, okrucieństwo i egocentryzm. W tym

świecie liczą się tylko te uczucia, które są dla nas wygodne. W bezwzględności czarownika nie ma okrucieństwa – jest ona przeciwieństwem litowania się nad sobą i pychy. Bezwzględność to trzeźwość umysłu.

11. ROZBIJANIE ZWIERCIADŁA WYOBRAŻEŃ

Noc spędziliśmy w miejscu, w którym odtworzyłem wspomnienie moich przeżyć w mieście Guaymas. Ponieważ mój punkt scalający jeszcze się nie ustabilizował, mogłem go, przy pomocy don Juana, przesuwać. Każde jego nowe położenie pozostawiało po sobie tylko mgliste wrażenie, zapadające od razu w niepamięć. Następnego dnia nie mogłem sobie przypomnieć, co się zdarzyło ani co widziałem, nie opuszczało mnie jednak poczucie, że minionej nocy działo się ze mną coś dziwnego. Don Juan przyznał, że mój punkt scalający przemieszczał się nad podziw, nie chciał jednak ani jednym słowem wspomnieć o moich dokonaniach. Skwitował to tylko stwierdzeniem, że pewnego dnia wszystko sobie przypomnę. Koło południa podjęliśmy wędrówkę ku górom. Szliśmy w milczeniu i bez odpoczynku prawie do wieczora. Kiedy pięliśmy się wznoszącą się łagodnie granią, don Juan nagle przemówił. Nie mogłem zrozumieć jego słów. Powtarzał je w kółko, aż wreszcie pojąłem, że chce się zatrzymać na szerokiej półce skalnej. Dodał, że głazy i gęste zarośla osłonią nas od wiatru.

– Powiedz, które miejsce na krawędzi wybrałbyś na całonocne czuwanie? – zapytał.

Już wcześniej, w czasie wspinaczki, zauważyłem ledwie widoczną półkę skalną, która wyglądała jak ciemna plama na zboczu. Szybko odnalazłem ją wzrokiem. Teraz, kiedy don Juan prosił mnie o zdanie, wpadł mi w oko jeszcze ciemniejszy, prawie czarny punkt w jej obrębie. Mroczna półka skalna i ciemny punkt w głębi nie wzbudzały we mnie lęku czy niepokoju – przeciwnie, spodobały mi się, a ów czarniawy punkt wzbudził moją szczególną sympatię.

– Podoba mi się ten ciemny kąt – powiedziałem, kiedy dotarliśmy do skalnej półki. Don Juan zgodził się, że miejsce to znakomicie nadaje się do przeczekania nocy – jest naładowane szczególną energią i pogrążone w przyjemnym mroku. Skierowaliśmy się ku skałom, don Juan oczyścił ziemię w pobliżu głazów i usiedliśmy, opierając się o nie plecami. Powiedziałem, że najprawdopodobniej wybrałem to miejsce całkiem przypadkowo, chociaż bezsporne jest, że punkt ten przyciągnął mój wzrok.

– Nie wiązałbym tego wyłącznie ze zwykłym patrzeniem – odpowiedział don Juan. – Sprawa jest trochę bardziej złożona.

– Co masz na myśli, don Juanie? – zapytałem.

– Chcę przez to powiedzieć, że sam nie zdajesz sobie sprawy ze swoich możliwości – odrzekł. – Jesteś nieuważny, a więc możesz sądzić, że wszystkie wrażenia odbierasz po prostu za pośrednictwem zmysłów. Dodał, że jeśli mu nie wierzę, mogę zejść znowu do podnóża góry i sprawdzić, czy ma rację. Przewidywał, że nie zdołam dojrzeć skalnej półki, po prostu szukając jej wzrokiem.

Gwałtownie oświadczyłem, że nie ma powodu, bym wątpił w jego słowa, a z góry schodzić nie zamierzam. Nalegał, bym jednak spuścił się w dół – chciał mi chyba dokuczyć. Kiedy pomyślałem, że może mówić poważnie, zdenerwowałem się, a on wybuchnął śmiechem. Zwrócił mi uwagę na fakt, że zwierzęta potrafią wyczuć w swoim otoczeniu obszary naładowane szczególną energią. Większość zwierząt boi się ich i unika, wyjątkiem są pumy i kojoty, które kładą się, a nawet śpią w takich miejscach, gdy tylko je napotkają. Jednakże tylko czarownicy, ze względu na szczególne własności tych punktów, celowo ich poszukują. Spytałem, o jakie właściwości chodzi. Don Juan odpowiedział, że obszary tego typu emanują nieuchwytną ożywczą energią. Dodał, że mogą na nie natrafić również żyjący w zwyczajnych warunkach, przeciętni ludzie, nie zdają sobie jednak sprawy z ich natury i oddziaływania.

– Skąd wobec tego wiedzą, że je znaleźli? – zapytałem.

– Nigdy się tego nie dowiadują – odrzekł don Juan. – Czarownicy widzą, że kiedy piesi wędrowcy docierają do obszaru naładowanego pozytywną energią, ogarnia ich zmęczenie. Właśnie w takim miejscu udają się na spoczynek. Jeśli z kolei przechodzą przez teren, przez który przepływa energia szkodliwa, stają się nerwowi i zaczynają przyśpieszać kroku. Gdyby spytać ich o przyczynę takiego postępowania, powiedzieliby, że szli szybciej, bo poczuli przypływ energii. Jednak w istocie jest dokładnie na odwrót: siły może przywrócić im tylko to miejsce, w którym odczują zmęczenie. Powiedział jeszcze, że czarownicy potrafią odnajdywać tego typu miejsca, odbierając całym ciałem nieznaczne wahania energii w swym otoczeniu. Ich zmysły wyostrza naddatek energii, uzyskany

dzięki odwróceniu uwagi od własnego wizerunku.

– Próbowałem ci uświadomić, że jedyną wartą zachodu drogą, zarówno dla czarowników, jak dla przeciętnych ludzi, jest zmniejszenie przywiązania do własnego wizerunku – kontynuował. – Dlatego też nagual pomaga uczniom roztrzaskać zwierciadło ich wyobrażeń o sobie samych. Dodał, że z każdym uczniem sprawa przedstawia się inaczej. Nagual pozwala, by o szczegółach zadecydował duch.

– Każdy z nas jest na swój sposób powiązany z wyobrażeniem o sobie – stwierdził. – To przywiązanie odczuwamy jako potrzebę. Na przykład ja sam, zanim wkroczyłem na ścieżkę wiedzy, miałem potrzeb bez liku. Jeszcze po wielu, wielu latach od rozpoczęcia nauki u naguala Juliana byłem wciąż tak samo, a może nawet bardziej potrzebujący. Są jednak ludzie, zarówno wśród czarowników, jak i zwykłych zjadaczy chleba, którzy obchodzą się bez niczyjej pomocy. Swój spokój, harmonię, radość i wiedzę otrzymują wprost od ducha. Nie potrzebują pośredników. Z nami jest inaczej: ja jestem twoim pośrednikiem, a nagual Julian był moim. Osoby pośredniczące, poza tym, że uświadamiając uczniom obecność intencji, umożliwiają im pobieranie nauk, pomagają im rozbić ich lustra wyobrażeń. Moja pomoc polega tak naprawdę na tym, że atakuję twoje wyobrażenie o sobie. Gdybym tego nie robił, marnowałbyś ze mną czas.

– Nauczyłeś mnie więcej, don Juanie, niż ktokolwiek inny – zaprotestowałem.

– Uczyłem cię różnych rzeczy po to, by przyciągnąć twoją uwagę – odparł. – Chociaż jesteś przekonany, że były to ważne sprawy, jednak się mylisz: mój przekaz jest właściwie bez wartości. Czarownicy twierdzą, że jedyne, co się liczy, to ruch punktu scalającego. Ruchu tego nie da się nauczyć, gdyż jedyne, od czego zależy, to odpowiedni zapas energii.

Potem właściwie zaprzeczył sobie: powiedział, że każdy, kto by wykonał ciąg określonych i nieskomplikowanych czynności, mógłby się nauczyć przemieszczania swojego punktu scalającego. Wytknąłem mu tę sprzeczność – w moim rozumieniu wykonanie "ciągu określonych czynności" wymagało trzymania się odpowiednich instrukcji i reguł postępowania.

– W świecie magii tylko pojęcia mogą sobie przeczyć – odparł. – W praktyce przeciwieństwa nie istnieją. Czynności, o których mówię, biorą się ze świadomości – żeby zostać świadomym, potrzeba naguala. Dlatego mówimy, że nagual daje nam szansę, ale ta sposobność nie polega na przekazywaniu instrukcji, jak przy nauce obsługiwania maszyny, ale na uświadomieniu uczniowi obecności ducha. Don Juan wyjaśnił dalej, że do wykonania wspomnianego "ciągu określonych czynności" niezbędna jest świadomość faktu, że siłą unieruchamiającą punkt scalający jest próżność. Kiedy ukróci się pychę, powstrzymuje się wydatkowanie podtrzymującej ją energii. Za pomocą uzyskanego naddatku energii można, automatycznie i bez chwili na zastanowienie, wystrzelić punkt scalający w niepojętą podróż. Ruch punktu scalającego nieuchronnie oddala człowieka od jego wyobrażenia o sobie, dzięki czemu uwypukla się więź człowieka z duchem. Don Juan dodał, że to właśnie wyobrażenie o sobie było głównym sprawcą oddzielenia człowieka od ducha.

– Jak ci już mówiłem – ciągnął – magia jest podróżą powrotną. Zwycięsko wracamy do ducha, zstąpiwszy do piekieł. Z czeluści wynosimy trofea: jednym z nich jest zrozumienie.

Powiedziałem mu, że ten "ciąg czynności" wydaje się nieskomplikowany, kiedy się o nim opowiada. Gdy próbowałem wykonać go w rzeczywistości, z łatwością i prostotą nie miał nic wspólnego.

– Cały problem, jaki większość z nas ma z realizacją tej prostej sekwencji – oświadczył – polega na tym, że nie chcemy przyznać, iż do zrobienia pierwszego kroku potrzeba tak mało. Oczekujemy instrukcji, nauk, mistrzów i duchowych przewodników. Kiedy dowiadujemy się, że nie są nam potrzebni, nie wierzymy. Stajemy się niespokojni, potem nieufni, a w końcu źli i rozczarowani. Nie potrzebujemy gotowych metod postępowania, ale uświadomienia, co jest ważne. Jeśli ktoś zwróci naszą uwagę na to, że powinniśmy ukrócić swoją pychę, naprawdę nam pomoże. Czarownicy powiadają, że nikogo nam nie trzeba do przekonania się, że złożoność świata przekracza nasze najśmielsze oczekiwania. Po cóż więc pomoc? Dlaczego pragniemy, żeby ktoś nas poprowadził tam, gdzie możemy dojść sami? To jest dopiero pytanie, prawda? Don Juan zamilkł. Było jasne, że chce, bym zastanowił się nad odpowiedzią, mnie jednak dręczyło co innego. Moje ostatnie wspomnienie podkopało pewne niezachwiane, jak sądziłem, podstawy. Desperacko próbowałem określić je na nowo. Po długiej chwili dałem wyraz swoim troskom. Powiedziałem don Juanowi, że zdołałem już oswoić się z myślą, iż zapominam całe zdarzenia, które miały miejsce w odmiennym stanie świadomości. Niemniej do tego dnia pamiętałem o wszystkim, co pod kierownictwem don Juana działo się w normalnym stanie świadomości. A jednak w mojej pamięci nie było do niedawna – do chwili, w której przeżyłem to wydarzenie na nowo – ani śladu wspomnienia o śniadaniu w Nogales. Byłem

pewien, że było to zwykłe zdarzenie.

– Zapominasz o podstawowej sprawie – powiedział don Juan. – Sama obecność naguala wystarczy, by przemieścić punkt scalający ucznia. Od samego początku wpływałem na ciebie, klepiąc cię po plecach. Samo uderzenie między łopatki działa na ciebie jak smoczek na niemowlę: służy rozpraszaniu twoich wątpliwości. Kiedy czarownik chce potrząsnąć swoim uczniem, robi to bezpośrednio, przy użyciu fizycznej siły. Niczego to nie zmienia, wzmacnia jedynie wiarę ucznia we własne siły.

– A więc kto przemieszcza punkt scalający, don Juanie? – zapytałem.

– Robi to duch – odpowiedział lekko zniecierpliwionym tonem.

Przez moment wydawało mi się, że zmaga się ze sobą. Po chwili uśmiechnął się i pokręcił głową, jakby zrezygnowany.

– Trudno mi na to przystać – powiedziałem. – Mój umysł rządzi się prawami przyczyny i skutku.

Don Juan, jak to miał w zwyczaju, wybuchnął śmiechem. Nie mogłem zrozumieć, skąd biorą się te jego ataki wesołości. Wyglądałem chyba na zdenerwowanego, bo położył mi dłoń na ramieniu.

– Śmieję się w ten sposób od czasu do czasu, bo jesteś szalony – powiedział. – Odpowiedź na wszystkie swoje pytania masz w zasięgu wzroku, jednak w ogóle jej nie widzisz. Myślę, że twoim przekleństwem jest obłęd.

W jego roziskrzonych oczach czaiło się coś tak szalonego i złośliwego, że i ja się roześmiałem.

– Mówiłem do znudzenia o tym, że w magii nie ma reguł postępowania – ciągnął – metod ani stopni do pokonania. Jedyną ważną sprawą jest ruch punktu scalającego. Nie wywoła go żadna reguła – odbywa się sam z siebie. Dotknął moich pleców, naciskając, jakby chciał mnie wyprostować, a potem spojrzał mi prosto w oczy, zmuszając mnie do uwagi.

– Zobaczmy, jak to sobie wyobrażasz – rzekł. – Dopiero co powiedziałem, że punkt scalający przemieszcza się samoistnie. Stwierdziłem też, że to obecność naguala porusza punkt scalający ucznia, mówiłem ci także, że sposób, w jaki nagual maskuje swą bezwzględność, albo pomaga w tym ruchu, albo go hamuje. Jak wybrniesz z tej sprzeczności?

Przyznałem, że sam miałem go poprosić o rozwiązanie tego paradoksu. Zdawałem sobie z niego sprawę, ale nie potrafiłem zabrać się za jego rozwikłanie. Dodałem, że nie jestem przecież praktykującym czarownikiem.

– Kim wobec tego jesteś? – zapytał.

– Studentem antropologii, próbującym ustalić, czym zajmują się czarownicy – odparłem.

Nie powiedziałem całej prawdy, ale i nie skłamałem. Don Juan nie mógł opanować śmiechu.

– Na to jest już za późno – powiedział. – Twój punkt scalający przemieścił się, a to właśnie ten ruch czyni z nas czarowników.

Następnie stwierdził, że te pozornie przeciwstawne sądy są w istocie dwiema stronami tego samego medalu. Otóż nagual przyczynia się do ruchu punktu scalającego, pomagając uczniowi rozbić jego lustro wyobrażeń o sobie samym – to wszystko, co może zrobić. Prawdziwym sprawcą-poruszycielem jest duch, abstrakcja, coś, czego nie można poczuć ani zobaczyć, coś, czego na pozór nie ma, a jednak istnieje. Z tego powodu czarownicy mówią, że punkt scalający przemieszcza się samoistnie albo że porusza go nagual. Nagual jest medium dla abstrakcji, a więc może ją wyrażać swoim postępowaniem. Spojrzałem na niego pytająco.

– Mówimy, że nagual porusza punkt scalający, chociaż to nie on odgrywa tu czynną rolę – mówił dalej. – Prawdę mówiąc, duch uzewnętrznia się stosownie do nieskazitelności naguala. Aby duch poruszył punkt scalający, wystarczy sama obecność nieskazitelnego naguala. Na koniec stwierdził, że pragnął wyjaśnić tę sprawę, gdyż jej niezrozumienie może poprowadzić naguala ponownie drogą pychy i przywieść go do zguby. Zmieniając temat, powiedział, że ponieważ duch jest nieprzenikniony z natury, od jałowych rozważań czarownicy wolą konkretne działanie, jakim jest poszukiwanie sposobów rozbicia zwierciadła wyobrażeń.

Dodał, że nagual musi się zastanowić, czy w tym zadaniu pomoże mu zasłona, za którą ukrywa swą bezwzględność. Na przykład, maska wielkoduszności, którą noszę, przydaje się przy powierzchownych kontaktach z ludźmi, ale nie nadaje się do rozbijania ludzkich zwierciadeł wyobrażeń. Posługując się tą maską, musiałbym żądać od tych osób podjęcia prawie niemożliwej

decyzji: wskoczenia w świat magii od razu, z marszu.

– Takiej decyzji nie można podjąć bez przygotowania – kontynuował. – Zasłona wspaniałomyślności w ogóle nie spełnia tej roli.

Rozpaczliwie pragnąłem utrzymać swoją wiarę we własną wyrozumiałość, a wypowiedź don Juana wzbudziła na nowo moje poczucie winy. Don Juan zapewnił mnie, że nie mam się czego wstydzić: jedyną wadą mojej rzekomej szlachetności jest to, że nie można nią nikogo omamić. Uznał, że aczkolwiek pod wieloma względami przypominam jego dobroczyńcę, nie będę mógł – jako nauczy–ciel – używać mojej maski: jest zbyt prymitywna i łatwa do odgadnięcia. Natomiast zasłona rozsądku, jaką okrywał się don Juan, zawsze znakomicie sprzyjała przemieszczaniu punktu scalającego. Uczniowie całkowicie ufali jego rzekomej racjonalności. Gdy znaleźli się pod jej wpływem, don Juan mógł ich bez trudu nakłonić, by dali z siebie wszystko.

– Twoje doświadczenia w Guaymas pokazują, w jaki sposób ukryta bezwzględność naguala rozbiła twoje wyobrażenia – mówił dalej – Moja maska przywiodła cię do zguby: jak każdy, kto się ze mną styka, zaufałeś mojemu rozsądkowi. I oczywiście spodziewałeś się, że mój rozsądek będzie trwać. Kiedy ujrzałeś, że nie tylko zachowuję się jak słabowity staruszek, ale naprawdę jestem stary, twój umysł zrobił wszystko, by przywrócić spójność twojego postrzegania mojej osoby i podtrzymać twoje wyobrażenia. A więc wmówiłeś sobie, że miałem udar. Dopiero wtedy, gdy straciłeś wiarę w trwałość mojego rozsądku, twoje zwierciadło zaczęło pękać. Z tą chwilą – przesunięcie twojego punktu scalającego było już tylko – kwestią czasu. Nie było tylko wiadomo, czy dotrze on do bezlitosnego miejsca.

Wyraz niedowierzania, jaki malował się na mojej twarzy, kazał don Juanowi wyjaśnić, że świat naszego umysłu, czy też naszych o sobie wyobrażeń, jest bardzo kruchy – spaja go tylko kilka kluczowych, porządkujących go pojęć. Gdy idee te tracą swoje znaczenie, fundamentalny ład naszego świata ginie.

– Jakie to kluczowe pojęcia, don Juanie? – zapytałem.

– W twoim przypadku jest tak samo jak z widownią znachorki, o której mówiliśmy: tym podstawowym pojęciem jest spójność.

– O jakiej spójności mówisz? – dopytywałem się.

– Chodzi o koncepcję, że jesteśmy niepodzielną całością – odparł. – Poczucie pewności, że jesteśmy niezmienni, stabilizuje nasz świat. Łatwo oswajamy się ze zmiennością naszego zachowania, reakcji czy opinii – nie umielibyśmy jednak pogodzić się z myślą, że możemy zmienić nasze rysy, przemienić się w kogoś innego. Taka plastyczność wykracza poza ramy naszego o nas samych wyobrażenia. Kiedy czarownik burzy ten fundamentalny porządek, świat rozumu się zatrzymuje.

Na usta cisnęło mi się pytanie, czy kiedy świat danej osoby utraci spójność, wystarczy to do poruszenia jej punktu scalającego. Don Juan ubiegł mnie i powiedział, że jest to tylko pierwszy krok, do poruszenia punktu potrzeba jeszcze bezwzględności naguala. Następnie przyrównał swoje postępowanie owego dnia w Guaymas do zachowania znachorki, o której kiedyś rozmawialiśmy. Przygotowując się do operacji, kobieta rozbiła w proch wyobrażenia obserwatorów, wywołując szereg niecodziennych, dramatycznych wydarzeń: owładnięcie przez ducha, zmiana głosu, rozcinanie ciała. Kiedy wyobrażenia obserwatorów stały się niespójne, ich punkty scalające były gotowe do ruchu. Potem don Juan przypomniał mi, że kiedyś omawialiśmy pojęcie "zatrzymania świata". Mówił wtedy, że znajomość tego procesu jest dla czarowników tak niezbędna, jak dla mnie pisanie i czytanie. Metoda ta polegała na wprowadzaniu dysonansu w gładką strukturę codziennego zachowania, co miało służyć zatrzymaniu przepływu zwyczajnych, łatwych do rozumowego sklasyfikowania zdarzeń.

Ten niedopasowany element nazywa się "nie-działaniem" lub przeciwieństwem "działania". Podczas gdy "działanie" jest jednym ze składników większej, uzasadnionej poznawczo całości, "nie-działanie" jest elementem, który do tej poszufladkowanej całości nie należy.

– Ponieważ czarownicy są tropicielami, ludzką naturę znają na wylot – dodał don Juan. – Wiedzą na przykład, że ludzie nie potrafią obejść się bez prowadzenia rejestrów. Kiedy ktoś pozna wszystkie tajniki określonej klasyfikacji, staje się uczonym albo ekspertem w swej dziedzinie. Czarownicy wiedzą również, że jeśli przeciętny człowiek uzna swoją listę za nieprzydatną, powiększa ją – w przeciwnym wypadku świat jego wyobrażeń się rozsypuje. Zwykły człowiek nie ma nic przeciwko dołączaniu do swojego spisu nowych elementów, o ile nie zakłócają one panującego w nim ładu. Jeśli jednak nowy . składnik przeczy podstawowemu porządkowi wykazu, osoba ta doznaje psychicznego wstrząsu,

albowiem rejestr człowieka nie jest niczym innym, jak jego umysłem.

Na ten właśnie wstrząs liczą czarownicy, kiedy chcą rozbić zwierciadło wyobrażeń. Don Juan przyznał, że tamtego dnia starannie przygotował wszystkie środki mogące mu pomóc w zniszczeniu mojej spójności. Przemieniał się powoli, aż naprawdę stał się chorym, starym człowiekiem, potem, aby wzmocnić uzyskany efekt, zabrał mnie do restauracji, w której znano go jako starca. Przerwałem jego wypowiedź, bo uświadomiłem sobie sprzeczność, która do tej pory pozostawała w ukryciu. Don Juan powiedział mi przecież, że przemienił się, gdyż chciał zobaczyć, jak to jest być starym, a nadarzająca się wtedy okazja była jedyna w swoim rodzaju. Kiedy mi o tym mówił, doszedłem do wniosku, że po raz pierwszy stawał się wówczas starym człowiekiem. A jednak w restauracji znano go jako cierpiącego na nadciśnienie staruszka.

– Bezwzględność naguala ma wiele barw – odpowiedział. – Jest niczym narzędzie, które w zależności od celu zmienia kształt. Bezwzględność jest jednym ze stanów istnienia naguala, poziomem osiągniętej przez niego intencji. Z jej pomocą nagual porusza punkt scalający – własny lub swoich uczniów. Wykorzystuje ją też przy osaczaniu. Rozpocząłem tamten dzień jako tropiciel, który ukrywa się w przebraniu starca, a skończyłem jako naprawdę stary, schorowany człowiek. Bezwzględność, kierowana moim wzrokiem, poruszyła mój punkt scalający. Owszem, wiele razy pokazywałem się w tej restauracji w roli człowieka wiekowego i chorego, jednak do tamtego dnia tylko osaczałem sam siebie: bawiłem się w staruszka. Nigdy przedtem mój punkt scalający nie znalazł się naprawdę w pozycji dokładnie odpowiadającej starości i zniedołężnieniu.

Don Juan dodał, że sama intencja starości sprawiła, iż jego oczy straciły blask. Nie umknęło to mojej uwagi, co można było poznać po moim zatrwożonym obliczu. Don Juan miał zgasły wzrok, ponieważ oczami dokonał wyboru pozycji starości. Kiedy jego punkt scalający osiągnął to położenie, don Juan naprawdę zdołał się postarzeć: wyglądał, zachowywał się i czuł jak stary człowiek.

Poprosiłem, by wyjaśnił mi pojęcie wybierania oczami. Wydawało mi się znajome, ale nie potrafiłem go objaśnić nawet w myśli.

– Da się o tym powiedzieć tylko tyle, że intencję wybiera się oczami – odparł don Juan. – Wiem, że tak jest, ale nawet ja nie potrafię wyłożyć swojej wiedzy. Czarownicy wychodzą z tej sytuacji obronną ręką, akceptując tę oto oczywistość: ludzka istota jest nieskończenie bardziej złożona i zagadkowa, niż nam się kiedykolwiek śniło.

Poskarżyłem się, że nie wyjaśnił moich wątpliwości.

– Wiem tylko, że robią to oczy – odrzekł krótko. – W jaki sposób, nie mam pojęcia. To się po prostu dzieje. Oczy wzywają intencję dzięki jakiejś nieokreślonej właściwości swojego blasku. Czarownicy powiadają, że intencji nie doświadcza się intelektem, ale oczami.

Nie chciał powiedzieć na ten temat nic więcej i powrócił do omawiania mojego wspomnienia. Stwierdził, że kiedy go ujrzałem po tym, jak odpowiednio przemieścił swój punkt scalający i rzeczywiście stał się starym człowiekiem, wszystkie moje wątpliwości powinny były się rozwiać. Jednak mój intelekt, którym tak się szczycę, niezwłocznie kazał mi poszukiwać wyjaśnienia dla tej transformacji.

– Powtarzam ci nieustannie, że nadmiar rozsądku szkodzi – powiedział. – Ludzie w głębi duszy doskonale pojmują sztuki tajemne. Jesteśmy częścią tajemnicy, a rozum jest tylko jej cienką, wierzchnią warstewką. Jeżeli ją zdrapiemy, odnajdziemy w naszym wnętrzu czarownika. Niektórzy z nas z wielkim wysiłkiem schodzą pod powierzchnię, innym przychodzi to bez trudu. My dwaj jesteśmy pod tym względem podobni: spływamy krwawym potem, zanim uda nam się pozbyć naszych wyobrażeń.

Wyjaśniłem mu, że w każdej sytuacji – a w jego świecie w szczególności – za wszelką cenę trzymam się rozumu.

Don Juan przyznał, że tego dnia w Guaymas mój rozsądek poddał go wielkiej próbie – od samego początku musiał posługiwać się wszystkimi dostępnymi środkami, aby ów rozsądek podkopać. Dlatego właśnie czepiał się moich ramion i wieszał na mnie całym ciężarem. Tak więc pierwszym punktem jego ataku było działanie bezpośrednie, fizyczne, które w połączeniu z lękiem, jaki wzbudziła we mnie utrata spójności, wystarczyło do osłabienia mojej logiczności.

– Podkopanie twojego rozsądku było tylko wstępem – kontynuował. – Wiedziałem, że jeśli twój punkt scalający ma dotrzeć do bezlitosnego miejsca, muszę całkowicie pozbyć się spójności. Wtedy zamieniłem się w naprawdę przykrego starucha: najpierw kazałem ci jeździć dookoła miasta, a w końcu wpadłem we wściekłość i zacząłem cię bić. Było to dla ciebie wstrząsem, ale doszedłbyś do

siebie, gdyby nie mój ostateczny atak: wołanie o pomoc. Wcale się nie spodziewałem, że uciekniesz. Zapomniałem o twoich gwałtownych reakcjach.

Don Juan dodał, że moja taktyka natychmiastowego dochodzenia do siebie zawiodła, kiedy wezbrała we mnie złość. Wtedy mój punkt scalający zdołał dotrzeć do bezlitosnego miejsca. A być może było dokładnie odwrotnie: rozgniewałem się dlatego, że mój punkt scalający znalazł się w bezlitosnym miejscu. Tak czy owak, nie miało to znaczenia – liczył się tylko fakt, że punkt się przemieścił. Kiedy już się to stało, moje zachowanie zmieniło się w sposób istotny: stałem się zimny, wyrachowany i obojętny na własne bezpieczeństwo.

Spytałem don Juana, czy widział to wszystko. Nie pamiętam, żebym mu o tym opowiadał. Odparł, że aby wiedzieć, co wtedy czułem, wystarczyło cofnąć się myślą wstecz i przypomnieć sobie własne, podobne przeżycie. Podkreślił, że nawet wtedy, kiedy na powrót stał się sobą, mój punkt scalający pozostał w nowym położeniu. Moje przekonanie co do spójności jego zachowania osłabło na tyle, że nie mogło już cementować mojego świata. Dzięki nowemu położeniu punktu scalającego powstała nowa spójność, wyrażającą się dziwną, obojętną twardością, towarzyszącą mi od tamtej pory na co dzień.

– Spójność jest tak ważnym składnikiem ludzkiego życia, że jeśli zostanie zniszczona, natychmiast się odtwarza – mówił dalej don Juan. -Jeżeli chodzi o czarowników, umieszczenie punktu scalającego w bezlitosnym miejscu odmienia tę spójność nie do poznania. Ponieważ nie jesteś z natury spostrzegawczy, nie zauważyłeś, że tamtego dnia w Guaymas nauczyłeś się między innymi brać za dobrą monetę każdą niespójność – chociaż, oczywiście, twój rozsądek musi najpierw stoczyć symboliczną walkę.

W jego błyszczących oczach był uśmiech.

– Tamtego dnia zdobyłeś również maskę dla swojej bezwzględności – kontynuował. – Oczywiście, nie od razu nabrała takiego wyrazu, jaki ma dzisiaj, wtedy pojawiły się dopiero zaczątki twojej obecnej maski: oblicza wielkoduszności.

Próbowałem zaprotestować. Niezależnie od interpretacji, nie podobała mi się koncepcja zamaskowanej bezwzględności.

– Nie próbuj swojej maski na mnie. – Moja postawa go rozbawiła. – Zostaw ją dla bardziej odpowiedniej osoby: kogoś, kto cię nie zna.

Polecił mi dokładnie odtworzyć chwilę, w której pojawiła się moja maska.

– Kiedy poczułeś ogarniającą cię zimną zaciekłość – stwierdził – musiałeś ją ukryć. Nie żartowałeś z niej, jak zrobiłby to mój dobroczyńca. Nie próbowałeś też jej uzasadnić, jak ja bym postąpił na twoim miejscu, ani udać zaciekawienia, tak jak zachowałby się nagual Elias. Takie są trzy znane mi maski nagualów. A ty co zrobiłeś? Podszedłeś spokojnie do samochodu i oddałeś połowę pakunków gościowi, który pomógł ci je nosić.

Aż do tego momentu nie pamiętałem faktu, że ktoś pomagał mi przy paczkach. Powiedziałem don Juanowi, że w tamtej chwili świat migotał mi przed oczami, a moja chłodna zaciętość sprawiła, że nieomal zemdlałem.

– Byłeś bliski nie omdlenia – odparł don Juan – ale śnienia. Mogłeś całkiem samodzielnie, jak Talia i mój dobroczyńca, ujrzeć ducha.

Powiedziałem don Juanowi, że oddałem pakunki wiedziony nie wspaniałomyślnością, ale zimną furią, która mnie ogarnęła. Musiałem się czymś uspokoić – to, co zrobiłem, było pierwszą rzeczą, jaka przyszła mi do głowy.

– Dokładnie to próbuję ci powiedzieć: twoja hojność nie jest prawdziwa – odrzekł don Juan, śmiejąc się z mojej konsternacji.

12. PRZEPUSTKA DO NIESKAZITELNOŚCI

Podczas gdy don Juan rozprawiał o rozbijaniu wyobrażeń, na dworze zrobiło się ciemno. Powiedziałem, że jestem kompletnie wyczerpany, chciałem, byśmy przerwali podróż i wrócili do domu. Don Juan natomiast utrzymywał, że każdą wolną minutę powinniśmy poświęcić podsumowaniu magicznych historii albo odtwarzaniu moich wspomnień, wywołując ruch mojego punktu scalającego tak często, jak to możliwe.

Zebrało mi się na narzekanie. Oświadczyłem, że wobec tak wielkiego zmęczenia nie mogę się spodziewać niczego innego, jak niepewności i niewiary.

– Niepewność jest tu całkiem na miejscu – powiedział rzeczowo don Juan. – Masz w końcu do czynienia ze spójnością nowego typu. Żeby się do niej przyzwyczaić, potrzeba czasu. Wojownicy całe lata przebywają w otchłani, w której nie są ani zwykłymi ludźmi, ani czarownikami.

– Co się w końcu z nimi dzieje? – zapytałem. – Czy decydują się na którąś z możliwości?

– Nie mają wyboru – odpowiedział. – Wszyscy uświadamiają sobie w końcu, kim są: czarownikami. Cała trudność w tym, że zwierciadło wyobrażeń ma wielką moc i tylko po morderczej walce pozwała odejść swoim więźniom.

Zamilkł nagłe, jakby zgubił wątek, i zesztywniał. Widywałem go już nieraz w takim stanie, sądziłem, że są to chwile zadumy. Don Juan twierdził, że. w tych momentach jego punkt scalający przemieszcza się, umożliwiając mu przywoływanie wspomnień. Nieprzerwane milczenie trwało tym razem chyba z pół godziny.

– Opowiem ci teraz o magicznej przepustce do nieskazitelności – odezwał się nagle don Juan. – Będzie to historia mojej śmierci.

Zaczął od chwili, w której stary Belisario i jego świta po miesięcznej podróży przez środkowy Meksyk przybyli wreszcie do Durango. Chcąc ukryć don Juana przed ścigającym go potworem, Belisario zaprowadził go od razu – przebranego jeszcze w kobiece łaszki – na hacjendę. Kiedy przybyli do domu, don Juan – z wielką śmiałością, jak na skrytego młodzieńca – przedstawił się wszystkim jego mieszkańcom. Było tam siedem pięknych kobiet i jeden dziwny, nietowarzyski mężczyzna, który nie odezwał się ani słowem Don Juan ujął kobiety swoją relacją o ścigającym go potworze, a nade wszystko zachwycił przebraniem, które ciągle miał na sobie, i łączącą się z nim historią. Nie tylko nie znużyły ich szczegóły jego przygód, ale nawet dały mu kilka rad, jak udoskonalić wiedzę nabytą w czasie podróży. Zaskoczyły go swoim niebywałym opanowaniem i pewnością siebie. Były to wyjątkowe istoty, w których towarzystwie czuł się szczęśliwy, lubił je i darzył zaufaniem, a one traktowały go z szacunkiem i uwagą. Jednak coś w ich oczach mówiło mu, że pod urokliwą powłoką czai się przeraźliwy chłód, nieubłagana surowość i wewnętrzna siła.

Zdziwiło go, że te piękne stworzenia zachowują się wobec niego tak swobodnie i bezceremonialnie. Przyszło mu nawet do głowy, że są to kobiety lekkich obyczajów. Wiedział jednak, że to niemożliwe. Pozwolono mu swobodnie poruszać się po całej posiadłości. Rozległa rezydencja i przyległe tereny zrobiły na nim duże wrażenie – nigdy nie widział niczego podobnego. Stary, utrzymany w stylu kolonialnym dom był otoczony wysokim murem. Wewnątrz miał balkony ozdobione kwiatami oraz dziedzińce z wielkimi drzewami owocowymi, w których cieniu można było znaleźć ciszę i spokój. Wokół dziedzińców biegły przestronne korytarze, a dom miał wiele dużych pokoi. Don Juan mógł wszędzie chodzić bez ograniczeń, z wyjątkiem tajemniczych sypialni na pierwszym piętrze. Przez pierwszych kilka dni nie mógł się nadziwić trosce kobiet o jego dobre samopoczucie. Robiły dla niego wszystko i słuchały go z uwagą. Nie przypominał sobie, by kiedykolwiek traktowano go równie uprzejmie, a jednocześnie nigdy nie czuł się tak samotny. Ciągle przebywał w towarzystwie tych pięknych, dziwnych niewiast, a mimo to był osamotniony jak nigdy dotąd. Tłumaczył sobie to uczucie tym, że nie mógł przewidzieć zachowania kobiet ani odgadnąć, co naprawdę czują – wiedział o nich tylko to, co same mu powiedziały. Po kilku dniach gościny jedna z nich – ich przywódczyni, jak się wydawało – wręczyła mu zupełnie nowe, męskie ubranie. Powiedziała mu, że nie musi się już ukrywać, gdyż potwór, kimkolwiek był, zniknął. Don Juan może iść, dokąd tylko zechce. Don Juan błagał, by pozwolono mu spotkać się z Belisariem, którego nie widział od dnia przyjazdu. Kobieta oświadczyła, że Belisario wyjechał, ale przed odjazdem prosił, by młodemu człowiekowi pozwolono pozostać w domu tak długo, jak sam uzna za stosowne – o ile będzie nadal w opałach. Don Juan

zapewnił ją, że jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie: przez te kilka dni potwór ukazywał mu się nieustannie, przemykając wśród otaczających rezydencję pól. Kobieta nie chciała w to uwierzyć, uznała, że don Juan dobrze wyuczył się swojej roli: wymyślił sobie tego potwora, by go do siebie przyjęli. Oświadczyła, że w ich domu nie ma miejsca dla próżniaków – mieszkają tu poważni ludzie, którzy pracują zbyt ciężko, żeby pozwolić sobie na utrzymywanie nierobów. Dotknęło to don Juana. Wybiegł z domu, ale kiedy zauważył, że za ciągnącymi się wzdłuż alejki ozdobnymi krzewami czai się potwór, irytacja ustąpiła miejsca przerażeniu. Wpadł z powrotem do domu i błagał kobietę o możliwość pozostania. Obiecał, że wykona każdą najczarniejszą robotę, nie oczekując zapłaty, jeżeli będzie mógł zamieszkać na hacjendzie. Kobieta zgodziła się, zastrzegła jednak, że don Juan musi przystać na dwa warunki: nie będzie zadawał żadnych pytań i, nie żądając wyjaśnień, wykona wszystko, co mu się każe. Ostrzegła go, że kiedy złamie te reguły, jego pobyt w domu stanie pod znakiem zapytania.

– Działałem pod przymusem – powiedział don Juan. – Chcąc nie chcąc, zostałem. Wiedziałem, że na zewnątrz czeka na mnie potwór, a dopóki jestem w domu, nic mi nie grozi. Zauważyłem już wcześniej, że monstrum, jakby nie mogąc przekroczyć niewidzialnej granicy, nie podchodzi do zabudowań na odległość mniejszą niż około stu jardów -wewnątrz koła o takim promieniu byłem bezpieczny. W tamtej chwili to jedno było dla mnie ważne. Ten dom miał jakąś magiczną moc, która powstrzymywała potwora. Spostrzegłem także, że upiór nigdy się nie pojawiał, kiedy towarzyszył mi któryś z mieszkańców domu. Sytuacja nie zmieniała się przez kilka tygodni. Pewnego dnia pojawił się ten sam młody człowiek, który – jak don Juan mógłby przysiąc – przebrany za starego Belisaria mieszkał z nim razem w domu potwora. Powiedział don Juanowi, że dopiero co przyjechał, nazywa się Julian i jest właścicielem hacjendy. Don Juan chciał, oczywiście, wiedzieć, dlaczego nowo przybyły znowu się przebrał. Jednakże młody człowiek, patrząc mu prosto w oczy, bez wahania odpowiedział, że nie wie nic o żadnym przebraniu.

– Masz czelność tu, w moim domu, opowiadać takie bzdury? – krzyknął na don Juana. – Za kogo mnie uważasz?

– Ale... ty jesteś Belisario, prawda? – upierał się don Juan.

– Nic podobnego – odrzekł młody człowiek. – Belisario jest stary. Ja nazywam się Julian i jestem młody. Gdzie masz oczy?

Don Juan położył uszy po sobie i przyznał, że już wcześniej wydawało mu się, iż nie była to wcale maskarada. Mówiąc to, zdał sobie sprawę, że plecie androny. Cóż to mogło być innego, jeśli nie charakteryzacja? Była tylko jedna możliwość: prawdziwa transformacja, a to przecież oczywisty absurd. Konsternacja don Juana rosła z minuty na minutę. Gospodarz hacjendy nic nie wiedział o żadnym potworze. Owszem, przypuszczał, że stary Belisario nie udzieliłby don Juanowi schronienia bez powodu, jednakże kogo don Juan się obawia i przed kim się ukrywa, wcale go nie interesowało. Tak chłodne przyjęcie zmroziło don Juana. Narażając się na gniew swego gospodarza, przypomniał mu, kiedy się spotkali. Młody człowiek oświadczył, że widzą się po raz pierwszy, mimo to czuje się w obowiązku spełnić życzenie starego Belisaria. Następnie powiedział, że jest nie tylko właścicielem hacjendy, ale opiekunem wszystkich jego mieszkańców – włącznie z don Juanem, który, ukrywając się wśród nich, stał się wychowankiem domu. Gdyby don Juan miał coś przeciwko temu, może w każdej chwili odejść do swojego potwora, którego nikt poza nim nie widział. Przed podjęciem ostatecznej decyzji don Juan, wiedziony rozsądkiem, postanowił spytać, na czym ma polegać rola wychowanka domu. Młody człowiek zabrał don Juana do części rezydencji będącej w rozbudowie. Oznajmił, że ta sekcja domu symbolizuje jego własne życie i dokonania: jest wciąż nie dokończona i chociaż prace postępują, być może taka już pozostanie.

– Ty jesteś jednym z elementów tej nie ukończonej konstrukcji – powiedział do don Juana. – Powiedzmy, że stanowisz wspornik dachu. Dopóki go nie ustawimy na właściwym miejscu i nie położymy na nim stropu, nie dowiemy się, czy wytrzyma ten ciężar. Majster uważa, że wytrzyma. Tym majstrem, najważniejszym wśród cieśli, jestem ja.

Z tego metaforycznego wyjaśnienia don Juan nie zrozumiał zupełnie nic. Chciał wiedzieć, jakie konkretne, fizyczne prace ma wykonywać. Młody człowiek spróbował podejść do sprawy inaczej.

– Jestem nagualem, niosącym wolność – powiedział. – Przewodzę ludziom mieszkającym w tym domu. Skoro się tu dostałeś, jesteś jego częścią, czy tego chcesz, czy nie.

Don Juan patrzył na niego osłupiały, nie mogąc wykrztusić ani słowa.

– Jestem nagual Julian – powiedział jego gospodarz z uśmiechem na ustach. – Bez mojej interwencji droga do wolności jest zamknięta.

Don Juan nadal nic nie rozumiał. Widząc zmienność nastrojów gospodarza, zaczął obawiać się o swoje bezpieczeństwo. Tak przejął się niespodziewanym obrotem rzeczy, że nawet nie zastanowił się nad znaczeniem słowa "nagual", wiedział tylko, że tym mianem określa się czarowników. Nie potrafił pojąć wypowiedzi naguala Juliana w pełni, chociaż jest równie możliwe, że dobrze wszystko zrozumiał, tyle że jego świadomy umysł nie chciał tego przyjąć. Młody człowiek przyglądał mu się przez chwilę, po czym powiedział, że jeśli idzie o konkrety, to don Juan zostanie jego osobistym służącym i asystentem. Nie otrzyma pensji, tylko przyzwoite bezpłatne wyżywienie i zakwaterowanie. Od czasu do czasu zleci mu się jakieś dodatkowe zadanie, któremu będzie musiał poświęcić nieco więcej uwagi. Byłyby to prace do samodzielnego wykonania albo zajęcia polegające na nadzorowaniu innych osób. Za te szczególne usługi otrzymywałby skromne wynagrodzenie. Uzbierane w ten sposób kwoty zapisywano by do jego osobistego rachunku, prowadzonego przez innych mieszkańców domu – gdyby kiedykolwiek chciał wyjechać, miałby odłożoną niewielką sumkę na pierwsze trudne dni.

Młody człowiek podkreślił, że wprawdzie nie chciałby, żeby don Juan czuł się więźniem, jeśli jednak chce pozostać – musi pracować. Jeszcze ważniejsze od pracy jest przestrzeganie trzech warunków: po pierwsze, ma być pilnym uczniem kobiet; po drugie, musi wzorowo postępować wobec wszystkich współmieszkańców, czyli nieustannie kontrolować swoje nastawienie i zachowanie; po trzecie, rozmawiając ze swoim gospodarzem, ma nazywać go nagualem, a mówiąc o nim z osobami trzecimi, powinien używać określenia "nagual Julian". Don Juan chętnie przystał na te warunki. Chociaż szybko stał się na powrót posępny i nadąsany, wkrótce zorientował się w swoich nowych obowiązkach. Nie rozumiał tylko wymagań dotyczących postawy i zachowania. Aczkolwiek nie mógł podać konkretnego przykładu, był święcie przekonany, że okłamuje się go i wykorzystuje. Kiedy negatywne uczucia wzięły górę, posępny nastrój ogarnął go na dobre, i don Juan przestał się do kogokolwiek odzywać. Wtedy to nagual Julian zwołał wszystkich członków gospodarstwa i powiedział, że wprawdzie bardzo potrzebuje pomocnika, ale jeśli domownikom nie podoba się nadęta mina i odpychająca postawa nowego ordynansa, mogą się w tej sprawie wypowiedzieć – on zdaje się na ich decyzję. Gdyby większość obecnych zganiła postępowanie don Juana, młodzieniec musiałby odejść i zaryzykować spotkanie z tym, co go czeka na zewnątrz – z potworem czy też z wytworem własnej wyobraźni. Następnie nagual Julian zaprowadził zebranych przed dom i wezwał don Juana, by pokazał im, gdzie ukrywa się ów potwór. Don Juan wskazał to miejsce, ale nikt poza nim nie zobaczył czającej się zjawy. Don Juan zaczął biegać jak oszalały od jednej osoby do drugiej, tłumacząc każdemu po kolei, że mają monstrum przed sobą. Błagał o pomoc, ale oni ignorowali jego prośby i nazywali go wariatem. Wtedy to nagual Julian postanowił poddać dalsze losy don Juana pod głosowanie. Nietowarzyski mężczyzna nie chciał brać w tym udziału, wzruszył ramionami i odszedł. Natomiast wszystkie kobiety opowiedziały się przeciwko pozostaniu don Juana, utrzymywały, że jest zbyt ponury i skory do gniewu. W czasie dyskusji okazało się, że nagual Julian zupełnie zmienił swoje stanowisko i stał się obrońcą don Juana. Sugerował, że kobiety mylą się co do biednego młodzieńca – być może nie jest wcale szalony, a kto wie, może naprawdę widzi swojego potwora, a związane z tym przeżycia są powodem jego markotności. Wybuchła sprzeczka: emocje rozpaliły się do białości i kobiety zaczęły wrzeszczeć na naguala. Don Juan był świadomy toczącej się kłótni, ale nie dbał już o nic. Wiedział, że zostanie wyrzucony, a wtedy potwór pochwyci go i uwięzi. Bezradny, zaczął płakać. Jego rozpacz i łzy sprawiły, ze część kobiet do tej pory zaciekle broniących swojego stanowiska przeszła na jego stronę. Najważniejsza spośród nich zaproponowała inne rozwiązanie: trzytygodniowy okres próbny, w ciągu którego kobiety codziennie oceniałyby zachowanie i postawę don Juana. Ostrzegła go, że jeśli w tym czasie ktoś poskarży się na niego, zostanie bez odwołania wyrzucony. Opisując te wydarzenia, don Juan wspomniał, że nagual Julian po ojcowsku wziął go na stronę i na dobre napędził mu strachu. Wyszeptał mu do ucha, że wie o wszystkim: potwór istnieje, co gorsza, krąży po posiadłości, jednak ze względu na pewne porozumienie, które nagual zawarł kiedyś z kobietami, a które musi pozostać tajemnicą, nie wolno mu wyjawić im tego, co wie. Namawiał don Juana, by ten przestał obnosić się ze swą upartą, ponurą osobowością i zaczął udawać, że jest kimś zupełnie innym.

– Udawaj, że jesteś szczęśliwy i zadowolony – powiedział. – Jeśli zawiedziesz, kobiety cię wyrzucą. Ta perspektywa powinna cię wystarczająco przerazić. Użyj strachu jako siły napędowej – lęk jest wszystkim, co masz.

Don Juan porzucił wszelkie wątpliwości i rozterki, kiedy znowu ujrzał potwora czającego się za niewidoczną linią. Upiór najwidoczniej zdawał sobie sprawę z tarapatów, w jakie wpadł don Juan, gdyż zachowywał się niespokojnie niczym głodny wilk, który już za chwilę dopadnie swej ofiary. Nagual Julian postanowił jeszcze bardziej przerazić don Juana.

– Na twoim miejscu – powiedział – stałbym się potulny jak baranek. Postępowałbym tak, jak chcą kobiety, dopóki chroniłoby mnie to przed tą piekielną bestią.

– A więc widzisz potwora? – zapytał don Juan.

– Oczywiście – odparł nagual. – Widzę także, że jeśli opuścisz to miejsce z własnej woli albo zostaniesz wyrzucony, monstrum porwie cię i uwięzi. To na pewno zmieni twoje nastawienie, gdyż niewolnicy nie mają wyboru: muszą się w stosunku do swoich panów zachowywać właściwie. Słyszałem, że tego rodzaju potwory potrafią zadawać niewyobrażalne cierpienia. Don Juan zrozumiał, że jego jedyną nadzieją jest być tak czarującym, jak to tylko możliwe. Strach przed dostaniem się w ręce potwora był zaiste wielką psychologiczną siłą. Wspominając całą tę historię, don Juan zauważył, że dziwnym trafem zachowywał się grubiańsko tylko wobec kobiet – nigdy nie pozwalał sobie na to w stosunku do naguala Juliana. Nie wiadomo dlaczego, uważał, że nie może się nawet poważyć na jakiekolwiek, świadome czy podświadome, oddziaływanie na naguala. Jeżeli chodzi o mieszkającego w domu nietowarzyskiego mężczyznę, don Juan traktował go obojętnie. Wyrobił sobie o nim zdanie w chwili, w której się spotkali, i nie zwracał na niego uwagi. Uważał, że mężczyzna jest leniwym mięczakiem, zależnym od wszystkich tych pięknych kobiet. Bliższe zapoznanie się z nagualem Julianem utwierdziło go w opinii o owym nietowarzyskim osobniku: inni zdecydowanie przyćmiewali go swym blaskiem. Z upływem czasu don Juan poznał układy panujące w rezydencji. Był zdziwiony i – nie wiedzieć czemu – uradowany, że nikt z domowników nie wywyższa się nad pozostałych. Niektórzy po prostu robili to, czego nie potrafili inni, co nie stawiało ich wyżej w hierarchii, tylko zwyczajnie odróżniało. Jednakże podjęcie ostatecznej decyzji w każdej sprawie zwyczajowo przypadało nagualowi Julianowi. Jego postanowienia przybierały postać złośliwych żartów – nie oszczędzał w nich nikogo, a sam bawił się znakomicie. Wśród domowników była też pewna tajemnicza kobieta. Rozmawiając o niej, wszyscy nazywali ją Talią, kobietą-nagualem. Don Juan nie mógł się od nikogo dowiedzieć, kim jest ta tajemnicza osoba ani co oznacza przydomek "kobieta-nagual". Wyjaśniono mu tylko, że Talia jest jedną z siedmiu mieszkanek rezydencji. Mówiono o niej tak dużo, że don Juan umierał z ciekawości. Był tak dociekliwy, że pewnego dnia przywódczyni kobiet zaofiarowała się nauczyć go pisać i czytać, by mógł lepiej wykorzystać swoje zdolności dedukcyjne. Nalegała, by don Juan, zamiast polegać ciągle na pamięci, przyswoił sobie umiejętność sporządzania notatek. Dzięki temu mógłby zgromadzić sporą kolekcję faktów dotyczących Talii, które następnie powinien studiować, dopóki prawda nie ukaże mu się w pełni. Jakby wyprzedzając złośliwą uwagę don Juana, kobieta oświadczyła, że dociekanie, kim jest Talia, tylko z pozoru nie ma sensu – w istocie jest to najtrudniejsze i najbardziej owocne przedsięwzięcie, jakie można sobie wyobrazić. To byłaby łatwiejsza część zadania, oznajmiła kobieta. Bardziej serio dodała, że don Juan musi nauczyć się podstaw rachunkowości, aby móc pomagać nagualowi w prowadzeniu gospodarstwa. Codzienne lekcje zaczęły się od razu. Don Juan robił takie postępy, że już po roku potrafił pisać, czytać i prowadzić księgi. Wydarzenia płynęły tak gładko, że don Juan nie zauważył zmian, jakie zaszły w nim samym, a zwłaszcza narastającego w nim poczucia oderwania. Towarzyszące mu ciągłe wrażenie, że w rezydencji nic się nie dzieje, brało się stąd, iż nie utożsamiał się z jej mieszkańcami. Ci ludzie byli dla niego jak zamglone zwierciadła – nie dostrzegał w nich podobieństwa do samego siebie.

– Ukrywałem się tam przez blisko trzy lata – kontynuował don Juan. – Chociaż w tym czasie wiele przeżyłem, jednak żadne z moich doświadczeń nie miało dla mnie większego znaczenia, a przynajmniej tak chciałem je traktować. Byłem przeświadczony, że przez te trzy lata jedynie ukrywałem się, trząsłem ze strachu i tyrałem jak wał.

Mówiąc to, roześmiał się i wspomniał, jak to pewnego razu za namową naguala Juliana zgodził się uczyć magii – dzięki tej sztuce miał okiełznać swój strach na widok czającego się potwora. Nagual Julian, trzeba przyznać, dużo z nim rozmawiał, jednak wydawał się bardziej zainteresowany strojeniem sobie z niego żartów. Tak więc don Juan doszedł do przekonania, że nie nauczył się niczego, co choć trochę wiązałoby się z magią. Było dla niego jasne, że w tym domu nie ma nikogo, kto by w teorii lub praktyce znał się na tej sztuce. Tymczasem pewnego dnia w czasie przechadzki don Juan niespodziewanie zaczął odruchowo, ale bez wahania iść prosto ku owej niewidzialnej granicy, której potwór nigdy nie przekraczał. Owszem, zobaczył go, czającego się i jak zwykle obserwującego rezydencję. Jednak tego dnia don Juan nie zawrócił, jak robił zazwyczaj, i nie pobiegł w te pędy do domu. Szedł dalej, niesiony niezwykłym przypływem energii, nie dbając o własne bezpieczeństwo. Całkowite zobojętnienie sprawiło, że stanął oko w oko z upiorem terroryzującym go od tylu lat. Spodziewał się, że potwór rzuci się na niego i złapie za gardło, jednak ta myśl go nie przeraziła. Zbliżył się do potwora na odległość zaledwie kilku cali, patrzył na niego przez chwilę, po czym przekroczył niewidzialną granicę. Stwór się nie poruszył, atak, który don Juan sobie zawsze wyobrażał, nie nastąpił. Nagle postać upiora straciła swą wyrazistość, a jej kontury się rozmyły: monstrum przemieniło się w mlecznobiałą, ledwie dostrzegalną mgiełkę. Kiedy don Juan skierował się w jej stronę, ustąpiła jakby w przestrachu. Gonił ją po polach, aż przekonał się, że ze zjawy nie pozostało nic. Zrozumiał wtedy, że monstrum nigdy nie istniało – nie mógł jednak wyjaśnić, czego

obawiał się całe lata. Wydawało mu się, że doskonałe wie, skąd wziął się upiór, ale coś powstrzymuje go przed rozważaniem tego tematu. Pomyślał od razu, że z pewnością ten łotr, nagual Julian, zna całą prawdę. Tego żartu nie miał zamiaru puścić płazem. Zanim stanął twarzą w twarz z nagualem, pozwolił sobie na samotny spacer po całej posiadłości – po raz pierwszy był zdolny do takiego wyczynu. Do tej pory, kiedy musiał wykroczyć poza niewidoczną linię, potrzebował ochrony któregoś z domowników, co bardzo utrudniało swobodne poruszanie się. Ilekroć próbował przechadzać się bez eskorty, tylko cudem udawało mu się wymknąć z łap potwora. Dziwnie podekscytowany, powrócił do domu. Zamiast radować się z otrzymanej wolności i mocy, zebrał wszystkich mieszkańców i gniewnie zażądał, by wyjaśnili mu, dlaczego go okłamywali. Zarzucił im, że wykorzystując jego strach przed zjawą, nakłaniali go do niewolniczej pracy. Kobiety wybuchnęły śmiechem, jakby powiedział coś przezabawnego. Tylko nagual Julian wydawał się skruszony, zwłaszcza kiedy don Juan łamiącym się z oburzenia głosem opisywał trzy spędzone w strachu lata. Nagual nie mógł się opanować: łzy potoczyły mu się po twarzy, gdy don Juan zażądał przeprosin za bezwstydne czerpanie korzyści z jego niedoli.

– Ale my mówiłyśmy ci przecież, że twoja poczwara jest fikcją – powiedziała jedna z kobiet.

Don Juan spojrzał na naguala, który skulił się potulnie.

– On wiedział, że potwór istnieje! – wykrzyknął oskarżycielskim tonem, wskazując palcem na naguala Juliana. – Jednocześnie zdał sobie sprawę, że mówi bzdury, albowiem nagual od początku przekonywał go o nieistnieniu upiora. – To znaczy, potwora nie było – poprawił się, trzęsąc się z wściekłości, po czym dodał, patrząc na naguala: – To była jedna z jego sztuczek.

Nagual Julian, nie mogąc powstrzymać płaczu, przepraszał don Juana, podczas gdy kobiety boki zrywały ze śmiechu. Don Juan nie słyszał wcześniej, by śmiały się tak głośno.

– Wiedziałeś przez cały czas, że nie ma żadnego potwora. Oszukałeś mnie – don Juan obwiniał naguala, który ze spuszczoną głową, zapłakany, przyznawał się do winy.

– Masz rację, naprawdę cię okłamywałem – wykrztusił. – Potwór nigdy nie istniał. To, co widziałeś, było tylko falującą energią, którą twój strach zamieniał w upiorną zjawę.

– Powiedziałeś, że ten potwór mnie pochłonie. Jak mogłeś mnie tak oszukać? – krzyczał don Juan.

– To "pochłonięcie" miało symboliczne znaczenie – odpowiedział miękko nagual Julian. – Twoim prawdziwym wrogiem jest twoja głupota. Ten potwór nadal nastaje na twoje życie, niewiele brakuje, by cię pożarł.

Don Juan wrzeszczał, że nie będzie wysłuchiwać takich bzdur. Nalegał, by go zapewniono, że nikt nie będzie utrudniał mu wyjazdu.

– Możesz odejść, kiedy zechcesz – odrzekł krótko nagual Julian.

– To znaczy, nawet w tej chwili? – spytał don Juan.

– A czy chcesz tego? – odpowiedział pytaniem nagual Julian.

– Oczywiście. Nie mogę się doczekać, kiedy opuszczę to żałosne miejsce i mieszkającą tu bandę podłych kłamców.

Nagual Julian przykazał wypłacić don Juanowi jego wszystkie oszczędności. Patrząc na niego roziskrzonym wzrokiem, życzył mu szczęścia, pomyślności i mądrości. Kobiety nie chciały się z nim pożegnać. Wpatrywały się w niego tak długo, że musiał odwrócić wzrok, by uniknąć ich palącego spojrzenia. Włożył pieniądze do kieszeni i nie oglądając się za siebie, wyszedł, zadowolony, że koszmar minął. Stojący przed nim świat był dla niego zagadką. Zapragnął go poznać – tak długo był od niego odcięty. Był młody, silny i spragniony życia, no i miał pieniądze w kieszeni. Opuścił dom bez słowa podziękowania: w ten sposób wyraził swój gniew, tak długo przytłumiony strachem. A przecież już zaczynał lubić domowników. Czuł się zdradzony i chciał uciec stamtąd jak najdalej.

W mieście czekała go pierwsza nieprzyjemna niespodzianka: podróżowanie było rzeczą bardzo skomplikowaną i bardzo kosztowną. Dowiedział się, że jeśli chce opuścić miasto od razu, nie może wybrać kierunku podróży, ale musi czekać, aż zabiorą go jacyś mulnicy. Tak więc był zmuszony odczekać kilka dni, zanim mógł dołączyć do kierowanej przez pewnego godnego zaufania człowieka karawany mułów, zmierzającej w stronę portu Mazatlan.

– Miałem wtedy tylko dwadzieścia trzy lata – wspominał don Juan – ale czułem, że żyję pełnią życia. Jedyną rzeczą, której nie doświadczyłem, był seks. Jak twierdził nagual Julian, moje dziewictwo dawało mi siłę i wytrwałość. Nagual powiedział mi też, że ma mało czasu na ułożenie spraw, zanim

świat mnie dopadnie.

– Co miał na myśli, don Juanie? – spytałem.

– Chodziło mu o to, że sam nie wiedziałem, jakie piekło mnie czeka – odrzekł don Juan. – Miał mało czasu na ustawienie moich barykad, przygotowanie moich cichych obrońców.

– Kim jest cichy obrońca, don Juanie?

– To ratownik, który pod postacią przypływu nadprzyrodzonej energii przychodzi do wojownika, kiedy wszystko inne zawodzi.

Mój dobroczyńca wiedział, jaki obrót przyjmie moje życie, kiedy wyrwę się spod jego wpływu. Starał się wyposażyć mnie w tyle możliwości czarownika, ile tylko mógł. To one miały być moimi cichym obrońcami.

– Co to są możliwości czarownika? – spytałem.

– To pozycje jego punktu scalającego. Punkt może wykonać nieskończenie wiele mniejszych lub większych ruchów, a każda z osiągniętych w ten sposób pozycji pozwala czarownikowi umocnić spójność jego nowego świata. Don Juan podkreślił, że wszystko, czego doświadczył u boku swojego dobroczyńcy albo pod jego kierownictwem, wynikało z mniejszych lub większych przesunięć punktu scalającego. Dzięki swojemu dobroczyńcy don Juan poznał wiele możliwości czarownika, dużo więcej, niż byłoby to konieczne w przypadku kogoś innego – nagual Julian wiedział, że przeznaczeniem don Juana jest dociekać, kim są czarownicy i czym się zajmują.

– Przesunięcia te sumują się w swym działaniu – ciągnął don Juan. – Od nas samych zależy, czy to zrozumiemy, czy nie. W moim przypadku skumulowany efekt tych fluktuacji wyszedł mi w końcu na dobre. Wkrótce po zetknięciu się z nagualem mój punkt scalający przemieścił się tak znacznie, że potrafiłem widzieć: w zwykłym polu energetycznym ujrzałem potwora. Punkt kontynuował swój ruch, dopóki nie zobaczyłem tego, czym naprawdę było to monstrum: pola energetycznego. Udało mi się widzieć, choć o tym nie wiedziałem. Wydawało mi się, że niczego nie dokonałem ani się nie nauczyłem. Moja głupota była kolosalna.

– Byłeś zbyt młody, don Juanie – powiedziałem. – Nie mogłeś postąpić inaczej.

Roześmiał się tylko. Wydawało się, że chce coś na to odpowiedzieć, jednak zmienił zdanie. Wzruszył ramionami i wrócił do swojej relacji. Otóż w czasie podróży do Mazatlan zdobył wszystkie umiejętności mulnika. Po przybyciu na miejsce dostał ofertę stałej pracy – miał być poganiaczem mułów w karawanie na trasie z Durango do Mazatlan. Z możliwości tej niezmiernie się ucieszył, jednakże martwiły go dwie sprawy: po pierwsze, nie miał jeszcze nigdy kobiety, a po drugie, nie wiadomo dlaczego, odczuwał silną potrzebę udania się na północ. Wiedział tylko, że gdzieś w tamtych stronach coś na niego czeka. W końcu uczucie wzięło górę. Porzucił bezpieczną stałą pracę, by pojechać do północnej części kraju. Dzięki niespożytym siłom oraz sprytowi – nowej, nieoczekiwanej cesze charakteru – znajdował pracę tam, gdzie jej z pozoru nie można było znaleźć. Wędrując tak z miejsca na miejsce, wytrwale zmierzał na północ. Kiedy dotarł do stanu Sinaloa, jego podróż dobiegła kresu. Spotkał tam młodą Indiankę, jak on pochodzącą z plemienia Yaqui, wdowę po człowieku, którego don Juan był dłużnikiem. Postanowił, że spróbuje spłacić dług, pomagając wdowie i jej dzieciom. Już wkrótce, nie zdając sobie z tego sprawy, pełnił rolę męża i ojca. Jego nowe obowiązki bardzo mu ciążyły. Nie był już tak wolny jak do tej pory, a potrzeba podróży na północ gdzieś znikła. Stratę tę wyrównywało mu uczucie, jakie żywił do tej kobiety i jej dzieci.

– Przeżywałem wyjątkowo szczęśliwe chwile jako mąż i ojciec – opowiadał don Juan. – Jednak właśnie wtedy widziałem, że w moim życiu coś się psuje. Zauważyłem, że ginie uczucie obojętności czy oderwania, które nabyłem w domu naguala Juliana: oto zacząłem się utożsamiać z otaczającymi mnie ludźmi.

Don Juan dodał, że wystarczył rok działania nieubłaganego czasu, by utracił do ostatka swoją nową, nabytą w domu naguala osobowość. Jego uczucia wobec młodej wdowy i jej dzieci przeszły swoistą ewolucję. Z początku lubił ich bardzo, ale zachowywał wobec nich pewien dystans. Ten chłodny żar sprawiał, że pełnił rolę męża i ojca z poświęceniem i entuzjazmem. Z czasem to oderwane uczucie zmieniło się w rozpaczliwą pasję, która podcięła mu skrzydła.

Beznamiętność, dzięki której kochał, opuściła go na dobre. Kiedy zniknęło poczucie oderwania, pozostały mu tylko ludzkie potrzeby oraz rozpacz i desperacja, tak typowe dla współczesnego świata. Nie wiadomo gdzie podziała się przedsiębiorczość, zniknął zdobyty w domu naguala dynamizm, który tak dobrze mu służył na początku wolnego życia. Bardziej dotkliwe było fizyczne osłabienie. Oto

pewnego dnia nieoczekiwanie, bez zapowiadającej nieszczęście choroby, dotknął go paraliż. Nie cierpiał ani nie wpadł w panikę, jego ciało wydawało się rozumieć, że cisza i spokój, których tak pragnął, zjawią się tylko wtedy, gdy pozostanie w bezruchu. Leżał bezradnie w łóżku, zdolny jedynie do myślenia. Doszedł wtedy do wniosku, że przegrał, ponieważ nie miał abstrakcyjnego celu. Wiedział, że wyjątkowość mieszkańców domu naguala polegała na tym, że mieli abstrakcyjny cel: szukali wolności. Nie rozumiał, czym była ta wolność, ale wiedział jedno – jest ona przeciwieństwem jego własnych, konkretnych potrzeb. Brak abstrakcyjnego celu uczynił go słabym i niesprawnym. Nie potrafił wyrwać swojej przybranej rodziny z otchłani ubóstwa. Było wręcz na odwrót – to oni wciągnęli go za sobą na samo dno nieszczęścia, smutku i rozpaczy, znanych mu z czasów poprzedzających spotkanie naguala. Kiedy spoglądał wstecz na swoje życie, uświadomił sobie, że był taki okres, gdy nie znał biedy ani nie miał przyziemnych potrzeb. Były to owe trzy lata spędzone u boku naguala. Ubóstwo wchłonęło go ponownie, gdy zwykłe potrzeby wzięły górę. Po raz pierwszy od chwili, w której został postrzelony w pierś, zrozumiał w pełni, że nagual Julian jest naprawdę nagualem – przewodnikiem i dobroczyńcą. Pojął, co oznaczały słowa, że bez interwencji naguala nie ma wolności. Nie wątpił już, że jego dobroczyńca i wszyscy, którzy z nim mieszkali, byli czarownikami. Miał jednak równocześnie bolesną świadomość faktu, że szansę przebywania w ich towarzystwie sam kiedyś odrzucił. Kiedy wydawało mu się, że nie wytrzyma już przytłaczającego ciężaru fizycznej bezradności, paraliż ustąpił – w równie tajemniczy sposób, jak się pojawił. Pewnego dnia don Juan po prostu wstał z łóżka i poszedł do pracy. Nie poprawiło to jednak jego losu – ledwie mógł związać koniec z końcem. Mijał kolejny rok. Nie wiodło mu się, ale odniósł nieprzewidziany sukces, dokonał podsumowania swojego życia. Rozumiał teraz, dlaczego kochał te dzieci i czemu nie mógł ich porzucić ani z nimi pozostać. Wiedział, że żadna z tych ewentualności nie wchodzi w grę. Don Juan zrozumiał, że znalazł się w impasie. Jedynym wyjściem zgodnym z tym, czego nauczył się w domu swojego dobroczyńcy, było umrzeć jak na wojownika przystało. Tak więc co noc, po wyczerpującej, frustrującej swoją bezcelowością harówce, cierpliwie czekał na przyjście śmierci.

Jego przeświadczenie o bliskim końcu udzieliło się również jego żonie i dzieciom. Siadali wraz z nim i czekali na śmierć – tak jak on, chcieli umrzeć. Noc w noc siedzieli bez ruchu całą czwórką, w oczekiwaniu śmierci reasumując swoje życie. Don Juan pouczał ich słowami, którymi przestrzegał go kiedyś jego dobroczyńca.

– Nie pożądajcie śmierci – mówił. – Zwyczajnie czekajcie, aż nadejdzie. Nie próbujcie wyobrazić sobie, jak wygląda. Po prostu bądźcie – niech porwie was jej przypływ.

Oczekiwanie śmierci wzmocniło ich duchowo, ale ich wyniszczone ciała świadczyły o przegranej walce. Nadszedł taki dzień, w którym don Juanowi wydawało się, że jego los ulegnie zmianie. Znalazł dorywczą pracę przy zbiorach, jednak duch miał wobec niego inne plany. W kilka dni po rozpoczęciu pracy ktoś ukradł mu kapelusz. Na kupno nowego nie mógł sobie pozwolić, a w czasie pracy musiał coś mieć na głowie dla ochrony przed palącym słońcem. Sporządził sobie prowizoryczne nakrycie głowy ze szmat okręconych słomianym powrósłem. Towarzyszący mu mężczyźni żartowali sobie z niego i przedrzeźniali go. Nie zwracał na nich uwagi. W porównaniu z potrzebami trojga najbliższych, których życie zależało od jego pracy, jego wygląd nie miał znaczenia. Chłopi nie przestawali kpić, wrzeszczeli i śmiali się, aż nadzorca, obawiając się buntu, zwolnił don Juana. Don Juan wpadł we wściekłość. Zapomniał o swej zwykłej ostrożności i roztropności. Wiedział, że go oszukano, sprawiedliwość była po jego stronie. Wydał z siebie straszny, przeszywający okrzyk, schwycił jednego z mężczyzn i uniósł go nad głową, zamierzając złamać mu kark. Kiedy jednak pomyślał o swoich głodnych małych dzieciach, które tak karnie towarzyszyły mu w conocnym oczekiwaniu śmierci – zostawił mężczyznę w spokoju i odszedł. Kontynuując swoją opowieść, don Juan wspomniał, że kiedy usiadł na skraju pola, na którym pracowali chłopi, nagromadzona w nim rozpacz eksplodowała. Była to milcząca wściekłość, której obiektem byli nie inni, ale on sam. Krew burzyła się w nim tak długo, dopóki gniew się nie wypalił.

– Siedziałem tam przed tymi wszystkimi ludźmi i płakałem – mówił dalej. – Patrzyli na mnie, jakbym zwariował. Naprawdę oszalałem, ale było mi to obojętne.

Nie dbałem już o nic. Nadzorcy zrobiło się przykro, podszedł do mnie ze słowami otuchy. Myślał, że płaczę nad sobą. Nie mógł wiedzieć, że opłakiwałem ducha. Don Juan powiedział, że kiedy jego wściekłość zgasła, pojawił się, pod postacią niepojętego przypływu energii, jego milczący obrońca, który pomógł mu przeczuć nadchodzącą śmierć. Don Juan zrozumiał, że nie wystarczy mu czasu, by zobaczyć się ze swą przybraną rodziną. Głośno przepraszał ich, że zabrakło mu hartu i mądrości, aby wyrwać ich z tego piekła na ziemi. Chłopi nadal śmiali się z niego i przedrzeźniali. Prawie ich nie słyszał. Łzy spadały mu na piersi, kiedy zwracał się do ducha i dziękował mu za postawienie mu na drodze naguala i niezasłużoną szansę uzyskania wolności. Dobiegały go ryki nic nie pojmujących

mężczyzn. Ich wrzaski i obelgi pochodziły jakby z jego własnego wnętrza. O tak, mieli prawo się z niego natrząsać. Był u wrót wieczności, pozostał jednak tego nieświadomy.

– Pojąłem, że mój dobroczyńca miał w pełni rację – mówił don Juan. – Moja głupota była potworem, który właśnie mnie pożerał. Kiedy o tym pomyślałem, wiedziałem, że moje słowa i czyny nie mają już sensu – straciłem swoją szansę. W oczach tych mężczyzn byłem tylko błaznem. Duch nie mógł dbać o moją rozpacz, było nas, mężczyzn cierpiących w piekielnym ogniu podsycanym własną głupotą, zbyt wielu, by duch zwrócił na nas uwagę. Ukląkłem z twarzą zwróconą ku południowemu wschodowi. Podziękowałem swojemu dobroczyńcy i powiedziałem duchowi, że się wstydzę, tak bardzo wstydzę. I ostatnim tchnieniem żegnałem świat, który mógł być tak piękny, gdybym był mądrzejszy. Wtedy przypłynęła po mnie wielka fala. Najpierw ją poczułem, potem usłyszałem jej szum, a w końcu ujrzałem, jak przybywa z południowego wschodu, jak toczy się w moją stronę po łanach zbóż. Zalała mnie i zapadłem w ciemność, płomyk mojego życia został zdmuchnięty. Skończyło się moje piekło. W końcu umarłem. Nareszcie byłem wolny!

Byłem zdruzgotany historią don Juana. Chciałem o niej porozmawiać, ale zbył moje prośby stwierdzeniem, że omówimy ją kiedy indziej, w innych okolicznościach. Nalegał natomiast, żebyśmy podjęli poprzedni temat wyjaśnianie tajników sztuki świadomości. ' Parę dni później, gdy schodziliśmy z gór, don Juan niespodziewanie powrócił do swojej opowieści. Usiedliśmy, by odpocząć. Prawdę mówiąc, to ja chciałem się zatrzymać, don Juan nie wyglądał na zmęczonego.

– Walka, jaką toczy czarownik o uzyskanie całkowitej pewności, jest wyjątkowo dramatyczna – powiedział. – Przynosi mnóstwo cierpienia i wymaga wielu wyrzeczeń. Bardzo, bardzo często kosztuje czarownika utratę życia.

Dodał, że aby czarownik był absolutnie pewny swoich poczynań albo swojej pozycji w świecie magii bądź umiał rozsądnie wykorzystać nową spójność swojego życia, musi zerwać starą ciągłość. Tylko wtedy zdobędzie się na stanowczość i zdoła wzmocnić i ustabilizować nową spójność.

– Współcześni czarownicy jasnowidze nazywają niszczenie starej spójności "przepustką do nieskazitelności" albo "symboliczną, ale nieodwołalną śmiercią czarownika" – mówił don Juan. – Na tym polu w Sinaloa otrzymałem moją przepustkę: umarłem. Moja nowa spójność była tak słaba, że przypłaciłem to życiem.

– Rzeczywiście umarłeś czy po prostu zemdlałeś, don Juanie? – spytałem, z trudem ukrywając szyderczy ton.

– Na tamtym polu umarłem naprawdę – odrzekł don Juan. – Czułem, że świadomość odpływa ze mnie w kierunku Orła. Ponieważ jednak przykładnie podsumowałem swoje życie, Orzeł nie przełknął mojej świadomości.

Wypluł mnie na zewnątrz. Nie pozwolił mi iść dalej, po wolność, gdyż cieleśnie byłem martwy. Wyglądało na to, że nakazuje mi zawrócić i spróbować jeszcze raz. Wszedłem na wyżyny ciemności i zstąpiłem ponownie na świetlistą Ziemię. I oto znalazłem się w płytkim grobie wykopanym na skraju pola, przykryty piachem i kamieniami.

Don Juan oświadczył, że od razu wiedział, co ma robić. Kiedy wydostał się na powierzchnię, uklepał ziemię na rowie, tak by wydawało się, że ciało nadal tam spoczywa, Po czym wymknął się niepostrzeżenie. Czuł się silny i zdecydowany. Wiedział, że musi powrócić do domu swojego dobroczyńcy. Jednak przed podróżą chciał jeszcze zobaczyć się ze swą rodziną, wyjaśnić im, że jest czarownikiem i dlatego nie może z nimi pozostać. Pragnął im opisać przyczyny swego upadku: oto nie zdawał sobie próbuje wiązać się z ludźmi sprawy, że czarownik nie próbuje z tego świata. To oni, jeśli chcą do niego dołączyć mogą szukać z nim kontaktu. Poszedłem do domu – kontynuował don Juan – ale nikogo nie zastałem. Od wstrząśniętych sąsiadów dowiedziałem się, że kiedy mężczyźni przynieśli wiadomość o mojej śmierci na polu, moja żona zabrała dzieci i wyprowadziła się.

– Jak długo byłeś martwy, don Juanie? – Zapytałem.

– Cały dzień, jak sądzę – odparł.

Po jego twarzy błąkał się uśmiech, oczy błyszczały mu jak kawałki obsydianu Czekał, co powiem, jak zareaguję.

– Co stało się z twoją rodziną, don Juanie? – spytałem.

– Ach, więc to cię interesuje... Jakiś ty wrażliwy – Powiedział ironicznie. – Myślałem, że zapytasz o moją śmierć.

Przyznałem, że miałem taki zamiar, ale ponieważ zdawałem sobie sprawę, że widzi to pytanie w moich myślach, na przekór spytałem o coś innego. Chociaż mówiłem całkiem poważnie, don Juan wybuchnął śmiechem.

– Tego dnia cała moja rodzina zniknęła – odpowiedział w końcu. – Moja żona chciała za wszelką cenę przetrwać. Ta cecha była zresztą niezbędna w warunkach, w jakich żyliśmy. Ponieważ chciałem umrzeć, uznała, że dostałem to, czego pragnąłem. Nie miała tam już nic do roboty, więc odeszła.

Tęskniłem za dziećmi i pocieszałem się myślą, że nie było mi pisane być z nimi. Czarownicy mają jednak pewną szczególną cechę. Ich nastawienie zdominowane jest przez uczucie, które można by wyrazić słowami: "A właśnie, że..." Kiedy wszystko się wokół nich wali, czarownicy przyjmują do wiadomości swoje trudne położenie i natychmiast oddają się przekornemu "a właśnie, że..." Tak właśnie przekształciłem swoje uczucia do tych dzieci i ich matki. Byli przecież tak opanowani – zwłaszcza najstarszy chłopiec – kiedy wraz ze mną dokonywali podsumowania swojego życia. Co z tego wszystkiego mogło wyniknąć, było już tylko sprawą ducha.

Don Juan przypomniał, że uczył mnie już, jak w takich sytuacjach zachowuje się wojownik: daje z siebie wszystko, a następnie bez żalu ani skruchy rozluźnia się i pozwala, by duch zadecydował o ostatecznym rezultacie.

– Jaka była decyzja ducha, don Juanie? – zapytałem.

Przyjrzał mi się badawczo, w milczeniu. Wiedziałem, że zdaje sobie sprawę z powodów, dla których zadałem to pytanie. I ja kiedyś kochałem i utraciłem wszystko.

– Postanowienia ducha to odrębny temat – powiedział. – Jest to kolejny z podstawowych wątków, wokół których osnute są magiczne opowieści. Do decyzji ducha powrócimy w swoim czasie, gdy będziemy omawiać ten wątek. Chwileczkę, czy nie chciałeś się czegoś dowiedzieć o mojej śmierci?

– Jeśli uznano cię za zmarłego, skąd ten płytki grób? – zapytałem.

– To do ciebie podobne – odrzekł, śmiejąc się. – I ja zadawałem sobie to pytanie. Zrozumiałem, że wszyscy ci wieśniacy byli ludźmi pobożnymi. Byłem chrześcijaninem, którego nie godziło się pogrzebać bez odpowiedniej ceremonii, a tym bardziej zostawić, jak psa, na pastwę losu. Pewnie się spodziewali, że moja rodzina zgłosi się po ciało i zapewni mi przyzwoity pochówek. Nikt jednak nie przyszedł.

– A czy ty nie szukałeś swojej rodziny, don Juanie? – spytałem.

– Nie – odrzekł. – Byłem czarownikiem, a czarownik nikogo nie szuka. Przypłaciłem życiem ten błąd, że nie wiedziałem, kim jestem, i że jako czarownik nie powinienem był się do nikogo zbliżać. Od tamtej pory przystaję tylko do wojowników, którzy są martwi jak ja.

Wracając do swej relacji, don Juan powiedział, że udał się niezwłocznie do domu swojego dobroczyńcy. Domownicy od razu poznali, jakiego dokonał odkrycia, i odnosili się do niego tak, jakby nigdy ich nie opuszczał. Natomiast nagual Julian stwierdził, że don Juanowi, ze względu na jego dziwaczną naturę, długo przyszło umierać.

– Mój dobroczyńca powiedział mi, że aby czarownik uzyskał wolność, musi otrzymać przepustkę. Jest nią jego śmierć – ciągnął don Juan. – Nagual Julian również swoją przepustkę do wolności przypłacił życiem, podobnie było z pozostałymi domownikami. Pod tym względem stałem się im równy: byłem martwy, jak oni.

– Czy ja także nie żyję, don Juanie? – zapytałem.

– Ty również jesteś martwy – oświadczył. – Cały figiel w tym, by wiedzieć, że się umarło. Dlatego właśnie przepustka do nieskazitelności czarownika musi być spowita jego świadomością. W tym opakowaniu przepustka będzie zawsze jak nowa. Moja przepustka ma już sześćdziesiąt lat, a ciągle jest w nienagannym stanie.

13. TRZECI PUNKT

Don Juan często zabierał swoich uczniów, ze mną włącznie, na krótkie wycieczki w pobliskie, leżące na zachód od jego domu góry. Tym razem naszą wędrówkę zaczęliśmy o świcie, a późnym popołudniem ruszyliśmy w drogę powrotną. Zdecydowałem się trzymać blisko don Juana. Jego towarzystwo uspokajało mnie i odprężało, podczas gdy jego rozbrykani uczniowie wprawiali mnie w nastrój zgoła odmienny: przy nich czułem się zawsze bardzo zmęczony.

Kiedy byliśmy jeszcze na wyżynie, musieliśmy się z don Juanem zatrzymać. Gwałtowny atak melancholii dosłownie zwalił mnie z nóg, musiałem usiąść. Don Juan poradził mi, bym położył się na brzuchu na szczycie wielkiego owalnego głazu. Pozostali uczniowie wyśmiali mnie i poszli dalej. Słyszałem słabnący odgłos ich śmiechu i okrzyków. Don Juan nalegał, żebym się odprężył i pozwolił mojemu punktowi scalającemu, który – jak twierdził – poruszył się nagle, ustalić się w nowej pozycji.

– Nie denerwuj się – radził. – Za chwilę poczujesz coś w rodzaju szarpnięcia czy klepnięcia w plecy, jakby ktoś cię dotykał. Wtedy wszystko wróci do normy.

Wystarczyło, że przez jakiś czas poleżałem nieruchomo na głazie w oczekiwaniu na to klepnięcie, by pojawiło się wspomnienie – tak jasne i intensywne, że nawet nie zauważyłem klepnięcia. Byłem jednak pewien, że nastąpiło, gdyż melancholia rzeczywiście zniknęła jak ręką odjął.

Pobieżnie opisałem swoje wspomnienie don Juanowi. Sugerował mi, żebym pozostał na głazie i przesunął punkt scalający na powrót w miejsce odpowiadające odtworzonym zdarzeniom.

– Przywołaj każdy, nawet najdrobniejszy szczegół – przykazał.

Zdarzyło się to przed wielu laty. Przebywaliśmy wtedy z don Juanem w północnomeksykańskim stanie Chihuahua, w samym sercu pustyni. Rosło tam wiele ziół, których poszukiwał don Juan. Mnie, jako antropologa, również niezwykłe interesował ten obszar. Nieco wcześniej dokonano w tej okolicy pewnego odkrycia archeologicznego, znaleziono pozostałości wielkiej konstrukcji, mogącej być kiedyś – w czasach prehistorycznych – punktem wymiany towarów. Było to, jak przypuszczano, główne centrum handlowe leżące przy naturalnym trakcie łączącym obszary obejmujące obecnie południowo-zachodnią część Stanów Zjednoczonych z południem Meksyku i Ameryką Środkową. Tych kilka bytności na bezkresnej równinie pustyni utwierdziło mnie w przeświadczeniu, że archeolodzy mieli rację – był to naturalny trakt. Oczywiście, zrobiłem don Juanowi wykład o wpływie, jaki miała ta droga na rozmieszczenie prehistorycznych cech kulturowych na kontynencie północnoamerykańskim. Uważałem wtedy, że magia Indian zamieszkujących niegdyś południowo-zachodnią część Stanów, Meksyk i Amerykę Środkową jest systemem wierzeń, które rozprzestrzeniały się wzdłuż dróg handlowych. Na pewnym abstrakcyjnym poziomie system ten stał się podstawą swoistego prekolumbijskiego panindianizmu. Don Juan, ma się rozumieć, boki zrywał ze śmiechu, kiedy referowałem mu moje teorie. Przywołane przeze mnie wydarzenie zaczęło się pewnego popołudnia. Kiedy uzbieraliśmy z don Juanem dwa woreczki niezwykle rzadkich ziół, usiedliśmy, by odpocząć na wysokich głazach. Przed podjęciem dalszej wędrówki do miejsca, w którym zaparkowałem samochód, don Juan nalegał na rozmowę o sztuce osaczania. Powiedział, że trudno znaleźć lepsze miejsce na wyjaśnianie jej tajników. Dodał, że jeśli chcę je pojąć, muszę najpierw osiągnąć wzmożoną świadomość. Zażądałem, by przed zrobieniem czegokolwiek wyjaśnił mi jeszcze raz, czym jest wzmożona świadomość. Don Juan cierpliwie objaśniał ten stan w kategoriach ruchu punktu scalającego. W miarę słuchania zdałem sobie sprawę, że moje żądanie było bezsensowne: wszystko, o czym mówił, już wiedziałem. Przyznałem, że tak naprawdę nie trzeba mi nic wyjaśniać. Don Juan odpowiedział, że objaśnienia nigdy nie idą na marne – wyryte gdzieś w naszym wnętrzu, w każdej chwili mogą się do czegoś przydać, mogą nam pomóc w przygotowaniu się do osiągnięcia milczącej wiedzy. Gdy poprosiłem, by przybliżył mi to pojęcie, pośpiesznie odpowiedział, że milcząca wiedza jest pewnym położeniem punktu scalającego człowieka, które w zamierzchłych czasach było powszechne, a które później, z niewiadomych przyczyn, uległo zmianie. Punkt znalazł się wtedy w nowej pozycji, zwanej "rozumem". Zwrócił uwagę na to, że umiejscowienie punktu scalającego poszczególnych osób wcale nie jest takie samo. Punkt scalający większości z nas nie znajduje się dokładnie w pozycji rozumu, ale blisko niej. Tak samo przedstawiała się kiedyś sprawa z milczącą wiedzą: ludzi, których punkty scalające znajdowały się dokładnie w tym położeniu, było niewielu. Don Juan wyjaśnił ponadto, że istnieją dwa szczególne położenia punktu scalającego: pierwsze, zwane "bezlitosnym miejscem", jest zwiastunem milczącej wiedzy, a drugie, "miejsce troski" – wysłannikiem rozumu. Nie znajdowałem

nic niejasnego w tych hermetycznych rozważaniach – wszystko było oczywiste. Don Juan nie wprowadził mnie jeszcze w stan wzmożonej świadomości, daremnie czekałem na zwiastujące ten stan klepnięcie w plecy. Mimo to, nawet nie zdając sobie z tego sprawy, rozumiałem każde jego słowo. Nadal miałem typowe dla mojej zwykłej świadomości wrażenie, że bez trudu przyjmuję rzeczy takie, jakimi są, tak więc nie podawałem w wątpliwość mojej pojętności. Don Juan przyjrzał mi się uważnie, po czym polecił, bym położył się na brzuchu i rozpłaszczył na głazie jak żaba. Leżałem tak przez jakieś dziesięć minut. Odprężyłem się i prawie zasnąłem, gdy z drzemki wyrwał mnie nagle cichy, przeciągły, chrapliwy pomruk. Kiedy spojrzałem w stronę, z której dobiegał, włosy zjeżyły mi się na głowie. W odległości zaledwie dziesięciu stóp ode mnie, tuż nad don Juanem, siedział na kamieniu olbrzymi czarny jaguar. Wpatrywał się we mnie, obnażając kły. Wydawał się gotowy do skoku.

– Nie ruszaj się! – nakazał don Juan, nie podnosząc głosu. – I nie patrz mu w oczy. Skoncentruj wzrok na jego nosie i nie mrugaj. Od tego zależy twoje życie. Zrobiłem, co mi kazał. Przez chwilę spoglądaliśmy na siebie: ja i jaguar. Don Juan przerwał tę wzajemną obserwację. Zdjął kapelusz i, niczym dyskobol, cisnął go prosto w głowę zwierzęcia. Gdy jaguar odskoczył, don Juan zagwizdał głośno, przeciągle i przeszywająco, a następnie wrzasnął, najgłośniej jak potrafił, i zaklaskał w dłonie. Brzmiało to niczym przytłumiony odgłos wystrzałów.

Zaraz potem dał mi znak, bym zszedł z głazu i poszedł w jego ślady. Wrzeszczeliśmy i klaskali, aż zdało nam się, że na dobre odstraszyliśmy jaguara. Byłem roztrzęsiony, ale nie poddałem się lękowi. Powiedziałem don Juanowi, że wystraszył mnie nie tyle pomruk kota czy jego spojrzenie, ile pewność, z jaką się we mnie wpatrywał. Sądziłem, że przyglądał mi się na długo przed tym, nim go usłyszałem i uniosłem głowę. Zamyślony don Juan ani słowem nie skomentował całego zajścia. Kiedy zacząłem go wypytywać, czy dostrzegł jaguara wcześniej ode mnie, gestem nakazał mi milczenie. Wydawało się, że jest zdenerwowany, być może nie wiedział, co ma począć. Po chwili skinął na mnie i ruszył przodem. Kiedy opuściliśmy skalisty teren, zaczęliśmy biec przez chaparral, wykonując przy tym dziwne zygzaki. Po półgodzinnej wędrówce dotarliśmy do polany, na której zatrzymaliśmy się na krótki odpoczynek. Ponieważ przez cały ten czas nie padło ani jedno słowo, bardzo chciałem poznać jego myśli.

– Dlaczego kluczymy w ten sposób? – zapytałem. – Czy nie lepiej byłoby biec prosto przed siebie, ile sił w nogach?

– Nie! – odrzekł z naciskiem. – Nic dobrego by z tego nie wynikło. To samiec. Jest głodny i będzie nas ścigał.

– Tym bardziej powinniśmy wydostać się stąd jak najszybciej – upierałem się.

– To nie takie proste – odparł don Juan. – Tego jaguara nie pętają więzy rozumu. Będzie wiedział, co dokładnie należy zrobić, by nas złapać. A poza tym daję głowę, że odczyta nasze myśli.

– Co rozumiesz przez czytanie myśli? – zapytałem.

– To nie metafora – stwierdził. – Wiem, co mówię. Duże zwierzęta, takie jak on, znają ludzkie myśli. Nie chodzi tu o zgadywanie, ale o bezpośrednią wiedzę.

– Co wobec tego mamy robić? – spytałem, naprawdę zatrwożony.

– Powinniśmy stać się mniej rozsądni, a przez to bardziej zagadkowi – odpowiedział don Juan.

– Dlaczego mielibyśmy postępować mniej racjonalnie?

– Rozum każe nam wybierać to, co z pozoru mądrzejsze – powiedział. – Na przykład, twój rozum podpowiedział ci już, by biec jak najszybciej, prosto przed siebie. Nie wziął jednak pod uwagę faktu, że musielibyśmy przebiec sześć mil, zanim moglibyśmy schronić się w twoim samochodzie. Jaguar na pewno by nas wyprzedził. Odciąłby nam drogę i czekał w najdogodniejszym miejscu, by się na nas rzucić. Kluczenie jest rozwiązaniem dużo lepszym, choć mniej racjonalnym.

– Skąd wiesz, że tak będzie lepiej, don Juanie? – zapytałem.

– Wiem, bo moja więź z duchem jest czysta – odrzekł. – Znaczy to, że mój punkt scalający leży w miejscu odpowiadającym milczącej wiedzy. Dzięki tej pozycji wiem, że wprawdzie ten jaguar jest głodny, ale nigdy jeszcze nie jadł ludzi. Jak dotąd nasze zachowanie zbija go z tropu. Jeżeli będziemy kluczyć, nie będzie mu tak łatwo przewidzieć, co zrobimy.

– Czy nie ma innego wyjścia niż chodzenie zygzakiem? – dopytywałem się.

– Wszystkie inne możliwości dyktuje rozum – odparł don Juan. – Na dodatek nie mamy odpowiedniego wyposażenia do realizacji racjonalnych planów. Na przykład, moglibyśmy znaleźć

jakieś wyżej położone miejsce, ale bez strzelby nie bylibyśmy tam bezpieczni. Musimy dostosować się do tego, co wybierze jaguar, a o tym decyduje milcząca wiedza. Jedynym wyjściem jest postępowanie zgodnie z milczącą wiedzą, bez względu na to, czy wyda nam się to racjonalne, czy nie.

Po chwili don Juan znowu potruchtał zygzakiem. Biegłem za nim krok w krok, ale nadal nie byłem przekonany, że uratuje nas ten dziwaczny sposób przemieszczania się. Na dobre ogarnęła mnie panika: ciągle miałem przed oczami ciemną, nieostrą sylwetkę wielkiego kota. Pustynny chaparral tworzyły wysokie strzępiaste krzewy, rozrzucone co cztery, pięć stóp. Niewielkie opady uniemożliwiały rozwój roślin bogato ulistnionych czy grubego poszycia, niemniej chaparral sprawiał wrażenie gęstwiny nie do przebycia. Don Juan biegł przodem lekko jak łania, a ja usiłowałem za nim nadążyć. W pewnej chwili zwrócił mi uwagę, że powinienem patrzeć pod nogi. Trzask gałązek łamiących się pod moim ciężarem niweczył nasz plan. Starałem się biec po jego śladach, by uniknąć nadeptywania na suche gałązki. Kiedy klucząc w ten sposób, przebyliśmy odległość około stu jardów, zauważyłem za sobą, w odległości nie większej niż trzydzieści stóp, olbrzymie, ciemne cielsko.

Krzyknąłem wniebogłosy. Nie zatrzymując się, don Juan spojrzał za siebie: jaguar właśnie znikał z pola widzenia. Don Juan ponownie wydał z siebie przeszywający świst i zaklaskał w dłonie, imitując stłumiony odgłos wystrzałów. Potem powiedział, prawie szeptem, że ponieważ koty nie lubią się wspinać, dobrze by było przekroczyć leżący na prawo od nas szeroki i głęboki parów. Na jego sygnał pobiegliśmy przez krzaki, usiłując dotrzeć jak najszybciej na skraj wąwozu. Zsunęliśmy się w dół, na samo dno, i wspięliśmy się na drugą stronę. Mieliśmy stamtąd dobry widok na przeciwległe zbocze i dno parowu. Don Juan wyszeptał, że kot idzie za naszym zapachem. Jeśli będziemy mieć szczęście, dojrzymy go, jak przebiega dołem, koło naszych śladów. Wypatrywałem jaguara, ale nie było go nigdzie widać. Kiedy zacząłem przypuszczać, że uciekł, usłyszałem jego ryk w zaroślach tuż pod nami. Z przerażeniem zdałem sobie sprawę, że don Juan miał rację – żeby znaleźć się w tym miejscu, kot musiał odczytać nasze myśli i przekroczyć wąwóz przed nami.

Don Juan bez słowa zerwał się i pobiegł przed siebie z zadziwiającą szybkością. Pognałem za nim. Znowu przez jakiś czas kluczyliśmy. Kiedy się zatrzymaliśmy, byłem kompletnie wyczerpany. Lęk przed ścigającą nas bestią nie zmniejszył mojego podziwu dla świetnej kondycji don Juana. Biegł niczym młody mężczyzna. Przypominał mi pewną postać z mojego dzieciństwa – kogoś, kto biegał równie dobrze, jak on. Zacząłem o tym opowiadać, ale nagle don Juan gestem nakazał mi milczenie. Nasłuchiwaliśmy w skupieniu. Wkrótce z zarośli na wprost nas dobiegł jakiś szmer, a po chwili w odległości mniej więcej pięćdziesięciu jardów zobaczyliśmy ciemną sylwetkę jaguara. Don Juan wzruszył ramionami i wskazał ręką na zwierzę.

– Wygląda na to, że się go nie pozbędziemy – powiedział zrezygnowany. – Wobec tego będziemy iść spokojnie, jakbyśmy przechadzali się po parku, a ty opowiesz mi tę historię z dzieciństwa. To najdogodniejsza po temu pora i miejsce: goni nas wygłodniały jaguar, a tobie zebrało się na wspominki. Trudno byłoby wymyślić lepsze na tę okoliczność nie-działanie. Musiało go to rozbawić, gdyż roześmiał się w głos. Gdy powiedziałem, że przeszła mi ochota na opowiadanie historii, dosłownie skręcał się ze śmiechu.

– Chcesz mnie ukarać za to, że nie chciałem cię słuchać, prawda? – zapytał.

Oczywiście, zacząłem się bronić. Oświadczyłem, że jego zarzuty są bezpodstawne, a ja, prawdę mówiąc, zgubiłem wątek.

– Czarownik, który nie zna próżności, ma gdzieś wątek – powiedział don Juan ze złośliwym błyskiem w oku. – Ponieważ ty nie jesteś już ani trochę zarozumiały, powinieneś opowiedzieć swoją historię. Mów, jakbyś w ogóle nie stracił wątku, mów do ducha, do jaguara, no i do mnie.

Już chciałem mu powiedzieć, że nie spełniłem jego życzenia, bo cała opowieść wydała mi się zbyt głupia, a okoliczności niesprzyjające – miałem zamiar opowiedzieć swoją historię w wybranych przez siebie warunkach, tak jak robił to on. Nie zdążyłem jeszcze otworzyć ust, a on już miał gotową odpowiedź.

– Umiem czytać w myślach, jak ten jaguar – powiedział uśmiechnięty. – Magiczne historie mają uczyć. Wybieram stosowną porę i miejsce na ich opowiadanie, bo chcę, by wywarły jak największy skutek.

Dał mi znak, że pora ruszać. Szliśmy spokojnie, ramię przy ramieniu. Stwierdziłem, że jego kondycja fizyczna i styl biegania wzbudziły we mnie podziw, w którym było zresztą trochę próżności, gdyż sam uważałem się za dobrego biegacza. Następnie opowiedziałem mu historię ze swego dzieciństwa, która przypomniała mi się, gdy zobaczyłem, jak doskonale sobie radzi.

Kiedy byłem mały, grałem w piłkę nożną i świetnie biegałem. Byłem tak szybki i zwinny, że wszystkie wybryki uchodziły mi na sucho, ponieważ nikt nie mógł mnie doścignąć, a zwłaszcza starzy policjanci, pieszo patrolujący ulice miasta. Jeżeli rozbiłem kamieniem latarnię czy zrobiłem coś podobnego, wystarczyło uciec, a byłem bezpieczny. Jednak pewnego razu starych policjantów zastąpili młodzi, szkoleni na wzór wojskowy. Nie wiedząc o tym, wybiłem szybę w pewnym sklepie i uciekłem, wierząc, że moja szybkość zapewni mi bezkarność. Był to jednak mój zły dzień: młody policjant puścił się za mną w pogoń. Uciekałem, co sił w nogach, ale na próżno. Ścigający mnie posterunkowy, znakomity środkowy napastnik policyjnej drużyny piłkarskiej, znacznie przewyższał mnie, dziesięciolatka, szybkością i wytrzymałością. Dopadł mnie i zaprowadził z powrotem do sklepu. Całą drogę kopał mnie w tyłek, fachowo nazywając każde z uderzeń, jakby trenował na boisku. Nie zrobił mi krzywdy, ale nieźle napędził mi strachu. Chociaż poniżył mnie bardzo, podziwiałem go – jak na dziesięciolatka przystało – za sprawność i umiejętności piłkarskie. Powiedziałem don Juanowi, że dzisiaj, przy nim, czułem się tak samo. Wyprzedził mnie pomimo różnicy wieku i mojego zamiłowania do ucieczek. Dodałem na koniec, że bardzo długo prześladował mnie sen, w którym biegłem tak szybko, że młody policjant nie mógł mnie doścignąć.

– Twoja historia jest ważniejsza, niż mi się zdawało – orzekł don Juan. – Sądziłem, że opowiesz mi, jak dostałeś klapsa od mamusi.

Powiedział to z nutką kpiny w głosie, zabrzmiało to bardzo śmiesznie. Potem dodał, że nie zawsze sami wybieramy swoje opowieści, czasami decyduje za nas duch. Tak właśnie było w moim przypadku – nie ulega wątpliwości, że duch wypuścił z zakamarków mojego umysłu tę, a nie inną historię, ze względu na jej powiązanie z moją nieuleczalną pychą. Powiedział też, że przez tyle lat tlił się we mnie żar gniewu i poniżenia, a poczucie klęski i odrzucenia nadal mi dokucza.

– Twoja historia byłaby niezłą zabawą dla psychologa – dorzucił. – Wygląda na to, że z tym młodym policjantem, który pokazał ci, że nie jesteś niepokonany, utożsamiłeś właśnie mnie.

Musiałem przyznać, że dokładnie tak to odczuwałem. Gdybym sam na to wpadł, na pewno bym mu tej historii nie opowiedział. Szliśmy w milczeniu. Byłem tak poruszony podobieństwem tych dwóch postaci, że na śmierć zapomniałem o tropiącym nas jaguarze. Z zadumy wyrwał mnie głuchy pomruk zwierzęcia. Usłyszawszy ten odgłos, don Juan kazał mi, abym odłamał z krzaków kilka długich, zwisających nisko gałęzi, skacząc po nich. Sam zrobił to samo. Z gałęzi zrobiliśmy coś w rodzaju szczotek, które wlekliśmy za sobą, podnosząc w biegu tuman kurzu.

– Musimy go trochę pomęczyć – powiedział don Juan kiedy zatrzymaliśmy się na chwilkę. – Do zachodu słońca pozostało nam tylko kilka godzin. W nocy jaguar będzie nie do pokonania, tak więc lepiej się zbierajmy. Pobiegniemy w stronę tych skalistych wzgórz. Wskazał na południe, w stronę odległego o mniej więcej pół mili wzniesienia.

– Powinniśmy kierować się na wschód – zaprotestowałem. – Te wzgórza leżą zbyt daleko na południe. Jeśli pójdziemy tamtędy, nigdy nie dotrzemy do samochodu.

– I tak dzisiaj nie dostaniemy się do twojego auta – oświadczył don Juan spokojnie. – Jutro chyba też. Kto wie, czy w ogóle tam wrócimy?

Ogarnął mnie lęk, ale po chwili poczułem dziwny spokój. Miałem nadzieję, że jeśli umrę na tej pustyni, nie będę czuł bólu.

– Nie martw się – pocieszył mnie don Juan, kiedy mu o tym powiedziałem. – Śmierć w cierpieniach zdarza się tylko ludziom obłożnie chorym. Jeśli walczysz o życie, nie czujesz bólu. Jeżeli w ogóle coś odczuwasz, jest to tylko radosne uniesienie.

Oznajmił, że ludzi żyjących w społeczności odróżnia od czarowników między innymi sposób umierania. Tylko dla czarowników-wojowników śmierć jest łagodna i błoga, nawet śmiertelnie ranni nie czują bólu. Co najciekawsze, śmierć dopóty powstrzymuje się przed zadaniem ciosu, dopóki sam czarownik nie uzna, że nadszedł stosowny moment.

– Największa różnica pomiędzy czarownikiem a zwykłym człowiekiem polega na tym, że czarownik jest szybszy od śmierci – ciągnął don Juan. – Jeśli dojdzie do starcia, jaguar mnie nie zje. Pożre ciebie, bo nie jesteś dość szybki, by powstrzymać swoją śmierć. Potem don Juan próbował wyjaśnić mi, jaki związek – ma szybkość ze śmiercią. Stwierdził, że zwykłym ludziom cofnięcie danego słowa lub zmiana decyzji przychodzi bez trudu. Jedyną nieodwracalną rzeczą na tym świecie jest śmierć. W świecie czarowników natomiast śmierć można odwołać, ale nie da się cofnąć danego słowa. Czarownik nie może zmienić ani zmodyfikować swojego postanowienia, od raz podjętej decyzji nie ma odwołania.

Oświadczyłem, że jego słowa robią na mnie duże wrażenie, ale nie przekonują, że śmierć można powstrzymać. Don Juan przypomniał mi wtedy, że człowiekowi widzącemu istota ludzka jawi się jako owalna lub kulista świetlista bryła, złożona z niezliczonych statycznych, choć wibrujących, pól energetycznych. Tylko czarownik może tę statyczną świetlistość wprawić w ruch – potrafi w czasie milisekundy przemieścić swój punkt scalający w dowolne miejsce leżące w obrębie świetlnej bryły. Zmiana położenia punktu, zwłaszcza tak szybka, w jednej chwili kompletnie zmienia postrzegany świat. Czarownik może również przesuwać swój punkt scalający w sposób ciągły, bez zatrzymywania, przez wszystkie pola świetlistej energii. Wyzwolone w tym ruchu ogromne siły natychmiast unicestwiają całą świetlistą bryłę.

Don Juan oznajmił, że gdyby w tym momencie spadła na nas skała, potrafiłby odwrócić skutki, jakie zazwyczaj pociąga za sobą przypadkowa śmierć. Wykorzystując swoją zdolność do szybkiego przemieszczania punktu scalającego, mógłby w ułamku sekundy znaleźć się w innym świecie albo spalić się wewnętrznym płomieniem. Natomiast ja zginąłbym na miejscu przywalony skałami, ponieważ mój punkt scalający nie przesunąłby się na tyle prędko, bym mógł się uratować. Z jego słów wywnioskowałem, że to, co odkryli czarownicy, było nie tyle wstrzymaniem śmierci, ile innym sposobem umierania. Kiedy wyraziłem swoje przypuszczenia, don Juan odparł, że nie powiedział nic poza tym, iż czarownicy panują nad śmiercią. Umierają tylko wtedy, gdy naprawdę muszą.

Chociaż nie wątpiłem w jego słowa, zadawałem, jakby dla zabawy, dalsze pytania. Słuchając jego odpowiedzi, przebiegałem myślą i wspomnieniem owe inne dostępne percepcji światy, oglądając je niby na ekranie. Gdy przyznałem się don Juanowi do moich dziwnych myśli, roześmiał się i poradził, bym lepiej pozostał przy jaguarze. Przypuszczał, że to realnie istniejące zwierzę jest przejawem ducha. Na myśl o fizycznej obecności jaguara przeniknął mnie dreszcz.

– Czy to dobrze, że idziemy prosto w stronę wzgórz? Nie powinniśmy zmienić kierunku? – zapytałem. Sądziłem, że niespodziewana zmiana wprowadzi zwierzę w błąd.

– Jest już na to za późno – odparł don Juan. – Jaguar wie, że nie mamy innego wyjścia, tylko dotrzeć do tych wzgórz.

– To niemożliwe! – wykrzyknąłem.

– Dlaczego nie? – odpowiedział pytaniem don Juan. Oświadczyłem, że chociaż sam widziałem jak kot wyprzedził nas o jeden skok, nie wierzę, że umiałby przewidzieć, gdzie chcemy dojść.

– Twój błąd polega na tym, że przypisujesz mu zdolność wyobrażania sobie różnych spraw. Jaguar nie myśli. On po prostu wie.

Następnie don Juan wyjaśnił mi, że wznoszący się za nami obłok kurzu miał oszołomić jaguara, dostarczając mu bodźców związanych z czymś dla nas bezużytecznym. Nie umieliśmy przecież, choćby miało od tego zależeć nasze życie, wytworzyć w sobie uczucia ściśle odpowiadającego wzbijaniu kurzu.

– Nic z tego nie rozumiem – wyjęczałem żałośnie. Zacząłem odczuwać skutki napiętej sytuacji: nie mogłem się skoncentrować.

Don Juan kontynuował objaśnienia. Otóż, jak twierdził, ludzkie uczucia podobne są do ciepłych lub zimnych podmuchów, które zwierzęta mogą z łatwością wykryć. Tak więc my byliśmy nadawcami, a jaguar odbiorcą. Jak przyznał don Juan, kocur mógł odczytać jedynie te uczucia, których już kiedyś doświadczyliśmy. Jeżeli chodzi o fortel ze wznoszeniem kurzu, nasze odczucia z tym związane były tak nietypowe, że u ich odbiorcy musiały wytworzyć wrażenie pustki.

– Kolejnym manewrem jaki mogłaby nam podpowiedzieć milcząca wiedza, byłoby ciężkie stąpanie – oznajmił don Juan. Spojrzał na mnie, jakby czekał na moją reakcję. – Teraz będziemy szli bardzo spokojnie – powie– dział. – A ty będziesz ciężko stąpał, wzbijając obłoki kurzu, jakbyś był wysokim na dziesięć stóp olbrzymem. Musiałem mieć głupawy wyraz twarzy, bo don Juan zatrząsł się ze śmiechu.

– Wznieś nogami obłok kurzu – nakazał. – Poczuj, jaki jesteś wielki i masywny.

W samej rzeczy, kiedy spróbowałem tak zrobić, odczułem swój ogromny ciężar. Niby żartem powiedziałem don Juanowi, że jego siła sugestii jest niewiarygodna. Naprawdę czułem się budzącym grozę gigantem. Don Juan zapewnił mnie, że moje wrażenie masywności nie jest skutkiem sugestii, ale przesunięcia punktu scalającego. Potem powiedział, że starożytni dokonywali zadziwiających czynów, albowiem dzięki milczącej wiedzy poznali moc, jaką daje ruch punktu scalającego. Czarownicy zdołali odzyskać część tej pradawnej potęgi. Ruch punktu pozwolił im manipulować swymi uczuciami i wpływać na rzeczywistość. Ja także moim odczuciem masy i okrucieństwa zmieniałem

bieg rzeczy. Uczucia poddane takiej obróbce nazywa się intencją.

– Twój punkt scalający przesunął się już odrobinę – ciągnął don Juan. – Możesz teraz albo wrócić do pozycji wyjściowej, albo przesunąć go dalej.

Dodał, że chyba każdemu żyjącemu zwyczajnie człowiekowi od czasu do czasu przytrafia się okazja wyrwania się z oków konwenansu, przy czym nie idzie o formy towarzyskie, ale o reguły, jakimi rządzi się percepcja. Czasami wystarczy moment uniesienia, by poruszyć punkt scalający i przełamać niewzruszone kanony. Podobnie wpływa na nas przestrach, choroba, gniew albo żałość. Jednak nadarzająca się okazja przesunięcia punktu scalającego zazwyczaj nas przeraża. Odzywa się wtedy nasza przeszłość: religijne zapatrywania, wykształcenie, normy społeczne. To one powodują, że bezpiecznie powracamy do stada – punkt scalający ponownie cofa się do przypisanej mu pozycji, odpowiadającej zwykłemu żywotowi. Don Juan powiedział, że wszyscy znani mi nauczyciele duchowi i mistycy robili dokładnie to samo: ich punkty scalające, zbiegiem okoliczności czy dzięki pilnym staraniom, nieco się przemieszczały. Kiedy potem powracali do normy, całe wydarzenie pozostawiało po sobie wspomnienie, które nie opuszczało ich aż do śmierci.

– Możesz się zachować jak grzeczny, pobożny chłopiec i zapomnieć o dokonanym już ruchu punktu scalającego – mówił dalej don Juan – albo brnąć dalej, wykraczając poza granice rozsądku, w których obrębie nadal się znajdujesz.

Wiedziałem, o czym mówi, ale nie wiadomo dlaczego byłem wciąż niezdecydowany. Don Juan kontynuował wyjaśnienia. Powiedział, że zwykli ludzie, nie potrafiący wykrzesać z siebie energii niezbędnej do przekroczenia granic percepcji, nazywają dziedzinę niezwykłego postrzegania magią, czarami albo diabelską sprawką i odwracają się od niej, nie próbując się nad nią zastanowić.

– Ale ty tego nie zrobisz – stwierdził. – Nie jesteś religijny, za to bardzo ciekawski. Niczego nie wyrzucasz w kąt bez zbadania. Mógłbyś się zatrzymać tylko wtedy, gdyby tchórz cię obleciał. Niech wszystko stanie się tym, czym jest w istocie: abstrakcją, duchem, nagualem. Czary, zło ani szatan nie istnieją. Jest tylko percepcja. Rozumiałem wszystko, ale nie wiedziałem, co właściwie mam zrobić. Patrzyłem na don Juana, pragnąc wypowiedzieć się jak najlepiej. Nie wiadomo skąd pojawiła się we mnie potrzeba ekonomicznego gospodarowania zasobami umysłu, nie chciałem, by choć jedno słowo wymknęło mi się niepotrzebnie.

– Stań się olbrzymem! – rozkazał don Juan, uśmiechając się. – Daruj sobie rozsądek.

Zrozumiałem wreszcie, o co mu chodzi. Wiedziałem, że mogę stopniowo intensyfikować wrażenie masy i okrucieństwa, aż rzeczywiście stanę się gigantem wyższym od otaczających mnie zarośli, widzącym wszystko dookoła. Chciałem mu o tym powiedzieć, ale uświadomiłem sobie, że zna nie tylko moje myśli – wie jeszcze dużo, dużo więcej.

Wtedy stało się ze mną coś niesamowitego. Mój rozum odmówił posłuszeństwa. Miałem wrażenie, że spadła na mnie czarna zasłona, która przesłoniła moje myśli. Przystałem na to odcięcie od rozumu zupełnie bezwarunkowo, jakby było mi obojętne, co się stanie. Byłem przekonany, że w każdej chwili mógłbym się przez tę zasłonę przedrzeć.

Wydawało mi się, że coś mnie popycha, uruchamia.

– Co się stało, don Juanie? – zapytałem. Musiałem odchrząknąć, bo zaschło mi w gardle.

– Ty mi to powiedz – wydyszał zmęczony.

Kiedy opisałem mu moje doznania, uświadomiłem sobie, że wierzchołek góry na wprost mnie jest ledwie widoczny. Dzień miał się ku końcowi, co oznaczało, że biegłem czy szedłem ponad dwie godziny. Poprosiłem don Juana, by wyjaśnił, skąd wzięła się ta luka czasowa. Odparł, że wprawdzie mój punkt scalający wysunął się poza bezlitosne miejsce, docierając do miejsca milczącej wiedzy, ale nadal brakowało mi energii, dzięki której mógłbym nim samodzielnie manipulować i według własnego uznania przechodzić z pozycji rozumu w położenie milczącej wiedzy. Dodał, że jeśli czarownik ma dość energii – a nawet gdy mu jej brakuje, ale od przemieszczenia punktu scalającego zależy jego życie – punkt może oscylować między intelektem a milczącą wiedzą. Jeżeli chodzi o mnie, don Juan doszedł do wniosku, że wskutek trudnego położenia, w jakim się znaleźliśmy, pozwoliłem duchowi kierować ruchem mojego punktu scalającego. W rezultacie znalazłem się pod wpływem milczącej wiedzy. Zwiększyły się wtedy, rzecz jasna, moje możliwości percepcyjne, co sprawiło, że poczułem się wyższy od zarośli.

Wtedy dał znać o sobie mój akademicki sposób myślenia. W tamtych czasach bardzo interesowała mnie kwestia potwierdzania domniemanych wydarzeń przez akceptację. Zadałem mu jedno z

rutynowych pytań:

– Gdyby ktoś z Wydziału Antropologii Uniwersytetu Kalifornijskiego patrzył wtedy na mnie, czy ujrzałby przedzierającego się przez chaparral olbrzyma?

– Naprawdę nie wiem – odpowiedział don Juan. – Mógłbyś się tego dowiedzieć, gdybyś przemieścił swój punkt scalający, będąc na Wydziale Antropologii.

– Próbowałem tego – przyznałem – ale nigdy nic się nie wydarzyło. Żeby coś się działo, muszę cię mieć w pobliżu.

– Nie było to dla ciebie wtedy sprawą życia lub śmierci – odparł don Juan. – Gdyby tak było, poruszyłbyś swój punkt samodzielnie.

– No, ale gdyby mi się to udało, czy ludzie widzieliby to, co ja? – naciskałem.

– Nie. Ich punkty scalające nie byłyby w tym samym miejscu, co twój – odpowiedział.

– W takim razie, don Juanie, czy jaguar tylko mi się przyśnił? – zapytałem. – Czy to wszystko zdarzyło się w mojej wyobraźni?

– Niezupełnie – odrzekł don Juan. – Kocur jest prawdziwy. Przebyłeś całe mile, a nawet się nie zmęczyłeś. Masz wątpliwości? Spójrz na swoje buty, pełno w nich kolców kaktusów. No, a jeśli chodzi o twój wzrost, to istotnie niosłeś głowę wysoko, ponad krzewami. A jednocześnie wcale tak nie było. Wszystko zależy od tego, czy punkt scalający danej osoby jest w położeniu rozumu, czy milczącej wiedzy. Rozumiałem wszystko, co mówi, ale nie umiałem określić, co uderzyło mnie w jego słowach ani skąd wziął się ich sens, mogłem je co najwyżej mechanicznie powtórzyć. Z zadumy wyrwał mnie ryk jaguara, przywracając świadomość rzeczywistego, bezpośredniego zagrożenia. ` W odległości mniej więcej trzydziestu jardów zauważyłem po prawej stronie ciemną sylwetkę. Kocur szybko piął się w górę.

– Co teraz zrobimy, don Juanie? – zapytałem, wiedząc, że on także dostrzegł wyprzedzające nas zwierzę.

– Będziemy się dalej wspinać_ Na szczycie będziemy bezpieczni – powiedział spokojnie.

Następnie dodał, jakby nie miał innych zmartwień, że: zmarnowałem już sporo naszego cennego czasu, folgując przyjemności, jaką dawała mi rola olbrzyma. Zamiast zmierzać w stronę wskazanych przez niego wzgórz, skierowałem się na wschód, ku wysokim górom.

– Jeżeli nie dotrzemy do tej skarpy przed jaguarem, nic nas nie uratuje – powiedział, wskazując na niemal pionową ścianę skalną na szczycie góry.

Obróciłem się w prawo i ujrzałem skaczącego ze skały na skałę jaguara. Było jasne, że chce odciąć nam drogę.

– Biegnijmy, don Juanie! – krzyknąłem nerwowo. Don Juan uśmiechnął się jakby mój lęk i zniecierpliwienie sprawiły mu uciechę. Popędziliśmy co sił w nogach pod górę, w stronę szczytu. Próbowałem nie zwracać uwagi na ciemne cielsko wielkiego kota, pojawiające. się co chwila w pewnej odległości przed nami, zawsze z prawej strony. U stóp ściany znaleźliśmy się mniej więcej w tym samym czasie, co jaguar. Dzieliło nas od niego około dwudziestu jardów. Skoczył na skalną ścianę i nadaremnie próbował wdrapać się po stromiźnie. Don Juan krzyknął, że szkoda czasu na obserwację, bo kiedy zwierzę zrezygnuje ze wspięcia na szczyt skarpy, zaatakuje. Ledwie don Juan wyrzekł te słowa, jaguar rzucił się na nas. Nie trzeba mnie było ponaglać, zacząłem wdrapywać się po skale, a don Juan poszedł w moje ślady. Gdzieś koło mojej prawej stopy rozległ się przenikliwy ryk rozdrażnionej bestii. Gnany strachem, niczym mucha właziłem po gładkiej powierzchni. Dotarłem na szczyt pierwszy. Don Juan musiał po drodze przystanąć, tak go to rozbawiło. Kiedy byliśmy już bezpieczni, miałem więcej czasu, by przemyśleć to, co się stało. Don Juan nie chciał o tym rozmawiać. Twierdził, że w tym stadium mojego rozwoju każdy ruch mojego punktu scalającego będzie dla mnie zagadką. Moim zadaniem na początkowym etapie nauki jest raczej utrzymanie tego, co już osiągnąłem, niż rozmyślanie o tym. Kiedyś wszystko samo nabierze sensu. Upierałem się, że przecież wszystko pojmuję. Don Juan twardo obstawał przy swoim: żeby zdobyta wiedza odkryła swoje znaczenie, muszę najpierw nauczyć się wyjaśniać ją samemu sobie. Podkreślał, że aby zrozumieć ruch punktu scalającego, trzeba mieć dość energii, by płynnie przechodzić z pozycji rozumu w położenie milczącej wiedzy. Patrzył na mnie przez chwilę, a potem, jakby podjąwszy jakąś decyzję, uśmiechnął się i oświadczył kategorycznie:

– Dzisiaj dotarłeś do miejsca milczącej wiedzy.

Wyjaśnił mi, że tego popołudnia mój punkt scalający poruszył się samodzielnie, bez jego interwencji. Odpowiednio modyfikując wrażenie olbrzymiego wzrostu, zaplanowałem ruch mojego punktu scalającego, który w ten sposób dotarł w położenie milczącej wiedzy. Ciekawiło mnie, jak zinterpretuje moje przeżycia. Powiedział, że doznania w miejscu milczącej wiedzy można opisać terminem "tutaj i tutaj". Oznajmił, że kiedy opisywałem mu swoje wrażenie sięgania głową ponad zarośla, powinienem był dodać, że wierzchołki krzewów widzę równocześnie z piaszczystą glebą pod stopami. Albo że przebywałem w dwóch miejscach naraz: tam, gdzie byłem ja, i tam, gdzie był jaguar. Mogłem w ten sposób zauważyć, że kocur stąpa ostrożnie, żeby się nie pokłuć. Inaczej mówiąc, nie dzieliłem postrzeganych obiektów jak zwykle na będące "tu" i "tam" – czułem, że wszystkie znajdują się "tutaj i tutaj". Usłyszawszy to, przeląkłem się. Don Juan miał rację. Nie wspomniałem mu o tym ani sam się przed sobą do tego nie przyznałem: rzeczywiście byłem w dwóch miejscach naraz. Gdyby nie jego komentarz, sam nie odważyłbym się określić moich przeżyć w ten sposób. Don Juan powtórzył, że aby wszystko nabrało sensu, potrzeba mi więcej czasu i energii. Byłem nadal wymagającym nadzoru żółtodziobem. Na przykład, kiedy przedzierałem się przez zarośla, musiał się mną opiekować, oscylując pomiędzy pozycją rozumu a położeniem milczącej wiedzy, co go wyczerpało.

– Powiedz mi jedną rzecz – zwróciłem się do niego, wystawiając jego rozsądek na próbę. – Ten kocur był tu trochę nie na miejscu, prawda? Jaguary nie zamieszkują tej okolicy. Pumy, owszem, ale nie jaguary. Jak byś to wyjaśnił?

Nim odpowiedział, zmarszczył brwi. Stał się nagle bardzo poważny.

– Wydaje mi się, że potwierdza to twoją antropologiczną teorię – powiedział uroczystym tonem. – Jest jasne, że ten jaguar przybył tu sławnym traktem handlowym łączącym Chihuahua z Ameryką Środkową. Śmiał się tak głośno, że jego śmiech odbił się echem od okolicznych szczytów. Dźwięk ten wstrząsnął mną tak samo, jak wcześniejsze pojawienie się jaguara. Uświadomiłem sobie, że przyczyną mojego przestrachu był nie tyle sam hałas, co fakt, że nigdy przedtem nie słyszałem echa w nocy. Do tamtej pory wyobrażałem sobie, że słychać je tylko w dzień. Odtworzenie wszystkich szczegółów mojej przygody z jaguarem zajęło mi kilka godzin W tym czasie don Juan nie odzywał się do mnie, zwyczajnie oparł się plecami o skałę i zasnął na siedząco. Wkrótce przestałem go dostrzegać i sam zapadłem w sen. Zbudził mnie ból szczęki – spałem oparty twarzą o kamień. Otworzyłem oczy. Chciałem zsunąć się ze skały, na której leżałem, ale straciłem równowagę i z łomotem spadłem na tyłek. Don Juan nieoczekiwanie wyłonił się zza krzaków, w samą porę, by się roześmiać. Zrobiło się późno. Głośno zastanawiałem się, czy zdążymy dotrzeć do domu przed zmrokiem. Don Juan wzruszył ramionami, jakby było mu to obojętne, a potem usiadł koło mnie. Zapytałem, czy chce poznać szczegóły mojego wspomnienia. Kiwnął głową, ale nie zadał mi żadnych pytań. Miałem wrażenie, że pozostawia mi decyzję, od czego zacząć. Powiedziałem, że z całej historii największe znaczenie mają dla mnie trzy momenty. Po pierwsze, mówił mi o milczącej wiedzy; po drugie, samodzielnie przesunąłem swój punkt scalający za pomocą intencji; wreszcie po trzecie, znalazłem się w odmiennym stanie świadomości bez zwykłego uderzenia między łopatki.

– Twoim największym osiągnięciem było wybranie ruchu punktu scalającego – powiedział don Juan. – No, ale nasze osiągnięcia wiążą się z naszą jaźnią. Są konieczne, ale nie najważniejsze. Nie jest to spuścizna, której oczekują czarownicy.

Wydawało mi się, że wiem, o co mu chodzi. Powiedziałem, że całe to wydarzenie pozostawiło po sobie pewne wspomnienia. Nawet w zwykłym stanie świadomości pamiętałem, że goniła nas kiedyś puma – najwidoczniej nie mogłem przyjąć, że był to jaguar – i że don Juan zapytał mnie wtedy, czy nie poczułem się urażony napaścią wielkiego kota. Zapewniłem go wówczas, że uraza w takich okolicznościach byłaby absurdem, a on stwierdził, że powinienem podobnie podchodzić do ataków ze strony moich bliźnich. Trzeba się bronić albo zejść im z drogi, poczucie krzywdy jest nie na miejscu.

– Nie o tym mówię – powiedział teraz don Juan, śmiejąc się. – Jedyną wartą otrzymania spuścizną jest pojęcie abstrakcji, ducha. Idea indywidualnej jaźni nie ma tu w ogóle żadnego znaczenia. Ciągle stawiasz siebie i swoje uczucia na pierwszym miejscu. Kiedy tylko mogłem, uświadamiałem ci potrzebę oderwania się. Ty zawsze uważałeś, że chodzi mi o wyodrębnienie w jakimś obiekcie cech oderwanych, ogólnych, ale tak nie jest. "Oderwać się" oznacza uświadomić sobie obecność ducha, a przez to być do jego dyspozycji. Potem don Juan zauważył, że jedną z bardziej dramatycznych, budzących zgrozę przypadłości człowieka jest to, że głupota idzie w parze z wysokim mniemaniem o sobie. To właśnie głupota zmusza nas do lekceważenia wszystkiego, co nie spełnia oczekiwań, których źródłem są nasze wyobrażenia o sobie. Będąc tylko zwykłymi ludźmi, jesteśmy ślepi na najważniejszą dostępną nam cząstkę wiedzy – nie wiemy nic o istnieniu punktu scalającego ani o możliwości jego przemieszczania.

– Dla inteligentnego człowieka jest nie do pomyślenia, że może istnieć niewidzialny punkt, w którym dokonuje się konsolidacja percepcji – mówił dalej don Juan.– Gdyby nawet osoba ta skłonna była założyć, że taki punkt istnieje, mniemałaby zapewne, że mieści się on w mózgu. Trudno byłoby wyprowadzić ją z błędu. Dodał, że człowiek rozumu, trzymając się własnego wizerunku, pogrąża się w niewiedzy. Nie rozumie na przykład, że magia to nie zaklęcia i kuglarskie sztuczki, ale wolność percepcji – wyzwolenie się z więzów oczywistości i postrzeganie wszystkiego, co dostępne człowiekowi.

– Na tym właśnie polega szkodliwość głupoty – kontynuował. – Zwykły śmiertelnik obawia się magii, gdyż przeraża go możliwość wyzwolenia. A wolność, zwana trzecim punktem, jest w zasięgu jego możliwości. Uzyskanie jej jest równie łatwe, co poruszenie punktu scalającego.

– Ale sam mi mówiłeś, że przemieszczenie punktu jest tak trudne, że można je nazwać prawdziwym osiągnięciem – zaprotestowałem.

– Masz rację – przyznał. – To jeszcze jeden z paradoksów magii: przesunięcie punktu scalającego jest bardzo trudne, jednocześnie najłatwiejsze na świecie. Powiedziałem ci już, że wprawić go w ruch może nawet wysoka gorączka, tak samo jak głód, lęk, miłość czy nienawiść. Podobnie jest z mistycznymi przeżyciami bądź niezłomną intencją. Czarownicy z reguły poruszają swój punkt scalający za pomocą tego ostatniego zjawiska. Poprosiłem, by wyjaśnił mi, czym jest owa niezłomna intencja. Don Juan odpowiedział, że jest to swoista prostolinijność w dążeniu do sprecyzowanego celu, połączona z odrzuceniem wszelkich przeciwstawnych pragnień i interesów. Niezłomna intencja jest siłą, która powstaje, gdy punkt scalający pozostaje w dowolnej pozycji, różnej od swego zwykłego położenia.

Następnie przedstawił mi pewne istotne rozróżnienie: mimo że pojęcia te zawsze wydawały mi się tożsame, przemieszczenie czy poruszenie punktu scalającego jest czymś odmiennym od jego przesunięcia. Kiedy punkt się przemieszcza, jego pozycja ulega istotnej zmianie. Zdarza się, że punkt dociera w pobliże odrębnych pasm energii zawartych w lokalnym świetlistym skupisku pól energetycznych. Każde takie pasmo jest innym dostępnym percepcji światem. Natomiast przesunięcie jest ruchem o małym zasięgu: punkt pozostaje w obrębie wiązki pól energetycznych postrzeganych jako nasz zwykły świat. Potem don Juan dodał, że dla czarownika niezłomna intencja jest katalizatorem wyzwalającym jego nieodwracalne decyzje. Bywa też dokładnie na odwrót: nieodwołalne postanowienia czarownika przyspieszają ruch punktu scalającego w kierunku nowych pozycji, których osiągnięcie uwalnia niezłomną intencję. Byłem chyba tymi rewelacjami bardzo zafrapowany, bo don Juan wybuchnął śmiechem i powiedział, że próby intelektualnego zrozumienia metaforycznych określeń, jakimi posługują się czarownicy, są równie bezskuteczne, jak usiłowania rozumowego pojęcia milczącej wiedzy. Dodał, że słowa utrudniają tylko zrozumienie terminów magii. Nalegałem, by przynajmniej spróbował wyjaśnić mi te sprawy. Utrzymywałem, że pomógłby mi każdy jego komentarz. Na przykład sprawa trzeciego punktu: niby wiedziałem o nim wszystko, a jednak w mojej głowie panował chaos.

– W naszym codziennym życiu mamy zawsze po dwa punkty odniesienia – powiedział. – Tu i tam, wewnątrz i na zewnątrz, dół i góra, zło i dobro i tak dalej. Można więc powiedzieć, że postrzegamy rzeczywistość w dwu wymiarach, nie potrafimy dostrzec głębi nawet we własnym postępowaniu. Zaprotestowałem przeciwko takiemu pomieszaniu pojęć. Owszem, mogłem zgodzić się z proponowaną przez niego definicją, określającą percepcję jako zdolność żywych istot do ogarnięcia umysłem pól energetycznych wyselekcjonowanych przez ich punkty scalające – chociaż była, jak na moje akademickie przyzwyczajenia, mocno naciągana, w tamtej chwili trafiała mi do przekonania. Nie mogłem jednak wyobrazić sobie, na czym miałaby polegać owa głębia naszych uczynków. Sugerowałem, że zapewne chodzi mu o interpretacje, będące przekształceniem podstawowych postrzeżeń.

– Czarownik postrzega głębię własnych poczynań – stwierdził don Juan. – Jego działania mają trzeci wymiar, trzeci punkt odniesienia.

– Jak w ogóle można mówić o trzecim punkcie odniesienia? – zapytałem z nutką rozdrażnienia w głosie.

– Nasze punkty odniesienia tworzymy przede wszystkim na podstawie postrzegania zmysłowego – odpowiedział. – Dzięki zmysłom odróżniamy obiekty położone w pobliżu od obiektów leżących dalej. To rozróżnienie jest podstawą bardziej złożonej percepcji. Aby uzyskać trzeci punkt odniesienia, trzeba postrzegać dwa odrębne miejsca jednocześnie.

Przywołane wspomnienie wprawiło mnie w dziwny nastrój. Czułem się tak, jakby wszystko zdarzyło

się dopiero przed chwilą. Nagle zdałem sobie sprawę z czegoś, co mi się do tej pory wymykało. Pod przewodnictwem don Juana doświadczyłem podwójnej percepcji już dwa razy, lecz dopiero wtedy po raz pierwszy dokonałem tego bez jego pomocy. Kiedy zastanowiłem się nad swoim wspomnieniem, zrozumiałem, że moje zmysłowe doznania były bardziej złożone, niż mi się przedtem wydawało. Już wtedy, gdy "unosiłem się" ponad krzakami i przebywałem w dwu miejscach naraz, czy też, jak nazwał to don Juan, byłem "tutaj i tutaj", uświadamiałem sobie – bezgłośnie i bezrefleksyjnie – że obydwa te miejsca widzę z bliska i w całości. Zdawałem sobie wtedy również sprawę, że tej dwoistej percepcji brakuje jasności charakterystycznej dla zwykłego postrzegania. Don Juan wyjaśnił mi, że w zwyczajnej percepcji można wyróżnić pewną oś, ograniczoną przez dwa bieguny: "tu" i "tam". Szczególnie upodobaliśmy sobie nacechowane jasnością "tutaj". W tym stanie w pełni, natychmiast i bezpośrednio widzimy tylko "tutaj". Jego bliźniaczy odpowiednik, "tam", postrzegamy pośrednio. Jakie jest, możemy się co najwyżej domyślać, sądzić, zakładać czy przypuszczać – nie pojmujemy go bezpośrednio, wszystkimi zmysłami. Postrzegając dwa miejsca naraz, tracimy klarowność obrazu, zyskujemy jednak bezpośredni wgląd w "tam".

– W takim razie, don Juanie, miałem rację: te spostrzeżenia były istotną częścią moich doznań – powiedziałem.

– Nieprawda – rzekł. – Twoje przeżycia były dla ciebie ważne, bo otworzyły ci drogę do milczącej wiedzy. Dużo ważniejszą rolę odegrał jaguar. Jestem przekonany, że był on przejawem ducha. Pojawił się niepostrzeżenie, nie wiadomo skąd. Powiadam ci, mógł nas wykończyć w jednej chwili. To zwierzę było wyrazem działania sił tajemnych. Bez niego nie doznałbyś porywającej radości, nie nauczyłbyś się ani nie zrozumiał niczego.

– Ale czy ten jaguar był prawdziwy? – zapytałem.

– Możesz się założyć!

Don Juan zauważył, że dla zwykłego człowieka pojawienie się zwierzęcia byłoby tylko budzącą grozę osobliwością – nie potrafiłby racjonalnie wytłumaczyć, co robi ono w Chihuahua, z dala od tropikalnej dżungli. Jednak czarownik za sprawą swojego powiązania z intencją wiedziałby, że to zwierzę otwierało drzwi percepcji, i nie potraktowałby go jako osobliwość, ale jako zaczyn gniewu. Na usta cisnęło mi się mnóstwo pytań, ale zanim zdołałem któreś z nich wypowiedzieć, już znałem odpowiedź. Przez chwilę wsłuchiwałem się w mój wewnętrzny dialog, dopóki nie zdałem sobie sprawy, że bezgłośna świadomość odpowiedzi nie ma znaczenia – trzeba je wypowiedzieć, by miały jakąś wartość. Powiedziałem na głos pierwsze pytanie jakie przyszło mi do głowy. Poprosiłem don Juana, by wyjaśnił mi pewną sprzeczność: oto twierdził kiedyś, że punkt scalający może być poruszony jedynie przez ducha. Mówił też, że mój punkt został przesunięty przez moje uczucia przetworzone w intencję.

– Tylko czarownicy potrafią zmienić swoje uczucia w intencję – oświadczył. – Intencja jest duchem, a więc to duch przesuwa ich punkty scalające. Mogło cię zmylić, kiedy mówiłem, że tylko czarownicy wiedzą o istnieniu ducha, a intencja jest wyłącznie ich domeną. To nieprawda: po prostu tak się dzieje w praktyce. W rzeczywistości czarownicy w większym od przeciętnych ludzi stopniu uświadamiają sobie swoje powiązanie z duchem i próbują tą więzią manipulować. To wszystko. Już ci mówiłem, że z intencją powiązane jest każde istnienie. Kilkakrotnie wydawało mi się, że don Juan chce coś dodać. Wahał się, najwidoczniej próbując znaleźć odpowiednie słowa. W końcu powiedział, że przebywanie w dwu miejscach naraz jest kamieniem milowym, wyznaczającym chwilę, w której punkt scalający czarownika osiąga miejsce milczącej wiedzy. Uzyskanie rozszczepionej percepcji bez pomocy z zewnątrz nazywa się swobodnym ruchem punktu scalającego. Zapewnił mnie, że każdy nagual konsekwentnie czyni wszystko, co w jego mocy, by wspomóc swobodny ruch punktu scalającego każdego ze swoich wychowanków. Te zdecydowane starania wtajemniczeni nazywają "zdobywaniem trzeciego punktu".

– Zdobywanie trzeciego punktu jest najtrudniejszym aspektem wiedzy naguala i najważniejszą częścią jego zadania – kontynuował don Juan. – Nagual planuje ten swobodny ruch, a duch udostępnia mu niezbędne do jego wykonania środki. Nie planowałem niczego podobnego, dopóki ty się nie pojawiłeś. Do chwili naszego spotkania nie doceniałem olbrzymiego wysiłku, jaki włożył mój dobroczyńca w zaplanowanie tego ruchu za mnie. Zaplanowanie ruchu za uczniów jest trudnym zadaniem – ciągnął. – Jednak twardszy orzech do zgryzienia mają uczniowie, próbując pojąć, o co chodzi nagualowi. Spójrz na siebie: jak bardzo musisz się starać! Tak samo było ze mną. Najczęściej uważałem, że fortele ducha są tylko sztuczkami naguala Juliana. Dopiero później zdałem sobie sprawę, że zawdzięczam mojemu dobroczyńcy życie i powodzenie. Teraz wiem, że dał mi nieskończenie więcej. Ponieważ nie da się tego opisać, wolę powiedzieć, że nagual Julian podstępnie zmusił mnie do przyswojenia sobie trzeciego punktu odniesienia. Punkt ten jest tym, co daje nam

wolność postrzegania, jest intencją, duchem. Dzięki niemu myślą sięgamy tego, co nadprzyrodzone, przekraczamy własne granice i stykamy się z tym, czego nie da się opisać.

14. DWA JEDNOKIERUNKOWE MOSTY

Siedzieliśmy z don Juanem przy stole w jego kuchni. Był wczesny ranek. Właśnie wróciliśmy do domu po spędzonej w górach nocy. Musieliśmy tam przenocować, tak długo trwało bowiem odtwarzanie mojej historii z jaguarem. Tej nocy, kiedy przypomniałem sobie rozszczepioną percepcję, ogarnęła mnie euforia, Don Juan swoim zwyczajem wykorzystał to, wywołując we mnie burzę zmysłowych doznań, których nazajutrz nie byłem sobie w stanie przypomnieć. Pozostała mi tylko euforia.

– Odkrycie, że można być w dwu miejscach jednocześnie, jest bardzo podniecające – powiedział don Juan. – Nasz umysł jest intelektem, a intelekt wyobrażeniem, jakie mamy o sobie. Dlatego też; wszystko, co wykracza poza nasze mniemanie o nas samych, odstręcza nas albo przyciąga, zależnie od naszej natury.

Przyjrzał mi się uważnie, po czym się uśmiechnął, jakby właśnie odkrył coś nowego. – Albo pociąga nas i odpycha zarazem – oświadczył. – Wygląda na to, że my dwaj jesteśmy właśnie tacy. Odparłem, że w moim przypadku nie chodzi o sprzeczne uczucia tego rodzaju, ale o to, że przeraża mnie ogrom możliwości tkwiących w dwoistym postrzeganiu.

– Nie przeczę, że byłem w dwóch miejscach naraz – powiedziałem – ale napawa mnie to takim lękiem, że nie mogę dać wiary temu, co się stało.

– Ty i ja mamy to do siebie, że z początku bardzo nas fascynują takie zjawiska, a po pewnym czasie całkowicie o nich zapominamy – zauważył don Juan i roześmiał się. – Jesteśmy do siebie bardzo podobni.

Tym razem to ja wybuchnąłem śmiechem. Byłem pewien, że stroi sobie ze mnie żarty, choć jednocześnie biła od niego taka szczerość, że gotów byłem mu uwierzyć. Powiedziałem, że spośród jego uczniów tylko ja nauczyłem się nie wierzyć jego zapewnieniom, że jesteśmy mu równi. Pamiętam, jak w zaufaniu mówił swoim praktykantom, każdemu z osobna: "Ty i ja jesteśmy do siebie tacy podobni. Ale z nas durnie!" Byłem przerażony, widząc, że mu wierzą.

– Ty nie przypominasz żadnego z nas, don Juanie – oświadczyłem. – Jesteś lustrem, w którym nie możemy dojrzeć swoich wizerunków. Nie potrafilibyśmy ci dorównać.

– Widzisz rezultaty długotrwałych wysiłków – powiedział don Juan. – Masz przed sobą czarownika, który nauczył się w końcu wypełniać zamierzenia ducha, to wszystko. Na wiele sposobów opisywałem ci etapy, przez które przechodzi wojownik na swej drodze do wiedzy. Jeżeli chodzi o związek wojownika z intencją, można wyróżnić w nim cztery stadia. W pierwszej fazie wojownik nie ma żadnego pożytku ze swej zaśniedziałej więzi; w drugiej oczyszcza ją z naleciałości; w trzeciej uczy się nią posługiwać, a dopiero w czwartej uczy się akceptować plany abstrakcji.

Don Juan twierdził, że osiągnięcie tej ostatniej fazy nie odmienia go w zasadniczy sposób, a jedynie czyni bardziej zaradnym. Tak więc kiedy zapewniał mnie i resztę praktykantów, że jest bardzo do nas podobny, wcale nie żartował.

– Dobrze rozumiem twoje trudności – kontynuował. – Kiedy się z ciebie śmieję, przypomina mi się, jak sam się zachowywałem w podobnej sytuacji, i to mnie właśnie tak śmieszy. Ja również ze wszystkich sił trzymałem się zwykłego, codziennego życia. Wszystko mówiło mi, żebym przestał, ale nie potrafiłem. Tak jak ty, bez zastrzeżeń ufałem swojemu rozsądkowi, nie mając do tego najmniejszego powodu – nie byłem już przecież zwykłym człowiekiem. Byłem wtedy w takim samym położeniu, jak ty teraz. Niosła mnie fala codziennych zdarzeń, a ja zachowywałem się jak zwykły śmiertelnik. Desperacko trzymałem się swych kruchych intelektualnych schematów. Nie popełniaj tego błędu.

– To nie ja trzymam się schematów, to one trzymają się mnie – powiedziałem, wywołując u don Juana salwę śmiechu.

Oświadczyłem mu, że doskonale rozumiem, o co mu chodzi, jednak mimo iż się staram, nie potrafię się zachować, jak na czarownika przystało.

Don Juan odpowiedział, że nie oswoiłem się jeszcze ze światem magii. Zadanie to jest utrudnione, jako że w świecie tym trzeba nawiązać ze wszystkim nowe związki, całkowicie różne od powiązań składających się na spójny obraz zwykłego świata. Stwierdził, że z jednej strony czarownicy nie mogą

powrócić do swego starego, spójnego świata, a jednocześnie nie potrafią wykorzystać odmiennej spójności świata magii. Ta nowa spójność jest wątła, mało stabilna. Nie daje czarownikom takiej pewności, jaką mieli, będąc zwykłymi ludźmi.

– Jak więc rozwiązują ten problem? – zapytałem.

– Nikt z nas niczego nie rozwiązuje – odpowiedział don Juan. – Może to za nas zrobić duch. Jeśli tak się stanie, czarownik będzie działać sprawnie w swym nowym świecie, nie wiedząc nawet, jak to się dzieje. Z tego powodu zawsze, od kiedy cię spotkałem, twierdziłem, że liczy się tylko nieskazitelność. Czarownik żyje nienagannie i najwidoczniej to wystarczy do rozwiązania problemu. Dlaczego tak jest, nikt nie wie.

Milczał przez chwilę. Potem skomentował myśl, która właśnie przyszła mi do głowy, zupełnie jakbym ją wypowiedział na głos. Pomyślałem, że nieskazitelność zawsze kojarzyła mi się z religijną moralnością.

– Nieskazitelność, jak ci już wiele razy mówiłem, to nie to samo, co moralność – oznajmił. – Ona ją tylko przypomina. Nieskazitelność to najlepszy ze sposobów wykorzystania naszych zasobów energetycznych. Oczywiście, takie postępowanie wymaga umiarkowania, rozwagi, prostoty, niewinności, a przede wszystkim porzucenia wyobrażeń o sobie samym. Przywodzi to na myśl klasztorną regułę, jednak nie ma z nią nic wspólnego. Czarownicy powiadają, że aby kierować duchem, czyli sterować ruchem punktu scalającego, potrzeba energii. Jedyną metodą jej zgromadzenia jest nieskazitelność. Don Juan wspomniał, że nie trzeba uczyć się magii, by poruszyć swój punkt scalający. Zdarza się, że ruch ten wywołują naturalne, aczkolwiek dramatyczne okoliczności w rodzaju wojny, poczucia krzywdy, stresu, zmęczenia, bezradności. Gdyby ludzie doświadczający takich sytuacji potrafili przyjąć ideologię czarownika, bez trudu byliby w stanie pogłębić ten naturalny ruch. Mogliby wówczas dokonać zadziwiających rzeczy zamiast starać się za wszelką cenę powrócić do normalnego życia.

– Kiedy pogłębi się ruch punktu scalającego – kontynuował don Juan. – ignorant, na równi z człowiekiem uczącym się magii, staje się czarownikiem. Pogłębienie ruchu nieodwołalnie unieważnia poprzednią spójność.

– W jaki sposób pogłębia się ten ruch? – zapytałem.

– Przez wykorzenianie naszych wyobrażeń o sobie. Przesunięcie punktu scalającego czy zniszczenie spójności nie jest wcale takie skomplikowane. Trudniej jest zgromadzić odpowiednią ilość energii. Jeśli się tego dokona, wystarczy przesunąć punkt scalający i bez wysiłku sięgnąć po rzeczy nie dające się ogarnąć rozumem. Don Juan oświadczył, że przekleństwem człowieka jest to, że przeczuwa swe ukryte możliwości, ale nie śmie ich wykorzystać. Czarownicy powiadają, że nasza niedola wynika z głupoty, której wtóruje ignorancja. Dodał, że potrzebą naszych czasów stało się poznanie nowych koncepcji odnoszących się wyłącznie do naszego wewnętrznego świata, opisujących go z punktu widzenia czarownika, a nie przeciętnego człowieka. Ludzie potrzebują nauk dotyczących zachowania się w obliczu nieznanego, w obliczu własnej śmierci. Teraz bardziej niż kiedykolwiek wcześniej muszą poznać tajniki punktu scalającego.

Niespodziewanie, bez uprzedzenia, nie dając mi czasu na przemyślenie jego słów, don Juan zaczął swą kolejną magiczną opowieść. Wspomniał, że przez cały rok był jedyną młodą osobą w gospodarstwie naguala Juliana. Był wtedy tak skoncentrowany na własnych sprawach, że nawet nie zauważył, kiedy jego dobroczyńca przyjął do domu innych młodych ludzi. W pierwszych miesiącach drugiego roku jego pobytu do rezydencji przybyło trzech mężczyzn i cztery kobiety. Don Juan uważał, że są to tylko służący, osoby bez znaczenia. Jednego z nowo przybyłych uczyniono nawet jego asystentem. Don Juan był przekonany, że nagual Julian zwabił ich do domu i podstępnie nakłonił do pracy za darmo. Współczułby im, gdyby nie fakt, że tak ślepo ufali nagualowi, a poza tym ich przywiązanie do domu i wszystkich jego mieszkańców przyprawiało go o mdłości. Uznał, że wszyscy ci młodzi ludzie mają niewolniczą naturę i nie chciał mieć z nimi do czynienia. Musiał jednak przyjaźnić się z nimi i służyć im radą – nie miał wprawdzie na to ochoty, ale nagual Julian zaliczył to do jego obowiązków. Kiedy przychodzili do niego z jakąś sprawą, był nieodmiennie wstrząśnięty i poruszony ich życiowymi doświadczeniami. W skrytości ducha gratulował sobie, że jest w lepszym od nich położeniu. Wiedział, że ma więcej rozumu, niż wszyscy oni razem wzięci. Chełpił się przed nimi, że potrafi przejrzeć naguala na wylot, chociaż tak naprawdę nie mógł pojąć jego postępowania. Śmiał się z ich chęci służenia innym pomocą. Uważał, że płaszczą się przed nagualem, mówił im wprost, że są bezlitośnie wykorzystywani przez znającego się na rzeczy tyrana.

Do wściekłości doprowadzał go fakt, że cztery młode kobiety lgnęły do naguala Juliana i robiły

wszystko, by sprawić mu przyjemność. By zapomnieć o swym gniewie, rzucał się w wir pracy albo całymi godzinami czytał książki, które nagual miał w domu. Czytanie stało się jego pasją. Domownicy wkrótce zorientowali się, że kiedy czyta, nie należy mu przeszkadzać. Wyjątkiem był nagual Julian, który bardzo lubił go niepokoić. Starał się, by don Juan zaprzyjaźnił się z młodymi ludźmi. Powtarzał często, że wszyscy, włącznie z don Juanem, są jego uczniami, praktykantami sztuki magii. Don Juan był przekonany, że nagual Julian nie ma pojęcia o magii, ale nie mówił tego głośno. Przysłuchiwał się słowom naguala, nie dając im wiary. Jego niedowierzanie nie robiło na nagualu Julianie żadnego wrażenia. Zachowywał się jakby nigdy nic: udzielał nauk wszystkim swoim uczniom, nie pomijając don Juana. Od czasu do czasu zabierał ich na całonocne wycieczki w pobliskie góry, gdzie miał zwyczaj pozostawiać ich na bezdrożach na pastwę losu, oddając przewodnictwo don Juanowi. Choć nagual twierdził, że osamotnieni na pustkowiu odkryją ducha, jednak nigdy im się to nie udało. Jeśli nawet coś takiego miało miejsce, don Juan nic z tego nie pojął. Nagual Julian tak wielką wagę przywiązywał do poznania ducha, że zrozumienie jego istoty stało się obsesją don Juana. Podczas jednej z nocnych wypraw nagual Julian nakłaniał don Juana, by ten "poszedł śladem ducha", nawet jeśli nie jest w stanie go zrozumieć.

– Oczywiście, nagual mógł mieć na myśli tylko jedną rzecz, ruch punktu scalającego – powiedział don Juan. – Wierzył, że sformułowanie "idź śladem ducha" trafi mi do przekonania. Uważałem, że plecie bzdury. W tym okresie miałem już własne zdanie i światopogląd, byłem przeświadczony, że duch to nic innego, jak charakter, wola, siła czy śmiałość. Sądziłem, że nie muszę ich szukać: miałem wszystkie te cechy. Nagual Julian twierdził stanowczo, że duch jest czymś nieokreślonym: nie można odczuć jego obecności, a tym bardziej mówić o nim. Można go jedynie przywołać, uznając jego istnienie. Odpowiedziałem mu wtedy tak samo, jak ty: nie da się wezwać czegoś, co nie istnieje.

Don Juan powiedział mi, że tak długo spierał się z nagualem, aż ten w końcu przyrzekł mu przy wszystkich domownikach, że jednym ruchem pokaże mu nie tylko, czym duch jest, ale również jak go określić. Obiecał uczcić lekcję don Juana, wydając wielkie przyjęcie dla domowników, a nawet dla sąsiadów. Don Juan wtrącił, że w tamtych latach, przed Rewolucją Meksykańską, nagual Julian i siedem jego towarzyszek mogli bez trudu uchodzić za zamożnych właścicieli dużego gospodarstwa. Nikt nie wątpił w ich wizerunek, zwłaszcza naguala Juliana, bogatego i przystojnego: dziedzica, który poświęcił karierę duchownego dla opiekowania się swoimi siedmioma niezamężnymi siostrami. Pewnego razu w deszczowej porze roku nagual Julian oznajmił, że kiedy tylko przestanie padać, wyda obiecane don Juanowi wspaniałe przyjęcie. I rzeczywiście: w pewne niedzielne popołudnie zabrał wszystkich domowników nad brzeg wezbranej od opadów rzeki. Nagual jechał konno, a don Juan biegł za nim w stosownej odległości. Zawsze poruszali się w ten sposób, na wypadek, gdyby spotkali sąsiadów, dla których don Juan był tylko osobistym służącym dziedzica.

Nagual uznał, że najodpowiedniejszym na piknik miejscem będzie wysoki brzeg rzeki. Kobiety przygotowały posiłek i napoje. Specjalnie na przyjęcie sprowadzono z miasta muzyków. Na fetę sproszono również pracowników hacjendy, sąsiadów, a nawet przechodzących wędrowców, których przyciągnęły odgłosy zabawy.

Jedzono i pito, ile dusza zapragnie. Nagual tańczył ze wszystkimi kobietami, śpiewał i recytował wiersze. Opowiadał dowcipy i, ku wielkiej uciesze zgromadzonych, odegrał przy pomocy pań parę zabawnych scenek. W pewnej chwili zapytał, czy ktoś z obecnych – w szczególności uczniów – chciałby uczyć się wraz z don Juanem. Wszyscy się wymówili, zdając sobie sprawę z bezpardonowych zagrywek gospodarza. Wtedy nagual Julian zapytał don Juana, czy na pewno chce się dowiedzieć, czym jest duch.

Don Juan musiał przytaknąć, po prostu nie mógł się już wycofać. Oświadczył, że jest w pełni gotowy. Nagual poprowadził go nad wzburzoną rzekę i kazał mu uklęknąć. Następnie zaczął wypowiadać długie zaklęcie, którym wzywał moce wiatru i gór i prosił siły rzeki, by udzieliły don Juanowi porady. Nagual wypowiedział to pełne znaczenia zaklęcie tak lekceważącym tonem, że wszyscy wybuchnęli śmiechem. Kiedy skończył mówić, poprosił don Juana, by stanął przed nim z zamkniętymi oczami. Następnie wziął go jak dziecko na ręce i wrzucił do spienionej wody, krzycząc: "tylko nie obrażaj się na rzekę, na miłość boską!"

Wspominając to wydarzenie, don Juan skręcał się ze śmiechu. Być może w innych okolicznościach historia ta rozśmieszyłaby również mnie, wtedy jednak bardzo mnie przygnębiła.

– Trzeba było widzieć ich miny – mówił don Juan. – Kiedy spadałem, dostrzegłem wyraz przerażenia na twarzach uczestników zabawy. Nikt się nie spodziewał, że ten piekielny nagual zrobi coś takiego.

Kiedy don Juan wpadł do wody, pomyślał, że nadszedł jego koniec. Nie potrafił zbyt dobrze pływać i od razu poszedł na dno. Gdy tonął, nie mógł sobie darować, że dopuścił do tego, co się stało. Gniew nie pozwolił mu wpaść w panikę. Myślał tylko o tym, że nie zamierza zginąć w tej przeklętej rzece, z rąk tego pieprzonego faceta. Kiedy dotknął stopami dna, odbił się od niego. Rzeka nie była głęboka, ale rozlewała się szeroko. Don Juan płynął pieskiem, usiłując przeciwstawić się bystremu prądowi.

Rzeka niosła go coraz dalej. Walka z żywiołem wprowadziła go w dziwny stan, dzięki któremu zrozumiał swój błąd. Był człowiekiem pełnym gniewu – kipiąca złość powodowała, że nienawidził innych i przeciwstawiał się im. Wobec rzeki nie mógł jednak zachowywać się tak, jak zwykł był to czynić: nienawidzić jej, walczyć z nią, tracić cierpliwość, czy okazywać zdenerwowanie. Jedyne, co mógł, to płynąć z prądem. Wspominając to wydarzenie, don Juan oświadczył, że owa refleksja umożliwiła to, co miało się stać w następnej chwili: niczym kropla przepełniająca czarę, wywołała swobodny ruch jego punktu scalającego. Niespodziewanie, nie zdając sobie sprawy z tego, co się dzieje, poczuł, że zamiast unosić się na wodzie, biegnie brzegiem rzeki. Gnał tak prędko, że nie mógł się nad tym zastanowić. Niosła go jakaś olbrzymia siła – przelatywał nad kamieniami i zwalonymi drzewami, jakby ich tam wcale nie było. W pewnym momencie zdecydował się spojrzeć na płynącą obok rwącą rzekę. W rdzawej wodzie ujrzał samego siebie, miotanego bystrym nurtem. Nigdy w życiu nie spodziewałby się takiego widoku. Bez udziału intelektu zorientował się, że znajduje się jednocześnie w dwóch miejscach. W jednym z nich, we wzburzonej rzece, był bezradny – potrzebował pomocy. Całą swoją energię skierował na uratowanie się. Bez zastanowienia zaczął zmieniać kierunek ruchu, tak by oddalić się od brzegu. Było to niezmiernie trudne: musiał dać z siebie wszystko, by skręcić choć odrobinę. Miał wrażenie, że wlecze za sobą pień drzewa. Odchylenie toru o kilka jardów zajęło mu całą wieczność.

Wysiłek był zbyt wielki. Niespodziewanie przestał biec, a zaczął spadać w głąb przepastnej studni. Wpadł do wody. Była tak zimna, że krzyknął. Wtedy okazało się, że płynie rzeką, niesiony jej wartkim nurtem. Ponowne znalezienie się w rwącej wodzie tak go wystraszyło, że ze wszystkich sił zapragnął znaleźć się, zdrowy i cały, na brzegu. I oto w jednej chwili był znowu na suchym lądzie, biegł na złamanie karku równolegle do rzeki, ale w pewnej od niej odległości. Biegnąc, spojrzał na płynącą szybko wodę i zobaczył siebie, usiłującego utrzymać się na powierzchni. Chciał krzyknąć, nakazać temu drugiemu don Juanowi płynąć pod kątem do nurtu, ale nie potrafił wykrztusić ani słowa. Niezmiernie cierpiał z powodu swej pozostającej w wodzie części. Ten ból stał się łączącym ich pomostem: natychmiast znalazł się znowu w rzece, próbując skręcić w stronę brzegu. Przenoszenie się pomiędzy dwoma miejscami było tak niesamowite, że zapomniał o strachu. Nie dbał już o swój los. Na przemian płynął rzeką i biegł jej brzegiem, sam decydował, kiedy dokonać zmiany. W każdym razie ciągle skręcał w lewo, oddalając się od rzeki lub płynąc w stronę lewego brzegu.

Po przepłynięciu około pięciu mil udało mu się wreszcie wydostać z wody. Tam, w nadbrzeżnych zaroślach pozostał przez ponad tydzień. Czekał, aż woda opadnie i będzie mógł przeprawić się na drugą stronę. Musiał też ochłonąć z przerażenia i zebrać siły. Opowiadając o tym zdarzeniu, don Juan powiedział, że intensywne i długotrwałe uczucia związane z walką o życie przesunęły jego punkt scalający bezpośrednio w położenie milczącej wiedzy. Ponieważ nigdy nie przywiązywał wagi do tego, co nagual Julian mówił mu o punkcie scalającym, nie wiedział, co się z nim dzieje. Przerażała go myśl, że już nigdy nie będzie normalny. Kiedy jednak zbadał swą rozszczepioną percepcję, spodobała mu się możliwość wykorzystania jej w praktyce. Ta dwoistość trwała całymi dniami. Potrafił wcielać się w jedną ze swych postaci albo być obydwiema naraz. Gdy był jednocześnie dwiema osobami, żadna z nich nie działała skutecznie, a rzeczy traciły swą wyrazistość – z tego powodu tą formą dwoistości więcej się nie zajmował. Natomiast stawanie się tylko jedną otwierało przed nim niepojęte możliwości.

Gdy w zaroślach dochodził do siebie, ustalił, że jedna z jego postaci jest bardziej ruchliwa od drugiej, potrafi przebywać w mgnieniu oka duże odległości oraz wyszukiwać kryjówki i znajdować pożywienie. Wcielając się w tę osobę, udał się pewnego razu do domu naguala, by zobaczyć, czy martwią się tam jego nieobecnością. Usłyszał, że młodzież lamentuje z jego powodu – było to dla niego niespodzianką. Bardzo mu się spodobało, że może sprawdzić, co o nim myślą, i byłby przyglądał się im bez końca, gdyby nie nagual Julian, który złapał go i położył kres jego poczynaniom.

Była to jedyna chwila, w której don Juan naprawdę lękał się naguala Juliana. Słyszał, jak nagual każe mu zaprzestać tego bezsensownego postępowania. Nagual pojawił się znienacka, w postaci czarnego, dzwonowatego, masywnego obiektu, i mocno schwycił don Juana. Trudno powiedzieć, w jaki sposób go złapał, w każdym razie jego uścisk był bardzo bolesny: don Juan poczuł ostry, szarpiący ból w żołądku i pachwinie.

– W jednej chwili znalazłem się znowu nad brzegiem rzeki. – wspominał don Juan. – Wstałem,

przeszedłem wodę, której poziom niedawno się obniżył, i poszedłem w stronę domu.

Tu przerwał i zapytał mnie, co sądzę o tej historii. Odpowiedziałem, że jego opowiadanie zrobiło na mnie piorunujące wrażenie.

– Mogłeś przecież utonąć! – niemal krzyczałem, oburzony. – Co za okrucieństwo! Nagual Julian musiał oszaleć!

– Poczekaj chwilę – zaprotestował don Juan. – Nagual Julian postępował w nieludzki sposób, ale nie był szalony. Jako nagual i nauczyciel zachował się bez zarzutu: wykonał to, co do niego należało. Owszem, mogłem zginąć. Wszyscy musimy ryzykować. Jeżeli chodzi o ciebie, mało brakowało, a pożarłby cię jaguar. Mogłeś też umrzeć z powodu wielu spraw, z którymi cię zapoznawałem. Nagual Julian był władczy, bezpośredni i śmiały. Dążył wprost do celu.

Uważałem, że chociaż nagual Julian udzielił don Juanowi wartościowej lekcji, jego metody były dziwaczne i niewspółmierne do zamierzonych skutków. Zwierzyłem się don Juanowi, że nie dawało mi spokoju to, co słyszałem dotąd o nagualu Julianie. Miałem o nim bardzo złe zdanie.

– Boisz się chyba, że pewnego dnia wrzucę cię do rzeki albo każę ci założyć sukienkę – odpowiedział, śmiejąc się. – To dlatego nie akceptujesz naguala Juliana. Przyznałem mu rację, a on zapewnił, że nie zamierza powtarzać metod swojego dobroczyńcy, gdyż nie potrafi za ich pomocą osiągnąć właściwych efektów. Uważał, że jest równie bezwzględny jak nagual Julian, ale brakuje mu wprawy niezbędnej do stosowania takich sposobów.

– W tamtym czasie – kontynuował don Juan – nie doceniałem jego mistrzostwa, a z pewnością nie podobało mi się to, co ze mną zrobił. Teraz, im dłużej się nad tym zastanawiam, coraz bardziej podziwiam styl, z jakim przeniósł mnie wprost w położenie milczącej wiedzy. Don Juan powiedział, że pod wpływem tego niezwykłego przeżycia kompletnie zapomniał o potworze. Całą drogę powrotną przebył samodzielnie. Kiedy był już prawie u drzwi domu naguala Juliana, zmienił zdanie i poszedł szukać pocieszenia u naguala Eliasa. Stary nagual pokazał mu sens tkwiący w poczynaniach naguala Juliana. Kiedy nagual Elias usłyszał historię don Juana, nie mógł ukryć podniecenia. Z entuzjazmem wyjaśnił mu, że jego dobroczyńca jest znakomitym tropicielem, którego zawsze interesują praktyczne zagadnienia i który bez końca poszukuje pragmatycznych rozwiązań i punktów widzenia. Tamtego dnia, nad rzeką, swoim postępowaniem dowiódł, że jest mistrzem sztuki osaczania. Wszyscy goście byli nim zauroczeni. Wydaje się, że nawet rzeka była na jego rozkazy. Nagual Elias utrzymywał, że kiedy don Juan walczył o życie z wartkim nurtem, rzeka pomogła mu pojąć, czym jest duch. Dzięki temu zdołał wkroczyć bezpośrednio w dziedzinę milczącej wiedzy.

Wspominając tamte czasy, don Juan stwierdził, że był wtedy tylko niedoświadczonym młokosem: słuchał naguala Eliasa, nie rozumiejąc ani słowa, choć żywił dla jego żarliwości niekłamany podziw.

Nagual Elias wyjaśnił don Juanowi, że tropiciele przykładają wielką wagę do brzmienia i znaczenia słów. Są one dla nich kluczami otwierającymi wszystko, co zamknięte. Dlatego też tropiciele muszą określić swój cel przed przystąpieniem do jego realizacji. Nie mogą jednak od samego początku wyjawić swojego głównego zamierzenia, dlatego starannie dobierają słowa, by decydujący cios był zaskoczeniem. Nagual Elias nazwał takie postępowanie budzeniem intencji. Wyjaśnił don Juanowi, że nagual Julian obudził intencję, podkreślając z przesadą przed wszystkimi domownikami, że jednym ruchem pokaże don Juanowi, czym jest duch i jak go określić. Ta wypowiedź była kompletnie bezsensowna, gdyż nagual Julian wiedział, że ducha nie da się opisać. Jest oczywiste, że chciał, by don Juan znalazł się w miejscu milczącej wiedzy. Kiedy nagual Julian złożył oświadczenie mające ukryć jego prawdziwy cel, zebrał tylu ludzi, ilu zdołał, czyniąc ich wszystkich świadomymi czy bezwiednymi współsprawcami. Słyszeli, co zamierza, ale nie wiedzieli, co naprawdę chce przez to powiedzieć. Nagual Elias błędnie zakładał, że kiedy don Juan pozna prawdę, przestanie być tak nieznośnie buntowniczy i wyniosły. Cierpliwie kontynuował wyjaśnienia. Stwierdził, że kiedy don Juan zmagał się z nurtem rzeki, dotarł do trzeciego punktu.

Wytłumaczył, że pozycję milczącej wiedzy nazywa się trzecim punktem, gdyż przed jego osiągnięciem należy przejść przez drugi punkt, czyli bezlitosne miejsce. Oświadczył, że kiedy punkt scalający don Juana zyskał odpowiednią mobilność, don Juan stał się człowiekiem dwoistym, dzięki czemu mógł przebywać jednocześnie w dwóch miejscach: w miejscu rozumu i miejscu milczącej wiedzy, albo swobodnie się między nimi przenosić. Nagual Elias był zdania, że don Juan dokonał wspaniałej rzeczy. Był tak zachwycony, że uściskał go jak małego chłopca. Wciąż powtarzał, że don Juan, pomimo swej ignorancji – a może właśnie z jej powodu – przesłał całą swą energię z jednego miejsca w drugie. Nagual sądził, że świadczy to o naturalnej, bardzo korzystnej mobilności punktu scalającego don Juana. Wyjaśnił, że punkty scalające wszystkich ludzi są mobilne z natury, jednak

większość z nas prawie nigdy tej zdolności nie wykorzystuje. Do spontanicznego przemieszczenia punktu może dojść albo pod wpływem czarownika – jak to było w przypadku don Juana – albo w dramatycznych okolicznościach, na przykład w trakcie walki o życie.

Zasłuchany don Juan był zahipnotyzowany głosem starego naguala. Kiedy słuchał uważnie, nadążał za biegiem jego rozumowania – z nagualem Julianem nigdy mu się to nie zdarzyło. Nagual Elias kontynuował wyjaśnienia. Otóż ludzkość jak mówił, znajduje się w pierwszym punkcie, odpowiadającym rozumowi, jednak lokalizacja punktów scalających większości ludzi nie odpowiada dokładnie tej pozycji. Ci, których punkty znajdują się dokładnie w położeniu rozumu, są prawdziwymi przywódcami ludzkiej rasy. Ludzie ci, czyniący genialny użytek ze swojego rozumu, najczęściej pozostają nieznani. Kiedyś, dawno temu, ludzkość znajdowała się w trzecim punkcie, który, rzecz jasna, był wtedy odpowiednikiem pierwszego. Później ludzie przenieśli się do miejsca rozumu.

W czasach gdy pierwszym punktem była milcząca wiedza, sytuacja była podobna: Punkty scalające większości ludzi wcale nie były położone dokładnie w miejscu milczącej wiedzy. Oznacza to, że przywódcami są zawsze ci, których punkty scalające leżą w miejscu ściśle odpowiadającym położeniu intelektu albo milczącej wiedzy. Pozostali są tylko widzami: w przeszłości byli to miłośnicy bezgłośnej wiedzy, teraz można ich zaliczyć do wielbicieli rozumu. To z tej większości wywodzą się ci, którzy podziwiają wielkich obu pozycji i śpiewają hymny na ich cześć. Nagual stwierdził, że ludzkość dłużej przebywała w położeniu milczącej wiedzy i dlatego właśnie my, ludzie, tak bardzo jej pragniemy.

Don Juan poprosił starego naguala o wyjaśnienie, czego właściwie oczekuje nagual Julian. Pytanie to wydało się nagualowi Eliasowi bardziej dojrzałe i inteligentne, niż było w istocie. Swoją odpowiedź sformułował w taki sposób, że don Juan nie był w stanie nic z niej zrozumieć. Odrzekł, że nagual Julian swoimi naukami próbuje naprowadzić punkt scalający don Juana na pozycję rozumu, tak aby don Juan potrafił myśleć samodzielnie zamiast stać się jednym z sentymentalnych prostaczków rozmiłowanych w metodycznych dziełach intelektu. Jednocześnie nagual Julian stara się uczynić z don Juana prawdziwego, oderwanego od przypadkowych spraw czarownika, który nie będzie miał nic wspólnego z masą nieoświeconych wielbicieli nieznanego.

Nagual Elias zapewnił don Juana, że jedynie człowiek będący uosobieniem intelektu może bez trudu przemieścić swój punkt scalający i stać się wcieleniem milczącej wiedzy. Tylko ci, którzy stoją dokładnie na jednej z dwóch pozycji, mogą jasno widzieć tę drugą. To właśnie dzięki temu nastąpił wiek rozumu: z położenia milczącej wiedzy nietrudno było dostrzec pozycję intelektu. Stary nagual powiedział don Juanowi, że od milczącej wiedzy w stronę rozumu przechodzi się po jednokierunkowym moście zwanym "troską". Ci, którzy naprawdę poznali milczącą wiedzę, wchodzą nań, gdy zaczynają poszukiwać jej źródeł. Drugi jednokierunkowy most, wiodący od rozumu ku milczącej wiedzy, nazywa się "czystym zrozumieniem". Most ten utożsamia uświadomienie sobie przez człowieka rozumu tego, że intelekt jest tylko jedną z wielu wysp zagubionych wśród bezkresne–go oceanu.

Nagual dodał, że korzystać z obydwu mostów może tylko czarownik pozostający w bezpośrednim kontakcie z duchem – siłą udostępniającą obydwie pozycje. Podkreślił, że wszystko, co tamtego dnia uczynił nad rzeką nagual Julian, było spektaklem przeznaczonym nie tyle dla zebranych gapiów, ile dla ducha, obserwującej jego poczynania mocy. Swoimi spontanicznymi harcami i figlami cieszył wszystkich, a zwłaszcza moc, do której się zwracał.

Nagual Elias zapewnił don Juana, że duch słucha tylko tych, którzy przemawiają w języku gestów. Należy przez to rozumieć nie umowne znaki czy mowę ciała, ale wszystko, co robi się żywiołowo, z rozmachem czy poczuciem humoru. Robiąc ukłon w stronę ducha, czarownicy wydobywają z siebie wszystko, co najcenniejsze, i bezgłośnie ofiarowują to abstrakcji.

15. WYBÓR WŁASNEJ POWIERZCHOWNOŚCI

Don Juan chciał, żebyśmy przed moim powrotem do domu jeszcze raz wybrali się w góry, do wyprawy tej jednak nigdy nie doszło. W zamian poprosił mnie o podwiezienie do miasta – musiał się tam z kimś spotkać. Po drodze mówił o wszystkim, tylko nie o intencji. W gruncie rzeczy byłem z tego zadowolony. Po południu, kiedy załatwił już swoje sprawy, poszliśmy odpocząć w jego ulubionym miejscu: na jednej ze stojących w rynku ławek. Byłem zmęczony i senny, jednak w pewnej chwili niespodziewanie się ożywiłem, a mój umysł stał się niezwykle lotny. Byłem zaskoczony tą odmianą, co rozśmieszyło don Juana, który od razu zorientował się, co się dzieje. Kiedy przemówił, wyjął mi z ust to, co właśnie chciałem powiedzieć. Być może było akurat odwrotnie: to ja wyłuskałem jedną z jego myśli.

– Gdyby spojrzeć na życie przez pryzmat godzin, a nie lat, byłoby niezwykle długie – stwierdził. – Nawet liczone w dniach wydawałoby się nie mieć kresu.

Myślałem dokładnie o tym samym. Potem powiedział, że czarownik mierzy swoje życie godzinami. Jego jedna godzina odpowiada swoją intensywnością całemu życiu zwykłego człowieka. Ta intensywność przydaje się przy magazynowaniu informacji w ruchach punktu scalającego.

Nalegałem, by wyjaśnił to bliżej. Przypomniałem sobie, że widząc moje trudności z notowaniem naszych rozmów, polecił mi kiedyś pewien sposób metodycznego przechowywania zebranych przeze mnie informacji na temat świata magii. Miałem je nie tyle zapisywać na papierze czy zapamiętywać, ile przechowywać w ruchach mojego punktu scalającego.

– Nawet najmniejsze przesunięcie punktu scalającego udostępnia percepcji nowe, odrębne obszary – powiedział don Juan. – Tam właśnie można przechowywać informacje: nasze doznania zebrane w labiryntach świadomości.

– Ale jak można magazynować informacje w czymś tak nieuchwytnym? – zapytałem.

– Umysł jest równie mglisty. Polegasz na nim, bo go znasz – odparł don Juan. – Ruch punktu scalającego wywołuje podobne skutki, ale nie jesteś z nimi tak obeznany.

– Chciałbym się tylko dowiedzieć, w jaki sposób gromadzi się informacje.

– Zawierają je nasze doświadczenia – wyjaśnił don Juan. – Kiedy po pewnym czasie czarownik przesunie swój punkt scalający w to samo miejsce, w którym punkt znajdował się w czasie jakiegoś wydarzenia, przeżywa je na nowo. Wywołane w ten sposób wspomnienie odtwarza wszystkie informacje zgromadzone w ruchu punktu scalającego. Intensywność jest nieodłącznym atrybutem przemieszczania punktu scalającego. Ty na przykład żyjesz w tej chwili bardziej intensywnie niż zwykle, a więc, by tak rzec, gromadzisz intensywność. Pewnego dnia przeżyjesz ten moment na nowo, przesuwając swój punkt scalający na powrót w to miejsce, w którym się obecnie znajduje. Tak właśnie czarownicy przechowują informacje. Powiedziałem don Juanowi, że chociaż w ciągu ostatnich kilku dni przywołałem wiele wydarzeń z przeszłości, jednak nie zauważyłem, by jakąkolwiek rolę odegrały w tym jakieś szczególne procesy myślowe.

– Jak można rozmyślnie odtwarzać zdarzenia z przeszłości? – zapytałem.

– Intensywność, będąca jednym z aspektów intencji, w naturalny sposób powiązana jest z blaskiem oczu czarownika – wyjaśnił don Juan. – Aby przywołać któryś z odosobnionych obszarów percepcji, czarownik musi jedynie wybrać określony blask swoich oczu, związany z miejscem, do którego pragnie powrócić. No, ale o tym już ci mówiłem.

Byłem chyba bardzo zafrapowany, bo don Juan przyglądał mi się z poważną miną. Kilka razy próbowałem wykrztusić jakieś pytanie, ale nie byłem w stanie zebrać myśli.

– Czarownik żyje intensywniej od zwykłego człowieka – odezwał się don Juan – i dlatego w ciągu godziny może doświadczyć tyle, ile tamten przez całe życie. Przesuwając swój punkt scalający w nową, nieznaną pozycję, czarownik zużywa więcej energii niż zazwyczaj. Ten naddatek energii nazywa się intensywnością. Wszystko, co mówił, było dla mnie niezwykle jasne i proste, chociaż znaczenie jego słów wystawiało na próbę mój zdrowy rozsądek.

Don Juan spojrzał mi prosto w oczy i przestrzegł mnie przed typową dla czarowników zwodniczą reakcją: pragnieniem wyjaśnienia przeżyć w świecie magii w kategoriach rozumu.

– Czarownicy traktują swoje niespotykane doświadczenia jak swoiste zagadki – powiedział. – Przy ich pomocy osaczają samych siebie. Ich, jako tropicieli, kartą atutową jest świadomość roli percepcji w naszym życiu i świadomość jej niezmierzonych możliwości. Wyznałem, że obawiam się właśnie tych niecodziennych możliwości.

– Aby się chronić przed tym bezmiarem – rzekł don Juan – czarownicy uczą się zachowywać odpowiednie proporcje pomiędzy czterema nierozłącznymi elementami: bezwzględnością, sprytem, cierpliwością i wdziękiem. Chcąc doskonalić te cechy, czynią je swoim celem. Jest oczywiste, że te elementy są pozycjami punktu scalającego. Potem oznajmił, że te cztery czynniki z założenia kierują każdym postępkiem czarownika. Właściwie należałoby powiedzieć, że czarownik zawsze działa i przygotowuje się do działania z największą starannością, dbając o zachowanie pomiędzy tymi czterema zasadami określonych proporcji.

– Czarownicy używają tych czterech form osaczania, czterech różnych stanów psychicznych, czterech odcieni intensywności – ciągnął don Juan – do naprowadzenia swoich punktów scalających na wybrane pozycje.

Niespodziewanie zauważyłem, że jest poirytowany. Zapytałem, czy mu się nie naprzykrzam moimi prośbami o wyjaśnienia.

– Nie mogę się po prostu nadziwić, że nasza racjonalność przywodzi nas do zguby – odpowiedział. – Nasza skłonność do rozważania, stawiania pytań i poszukiwania odpowiedzi odsuwa nas od magii, będącej próbą dotarcia do miejsca milczącej wiedzy. Wiedzy tej nie da się zdobyć rozumowo – trzeba jej doświadczyć. Uśmiechał się, a jego oczy płonęły jak pochodnie. Powiedział, że czarownicy, chcąc się uchronić przed przemożnym wpływem milczącej wiedzy, opracowali sztukę osaczania. Polega ono na nieznacznym, ale ciągłym przemieszczaniu punktu scalającego. Dzięki temu czarownicy zyskują na czasie i znajdują oparcie w swoim nowym świecie.

– Jedną z technik sztuki osaczania – kontynuował – jest kontrolowany kaprys. Czarownicy uważają, że jest to jedyna przydatna metoda zajmowania się własną osobą w odmiennych stanach świadomości i percepcji oraz wpływania na innych w zwyczajnym, codziennym życiu. Don Juan przedstawił mi kiedyś kontrolowany kaprys jako umiejętność celowego wprowadzania innych w błąd albo sztukę udawania, że jest się bez reszty pochłoniętym daną czynnością – sztukę doskonałej, pełnej symulacji. Kontrolowany kaprys jest nie zwykłym oszustwem, ale wymyślnym, pełnym artyzmu sposobem na oddzielenie się od wszystkiego przy jednoczesnym pozostawaniu jego częścią.

– Kontrolowany kaprys jest niełatwą sztuką – mówił dalej don Juan. – Trudno się jej wyuczyć. Wielu czarowników nie ma do niej zamiłowania: nie dlatego, by było w niej coś złego, ale dlatego, że jej praktykowanie zużywa mnóstwo energii.

Przyznał, że skrupulatnie tę sztukę praktykuje, ale nie lubi jej specjalnie, ponieważ jego dobroczyńca był w niej bardzo biegły. Być może niedostatki osobowości – określił siebie jako osobę nieszczerą i małostkową – sprawiły, że brakuje mu tej zręczności, niezbędnej do praktykowania kontrolowanego kaprysu.

Spojrzałem na niego ze zdziwieniem. Przestał mówić i przyglądał mi się ze złośliwym błyskiem w oku.

– Stykamy się z magią już w pełni ukształtowani – powiedział i z rezygnacją wzruszył ramionami. – Jedyne, co możemy, to stosować kontrolowany kaprys i śmiać się z siebie samych.

Wczuwając się w jego położenie, zapewniłem, że nie jest fałszywy ani małostkowy.

– Ależ to są podstawowe cechy mojej osobowości! – obstawał przy swoim.

Ja z kolei upierałem się, że się myli. – Praktykujący kontrolowany kaprys tropiciele uważają, że jeśli chodzi o ludzką osobowość, można wyróżnić jej trzy rodzaje – powiedział, a na jego twarzy pojawił się uśmiech, jakim zawsze mnie obdarzał, gdy zapędzał mnie w kozi róg.

– To absurd – zaprotestowałem. – Ludzkie zachowanie jest zbyt złożone, by można było je tak łatwo sklasyfikować.

– Tropiciele powiadają, że nie jesteśmy tak skomplikowani, jak się nam wydaje – odparł. – Wszyscy należymy do jednej z trzech kategorii.

Zaśmiałem się nerwowo. W innych okolicznościach wziąłbym takie stwierdzenie za żart, jednak tym razem wiedziałem na pewno, że don Juan nie żartuje.

– Mówisz poważnie? – spytałem najgrzeczniej, jak umiałem.

– Najzupełniej – odrzekł don Juan i roześmiał się. Jego śmiech odprężył mnie trochę. Don Juan tymczasem dalej objaśniał klasyfikację, jaką posługują się tropiciele. Powiedział, że ludzie zaliczający się do pierwszej kategorii są znakomitymi sekretarkami, asystentami czy towarzyszami. Mają bardzo żywą, choć niezbyt budującą osobowość. Są uczynni, troskliwi, dobrze wychowani, zabawni, niewinni i delikatni. Kochają dom i do pewnych granic nawet nieźle sobie radzą. Jednym słowem, są najmilszymi ludźmi pod słońcem, ale mają jedną poważną wadę: nie potrafią być samodzielni. Muszą zawsze mieć kogoś, kto by nimi kierował. Kiedy wskaże się im drogę – nawet niezwykle trudną albo przeciwną ich zamierzeniom – potrafią dokonać zadziwiających czynów. Pozostawieni sami sobie, giną. Ludzie należący do drugiej klasy nie są ani trochę przyjemni. Są małostkowi, mściwi, zazdrośni, zawistni i samolubni. Mówią wyłącznie o sobie i zazwyczaj żądają, by inni dostosowali się do ich wymogów. Zawsze przejmują inicjatywę, nawet jeśli źle się z tym czują. Łatwo ich wytrącić z równowagi, a trudno zadowolić. Nie potrafią się odprężyć, żyją w poczuciu zagrożenia. Im mniej bezpiecznie się czują, tym bardziej są nieprzyjemni dla otoczenia. Ich główną wadą jest to, że mogliby zabić, byle przewodzić innym. Do trzeciej kategorii zalicza się osoby, które nie są ani miłe, ani nieprzyjemne. Nikomu nie służą ani się nie narzucają – inni ludzie są im raczej obojętni. Mają o sobie wygórowane mniemanie, oparte wyłącznie na własnych marzeniach i pobożnych życzeniach. Jedynym, co wychodzi im świetnie, jest oczekiwanie, że sprawy same się ułożą. Czekają, aż ktoś ich odkryje albo zdobędzie ich serce. Nie ma dla nich nic łatwiejszego niż wyobrażanie sobie swych przyszłych wielkich osiągnięć, obiecują wiele, ale nie dotrzymują przyrzeczeń, bo brakuje im odpowiednich umiejętności.

Don Juan oświadczył, że on z całą pewnością należy do drugiej klasy. Poprosił, bym z kolei ja określił swoją przynależność. Trzeba powiedzieć, że tym pytaniem zabił mi klina. Moje zakłopotanie bardzo go rozbawiło, ze śmiechu prawie tarzał się po ziemi.

Pod jego naciskiem z niechęcią wysunąłem przypuszczenie, że jestem mieszanką tych trzech typów.

– Przestań chrzanić o jakichś mieszankach – powiedział, wciąż się śmiejąc. – Jesteśmy istotami nieskomplikowanymi i każdy z nas należy do jednej z tych trzech kategorii. Mnie się wydaje, że ty również jesteś przedstawicielem drugiego typu. Tropiciele nazywają ich gnojkami.

Zacząłem protestować, mówiąc, że ta klasyfikacja jest poniżająca. Nie wygłosiłem jednak na ten temat dłuższej tyrady, jak zamierzałem. Zauważyłem tylko, że gdyby ta klasyfikacja odzwierciedlała rzeczywistość, każdy z nas byłby na wieki uwięziony w jednej z trzech kategorii, bez szansy na zmianę albo wybawienie.

Don Juan zgodził się ze mną i stwierdził, że dokładnie tak sprawy się mają. Dodał jednak, że istnieje sposób wyzwolenia się z tych więzów. Czarownicy już dawno nauczyli się, że cała ta klasyfikacja dotyczy tylko naszych wyobrażeń o sobie.

– Problem polega na tym, że traktujemy siebie poważnie – powiedział don Juan. – To, do jakiej kategorii przynależy nasz wizerunek, jest dla nas istotne, ponieważ jesteśmy zarozumiali. Gdybyśmy wyzbyli się próżności, nie dbalibyśmy o to, do jakiej klasy się zaliczamy.

– Jestem gnojkiem i zawsze nim pozostanę – dodał, trzęsąc się ze śmiechu. – Z tobą jest tak samo, ale ty wciąż traktujesz siebie serio, podczas gdy ja już dawno z tym skończyłem.

Byłem oburzony, chciałem się spierać, ale nie starczyło mi na to energii. Echo jego śmiechu, pobrzmiewające na opustoszałym rynku, wywarło na mnie niesamowite wrażenie. Don Juan nagle zmienił temat i jednym tchem wyliczył sześć podstawowych wątków, które omówił do tej pory: przejawy ducha, pukanie ducha do drzwi, fortel ducha, zstąpienie ducha, wymagania intencji oraz kierowanie intencją. Po chwili wymienił je jeszcze raz, jakby chciał, żebym je dobrze zapamiętał. Potem zwięźle podsumował wszystko, co już mi o nich opowiedział. Najwidoczniej zależało mu na tym, abym wszystkie te informacje zmagazynował w intensywności tej chwili. Wspomniałem, że podstawowe wątki wciąż są dla mnie zagadką. Źle się czułem z tym, że nie potrafię ich pojąć, a wyglądało na to, że don Juan nie zamierza omawiać tego zagadnienia.

Nalegałem, że muszę dowiedzieć się więcej o podstawowych wątkach. Don Juan przez chwilę jakby zastanawiał się nad moją prośbą, po czym skinął głową.

– Ja również miałem wielkie trudności ze zrozumieniem tego tematu – powiedział. – I tak samo zadawałem wiele pytań. Byłem chyba bardziej od ciebie egocentryczny i do tego miałem paskudny charakter. Znałem tylko jeden sposób pytania: zrzędzenie. Ty jesteś raczej wścibski i natarczywy – tak czy owak, jesteśmy w swoich dociekaniach jednakowo irytujący, choć z różnych powodów.

Don Juan, nim zmienił temat, dorzucił tylko jedną informację do naszej dyskusji o podstawowych

wątkach. Oświadczył, że ujawniają się nam niezmiernie powoli, ukazując się i znikając bez żadnej prawidłowości.

– Powtarzam ci po raz setny, że każdy człowiek, który ruszy z miejsca swój punkt scalający, może przemieścić go dalej – powiedział. – Nauczyciel potrzebny jest nam tylko po to, by bezlitośnie nas popędzać. Bez niego ulleglibyśmy naturalnej skłonności do zatrzymania się i pogratulowania sobie dotychczasowych sukcesów.

Dodał, że my dwaj jesteśmy typowymi przykładami tego, jak bardzo można sobie pobłażać. On miał to szczęście, że jego dobroczyńca, wspaniały tropiciel, nie oszczędził go. Don Juan wspomniał, że podczas nocnych wypraw na odludzie nagual Julian wyczerpująco opisywał mu istotę próżności i zasady ruchu punktu scalającego. Dla naguala Juliana próżność była potworem o trzech tysiącach głów. Jak twierdził, można stawić mu czoło i pokonać na jeden z trzech sposobów: po pierwsze, odcinając każdą głowę po kolei; po drugie, głodząc próżność na śmierć poprzez osiągnięcie zagadkowego stanu zwanego bezlitosnym miejscem; po trzecie, unicestwiając ją w jednej chwili i płacąc za to swoją symboliczną śmiercią.

Nagual Julian polecał tę trzecią drogę, jednak twierdził, że trzeba być szczęściarzem, by móc samodzielnie wybrać sposób uśmiercenia potwora. Zazwyczaj bywa tak, że to duch wyznacza kierunek drogi czarownika, który musi się z tą decyzją pogodzić. Don Juan powiedział, że jego dobroczyńca tak nim kierował, by głowy próżności odpadały kolejno, jedna po drugiej. Don Juan postępował tak samo ze mną, ale z innym skutkiem. Ja osiągnąłem bardzo dobre wyniki, podczas gdy on w swoim czasie w ogóle na takie traktowanie nie reagował.

– Mój przypadek był szczególny – ciągnął don Juan. – Od chwili, w której mój dobroczyńca zobaczył mnie leżącego na drodze, z raną od kuli, wiedział, że jestem nowym nagualem. Zrobił, co trzeba, a potem, kiedy mój stan zdrowia na to pozwolił, przesunął mój punkt scalający. Wtedy bez większego wysiłku ujrzałem w zwykłym polu energetycznym postać potwora. Jednak to dokonanie, zamiast mi pomóc, jak to było zaplanowane, zatrzymało na dobre ruch mojego punktu scalającego. I podczas gdy pozostali uczniowie stopniowo przemieszczali swoje punkty scalające, mój trwał w pozycji, dzięki której byłem zdolny widzieć potwora.

– Ale czy twój dobroczyńca nie powiedział ci, co się dzieje? – zapytałem, zmartwiony tą niepotrzebną komplikacją.

– Mój dobroczyńca nie wierzył, że wiedzą można kogoś obdarować – odparł don Juan. – Uważał, że wiedza przekazywana bezpośrednio jest nieprzydatna: gdy jest potrzebna, nie ma jej pod ręką. Sądził, że wystarczy napomknąć o jej istnieniu, by zainteresowana osoba sama po nią sięgnęła.

Don Juan, w przeciwieństwie do swojego dobroczyńcy, był zdania, że każdemu należy się wolność wyboru – tym właśnie różniły się ich metody nauczania.

– A czy nauczyciel twojego dobroczyńcy, nagual Elias, nie powiedział ci, jak sprawy się mają? – dopytywałem się.

– Owszem, próbował – odparł don Juan, wzdychając – ale ja byłem wtedy zupełnie nieznośny. Wydawało mi się, że wiem wszystko. Pozwalałem im mówić do woli i nigdy ich nie słuchałem.

Aby wybrnąć z tego impasu, nagual Julian postanowił zmusić don Juana, by ten jeszcze raz, choć w inny sposób, samodzielnie przesunął swój punkt scalający. Przerwałem mu, by spytać, czy zdarzyło się to przed, czy po historii z rzeką. Opowieści don Juana nie były ułożone chronologicznie, tak jak bym sobie tego życzył.

– Było to kilka miesięcy później – odrzekł don Juan. – Niech ci się nie wydaje, że odmieniło mnie doznanie rozszczepionej percepcji. Nie byłem ani trochę mądrzejszy czy bardziej rozsądny. Przyjrzyj się samemu sobie. Nieustannie niszczyłem spójność twojego świata, można powiedzieć, że rozrywałem ją na kawałki. No i spójrz, wyglądasz, jakby nigdy nic. To naprawdę najwyższe osiągnięcie sztuk tajemnych i intencji. Ja byłem taki sam. Wir zdarzeń wciągał mnie na krótko. Potem zapominałem o wszystkim i odtwarzałem ciągłość swojego starego świata, jak gdyby nic się nie stało. Właśnie dlatego mój dobroczyńca sądził, że zmieniamy się tylko wtedy, kiedy umieramy.

Wracając do swojej historii, don Juan powiedział, że do ataku na spójność psychiki don Juana nagual posłużył się Tuliem, owym nietowarzyskim mężczyzną. Don Juan zaczął od tego, że wszyscy uczniowie, z nim włącznie, zgadzali się tylko w jednej sprawie: uważali, że Tulio jest arogancki, ograniczony i niegodny uwagi. Nienawidzili go, bo albo ich unikał, albo patrzył na nich z góry. Czuli się podle, gdy ich lekceważył. Byli przekonani, że Tulio nie odzywa się do nich, ponieważ nie ma nic do powiedzenia. Wierzyli, że jego najbardziej uderzająca cecha, wyniosła obojętność, jest tylko

przykrywką dla bojaźliwości. Jednak pomimo nieprzyjemnego usposobienia, ku zmartwieniu wszystkich uczniów Tulio miał zadziwiająco duży wpływ na wszystkich domowników, a zwłaszcza na naguala Juliana, który wpatrywał się w niego jak w obraz.

Pewnego ranka nagual Julian wyprawił swoich uczniów na cały dzień do miasta. Don Juan pozostał w domu jako jedyny spośród młodzieży. Koło południa nagual Julian, jak to miał w zwyczaju, udał się do swojego gabinetu, by sprawdzić księgi rachunkowe. Napotkawszy don Juana, zdawkowo poprosił go o pomoc przy sporządzaniu zestawienia. Kiedy don Juan przejrzał pokwitowania, szybko zorientował się, że w księdze brakuje kilku zapisów, które Tulio, nadzorca posiadłości, zapomniał poczynić. To przeoczenie, ku uciesze don Juana, rozzłościło naguala Juliana, który kazał don Juanowi odnaleźć Tulia, doglądającego pracy na roli, i poprosić go, by przyszedł do gabinetu.

Don Juan pobiegł natychmiast i całą drogę – około pół mili – rozkoszował się perspektywą rozzłoszczenia Tulia. Ma się rozumieć, nie biegł sam, towarzyszył mu jeden z wieśniaków, mający chronić go przed potworem. Gdy don Juan dotarł na pole, odnalazł Tulia, który z pewnej odległości obserwował pracujących chłopów. Don Juan już wcześniej zauważył, że Tulio nie cierpi zbliżać się do innych, woli przyglądać się im z daleka. Opryskliwym i rozkazującym tonem don Juan zażądał, by Tulio poszedł z nim do rezydencji, gdzie oczekuje go nagual Julian. Tulio ledwie słyszalnym szeptem odpowiedział, że obecnie jest zbyt zajęty, ale mniej więcej za godzinę będzie mógł przyjść.

Don Juan upierał się przy swoim, wiedząc, że Tulio nie będzie się z nim spierać i po prostu odwróci wzrok. Ku jego zaskoczeniu, Tulio zaczął głośno przeklinać. Było to tak niesłychane, że rolnicy przerwali pracę i zdziwieni spoglądali jeden na drugiego. Don Juan nigdy dotąd nie słyszał, by Tulio podniósł głos, nie mówiąc o głośnych bluźnierstwach. Zdezorientowany, wybuchnął nerwowym śmiechem, a Tulio tak się rozzłościł, że rzucił w niego kamieniem. Don Juan uciekł w te pędy. Pobiegł, wraz z obstawą, do domu. Przed drzwiami natknął się na Tulia, który spokojnie rozmawiał i żartował z towarzyszącymi mu kobietami. Odwrócił głowę, jak zwykle ignorując don Juana, który, pełen gniewu, wypomniał mu, że plotkuje w najlepsze, podczas gdy jest potrzebny nagualowi. Wszyscy spojrzeli na niego, jakby oszalał.

Tego dnia Tulio wyraźnie nie był sobą: wrzasnął na don Juana, każąc mu zamknąć pieprzoną mordę i dbać o własne pieprzone sprawy, i zarzucił mu próbę oczernienia go przed nagualem Julianem.

Skonsternowane kobiety zaczęły głośno wzdychać. Przyglądały się don Juanowi z dezaprobatą i próbowały uspokoić Tulia. Don Juan nalegał, by Tulio poszedł do gabinetu naguala i wyjaśnił sprawę rachunków, a Tulio w odpowiedzi kazał mu iść do diabła. Don Juan trząsł się ze złości. Proste zadanie, jakim miała być prośba o uporządkowanie ksiąg, stało się koszmarem. Poskromił jednak swój gniew. Kobiety przyglądały mu się uważnie, co znowu go poirytowało. Tłumiąc wzburzenie, pobiegł do gabinetu naguala. Tulio tymczasem spokojnie powrócił do przerwanej rozmowy z kobietami, śmiali się, jakby usłyszeli przezabawny dowcip

. W gabinecie czekała don Juana kolejna niespodzianka: za biurkiem naguala siedział Tulio, pochłonięty przeglądaniem rachunków. Don Juan najwyższym wysiłkiem opanował złość. Uśmiechnął się do Tulia, nie czuł potrzeby konfrontacji. Nagłe zrozumiał, że sprawa Tulia jest tylko pretekstem – nagual Julian chce go wypróbować, sprawdzić, czy się zdenerwuje. Don Juan nie zamierzał dać mu tej satysfakcji. Nie podnosząc wzroku znad ksiąg, Tulio powiedział, że jeśli don Juan szuka naguala, może go znaleźć w drugiej części domu. Don Juan pobiegł we wskazanym kierunku. Kiedy przebiegał przez patio, natknął się na spacerującego naguala Juliana, któremu towarzyszył Tulio. Nagual był tak pochłonięty rozmową, że nie zauważył don Juana – Tulio musiał go delikatnie pociągnąć za rękaw, dając mu znać, że przybył asystent.

Nagual rzeczowo przedstawił don Juanowi wszystkie szczegóły dotyczące rachunku, o którym właśnie z Tuliem rozmawiali. Mówił długo i wyczerpująco. Na koniec poprosił don Juana o przyniesienie z gabinetu księgi rachunkowej, po to, by mógł zrobić odpowiednią notatkę i przedstawić ją Tuliowi do podpisania. Don Juan nic z tego wszystkiego nie rozumiał. Nagual mówił tak trzeźwo i konkretnie, że cała sprawa nabrała znowu zwyczajnego wymiaru. Zniecierpliwiony Tulio, tłumacząc się pilnymi obowiązkami, kazał don Juanowi jak najszybciej przynieść księgę.

Don Juan pogodził się już z rolą klowna. Wiedział, że nagual szykuje jakąś niespodziankę – jego spojrzenie zapowiadało jeden z jego okrutnych żartów. Poza tym Tulio powiedział tego dnia więcej niż w ciągu całego dwuletniego pobytu don Juana w domu naguala. Don Juan bez słowa pobiegł do gabinetu. Jak można się było spodziewać, Tulio dotarł tam przed nim. Czekał, siedząc na rogu biurka i niecierpliwie stukając obcasem w podłogę. Wręczył don Juanowi rejestr, o który chodziło, i kazał się

wynosić. Choć don Juan spodziewał się tego, był jednak zaskoczony. Wpatrywał się w Tulia, rozzłoszczonego i ordynarnego. Mało brakowało, a wybuchnąłby gniewem. Powtarzał sobie, że to tylko próba. Zaczął sobie wyobrażać, że jeśli zawiedzie, zostanie wyrzucony. Mimo podniecenia zauważył, że Tulio musi poruszać się niezwykle szybko, skoro za każdym razem go wyprzedza. Don Juan spodziewał się, że Tulio będzie oczekiwał na niego u boku naguala. Gdy się to potwierdziło, nie był wprawdzie zdziwiony, ale nie mógł pojąć, jak było to możliwe. Dostał się na patio najkrótszą drogą, a Tulio nie poruszał się przecież prędzej od niego. Gdyby nawet go wyprzedził, musieliby się spotkać gdzieś po drodze. Nagual Julian wziął księgę z rąk don Juana, jakby nie działo się nic szczególnego. Wypełnił odpowiednią rubrykę, a Tulio złożył pod nią swój podpis. Ciągle omawiali sprawę rachunku i nie zwracali uwagi na don Juana, który wpatrywał się badawczo w Tulia, usiłując zrozumieć, na jaką próbę go wystawiają. Wydawało mu się, że chcą sprawdzić jego nastawienie, o które zawsze im chodziło. Nagual odprawił don Juana, mówiąc, że chce omówić z Tuliem interesy na osobności. Don Juan poszedł poszukać kobiet, aby się dowiedzieć, co sądzą o tej dziwnej sytuacji. Uszedł nie więcej jak dziesięć stóp, kiedy spotkał Tulia i dwie kobiety, prowadzących ożywioną rozmowę. Kiedy tylko ich ujrzał, pognał z powrotem na patio. Napotkał tam Tulia dyskutującego z nagualem. Zrodziło się w nim nieprawdopodobne podejrzenie. Popędził do gabinetu – Tulio siedział tam przy księgach, tak zaabsorbowany pracą, że nawet go nie zauważył. Gdy don Juan zapytał, co się dzieje, Tulio tym razem zachował się w typowy sposób: nic nie odpowiedział ani nie spojrzał na don Juana.

Przez głowę don Juana przebiegła wtedy kolejna niesłychana myśl. Pobiegł do stajni, osiodłał dwa konie i poprosił mężczyznę, który go tego dnia ochraniał, by mu towarzyszył. Pojechali galopem na pole, w miejsce, gdzie wcześniej napotkali Tulia. Był tam, gdzie go pozostawili. Nie odezwał się do don Juana ani słowem. Kiedy don Juan zaczął go wypytywać, wzruszył ramionami i odwrócił wzrok.

Don Juan natychmiast zawrócił. Zostawił swojego opiekuna przy koniach i wpadł do domu. Tulio jadł obiad z kobietami. Tulio także rozmawiał z nagualem. I wreszcie Tulio siedział nad rachunkami. Don Juan musiał usiąść, ze strachu oblał się zimnym potem. Wiedział, że nagual Julian poddaje go próbie – oto stał się obiektem jednego z jego przerażających żartów. Doszedł do wniosku, że ma trzy możliwości: zachowywać się, jakby nic się nie wydarzyło, zastanowić się nad celem tej próby albo też spytać, ponieważ nagual Julian wmawiał mu, że zawsze jest gotów wyjaśnić każdą wątpliwość. Wybrał trzecią ewentualność. Poszedł do naguala Juliana i poprosił go o wyjaśnienie, co się z nim wyprawia.

Nagual był sam, wciąż siedział nad rachunkami. Odłożył księgę i uśmiechnął się. Powiedział don Juanowi, że nauczył go dwudziestu jeden nie-działań, dzięki którym don Juan miał odciąć trzy tysiące głów swojej próżności. Niestety, nie spełniły one swej roli. Wobec tego nagual postanowił wypróbować inną metodę unicestwienia próżności don Juana – zaprowadzić go do bezlitosnego miejsca. Don Juan doszedł do przekonania, że nagual Julian oszalał. Zrobiło mu się go nawet żal, kiedy słyszał, jak nagual plecie bzdury o nie-działaniach, potworach o trzech tysiącach głów i bezlitosnych miejscach. Nagual Julian łagodnym tonem poprosił don Juana, żeby poszedł do szopy za domem i wywołał stamtąd Tulia. Don Juan westchnął i ostatkiem sił powstrzymał się od śmiechu. Przejrzał na wylot metody naguala. Wie– dział, że nagual chce przy pomocy Tulia ponowić próbę. Don Juan przerwał swoje opowiadanie i spytał mnie, co sądzę o zachowaniu Tulia. Na podstawie mojej wiedzy o świecie magii uznałem, że Tulio był czarownikiem, który umiał w szczególny sposób przemieszczać swój punkt scalający, sprawiając wrażenie, że jest w czterech miejscach naraz.

– A więc, jak myślisz, co znalazłem w szopie? – zapytał don Juan, uśmiechając się szeroko.

– Wydaje mi się, że albo był tam Tulio, albo nikogo nie było – odpowiedziałem.

– Gdyby było tak, jak mówisz, moja spójność nie ucierpiałaby wcale – powiedział don Juan.

Próbowałem wyobrazić sobie najdziwniejsze rozwiązania. Zasugerowałem, że don Juan mógł znaleźć w szopie śniące ciało Tulia. Przypomniałem, że sam wyczyniał ze mną podobne rzeczy przy pomocy jednego z czarowników z jego grupy.

– Nic podobnego -– odparł don Juan. – To, co tam zastałem, zakrawało na kpinę, ale nie było to nic wydumanego, nic nie z tego świata. A więc, jak sądzisz, co to mogło być?

Powiedziałem, że nie znoszę zagadek. Dodałem, że doświadczyłem za jego sprawą wielu niesamowitych rzeczy i dlatego teraz nie potrafię wyobrazić sobie nic innego. Jeśli więc nie chodzi o nic dziwacznego, poddaję się.

– Kiedy wchodziłem do szopy, spodziewałem się, że Tulio się w niej ukrył – powiedział don Juan. – Byłem pewien, że kolejną częścią mojej próby będzie idiotyczna, wkurzająca zabawa w chowanego. Jednak zupełnie nie byłem przygotowany na to, co zobaczyłem: wszedłem do szopy i ujrzałem

czterech Tuliów.

– Jak to, czterech Tuliów? – spytałem.

– Było tam czterech mężczyzn – odparł don Juan. – I każdy z nich był Tuliem. Wyobrażasz sobie moje zaskoczenie? Wszyscy siedzieli w jednakowej pozycji, z nogą założoną na nogę. I patrzyli na mnie. Gdy ich zobaczyłem, wrzasnąłem i uciekłem. Kiedy wybiegłem na zewnątrz, zatrzymał mnie i rzucił na ziemię mój dobroczyńca. Wtedy, ku memu przerażeniu, spostrzegłem, że czterech Tuliów wychodzi z szopy i zmierza w moją stronę. Wydzierałem się wniebogłosy, a oni zaczęli mnie szczypać swoimi grubymi paluchami. Czułem się tak, jakby dziobały mnie wielkie drapieżne ptaki. Krzyczałem, aż wreszcie coś we mnie pękło i wszedłem w stan niezwykłej obojętności. Nigdy przedtem nie czułem niczego podobnego. Odepchnąłem od siebie czterech Tuliów i wstałem. Cały czas tylko mnie łaskotali. Podszedłem do naguala i poprosiłem o wyjaśnienie zagadki tych czterech mężczyzn. Nagual Julian wyjaśnił don Juanowi, że owi mężczyźni są mistrzami osaczania. Ich imiona powstały wskutek kontrolowanego kaprysu ich nauczyciela, naguala Eliasa, który posłużył się hiszpańskimi liczebnikami, uno, dos, tres, cuatro, dodając je do imienia Tulio. Powstały w ten sposób cztery imiona: Tuliuno, Tuliodo, Tulitre i Tulicuatro. Nagual Julian przedstawił kolejno don Juanowi czterech mężczyzn. Stali w szeregu, obok siebie. Don Juan kłaniał się każdemu z nich, a oni w odpowiedzi kiwali głowami. Nagual powiedział, że Tuliowie są tropicielami – don Juan sam mógł się przekonać, że mają zadziwiające umiejętności. Dodał, że jeżeli chodzi o umiejętność nierzucania się w oczy, ci czterej sięgnęli szczytu – był to wielki triumf naguala Eliasa. Jako tropiciele byli niezrównani: praktycznie istniał tylko jeden z nich. Chociaż ludzie codziennie widzieli ich i stykali się z nimi, nikt oprócz domowników nie wiedział, że jest ich czterech. Don Juan doskonałe rozumiał wszystko, co mówi nagual Julian. Dzięki niezwykłej jasności umysłu pojął, że dosięgnął bezlitosnego miejsca. Bez niczyjej pomocy uświadomił sobie, że bezlitosne miejsce jest pozycją punktu scalającego unieczynniającą użalanie się nad sobą. Wiedział również, że zdoła utrzymać uzyskany wgląd i zdobytą mądrość tylko przez chwilę, a jego punkt scalający wkrótce powróci do pozycji wyjściowej. Kiedy don Juan usłyszał, że nagual oczekuje ewentualnych pytań, doszedł do wniosku, że zamiast polegać na własnej bystrości umysłu, powinien zwrócić baczną uwagę na wyjaśnienia naguala.

Chciał wiedzieć, w jaki sposób Tuliowie sprawiali wrażenie, że są jedną osobą. Bardzo go to ciekawiło, ponieważ przyjrzawszy się im wszystkim naraz, stwierdził, że nie są wcale identyczni. Owszem, nosili te same ubrania, byli mniej więcej tego samego wzrostu, wieku i budowy, ale na tym ich podobieństwo się kończyło. Jednak nawet wtedy, kiedy na nich patrzył, mógłby przysiąc, że istnieje tylko jeden Tulio. Nagual Julian wyjaśnił mu, że jesteśmy nauczeni koncentrować wzrok na najbardziej uderzających – i do tego już nam znanych – rysach oglądanych obiektów. Sztuka tropiciela polega na tym, by wytworzyć określone wrażenie, ukazując oku obserwatora cechy przez siebie wybrane, takie, których nie sposób nie zauważyć. Umiejętnie wzmacniając takie wrażenie, tropiciele potrafią sprawić, że obserwator będzie święcie przekonany o prawdziwości swoich spostrzeżeń.

Nagual Julian powiedział, że kiedy don Juan przybył do rezydencji w damskim przebraniu, kobiety były tym zachwycone i rozbawione. Natomiast towarzyszący im mężczyzna, którym akurat był Tulitre, od razu narzucił don Juanowi pierwszą z interpretacji postaci Tulia. Odwrócił się bokiem do niego, skrywając twarz, wzruszył pogardliwie ramionami, jakby go to wszystko nudziło, i odszedł, żeby na osobności uśmiać się do łez. Tymczasem kobiety umocniły to pierwsze wrażenie: były zakłopotane i nieomal zagniewane tym nietowarzyskim zachowaniem. Od tamtej pory, kiedy któryś z Tuliów znalazł się w pobliżu don Juana, uwypuklał i doskonalił swój obraz, aż wreszcie don Juan nie umiał już uchwycić niczego poza tym, czym go karmiono. Wtedy przemówił Tuliuno. Powiedział, że znieczulanie don Juana na wszystko, co różne od obrazu, jakiego miał się spodziewać, trwało około trzech miesięcy. Po tym czasie stał się tak ślepy, że Tuliowie nie musieli już mieć się na baczności. Zaczęli się zachowywać normalnie, a nawet przestali nosić jednakowe stroje. Mimo to don Juan nie dostrzegł różnicy. Kiedy do domu przybyli pozostali uczniowie, Tuliowie musieli zacząć całą grę od początku. Tym razem stanęli. przed trudniejszym zadaniem, ponieważ młodzi ludzie byli spostrzegawczy i było ich więcej. Don Juan poprosił Tuliuna o dalsze wyjaśnienia dotyczące wyglądu Tulia. Tuliuno przytoczył słowa naguala Eliasa, który twierdził, że wygląd jest istotą kontrolowanego kaprysu. Dodał, że tropiciele nie używają rekwizytów, ponieważ wizerunek powstały przy ich pomocy jest nierealistyczny, łatwy do przeniknięcia. Tropiciele tworzą swoją powierzchowność wybierając ją – tylko oni to potrafią. Wtedy odezwał się Tulitre. Oznajmił, że powierzchowność jest czymś, o co prosi się ducha – można jej żądać, ale nigdy nie wymyśla się jej samemu. Tak więc Tuliowie musieli swojego wyglądu domagać się od ducha. Nagual Elias, aby to ułatwić, zamknął ich razem w małym, położonym na uboczu pomieszczeniu. Tam przemówił do nich duch. Powiedział, że najpierw muszą mieć intencję upodobnienia się. Po czterech tygodniach całkowitej izolacji ich jednorodność stała się faktem. Nagual

Elias mawiał, że intencja stopiła ich w jedno, dzięki czemu zyskali pewność, że indywidualność każdego z nich pozostanie w ukryciu. Mieli przed sobą jeszcze jedno zadanie: przywołać powierzchowność, którą miały postrzegać osoby postronne. By nadać jej taki kształt, jaki mógł oglądać don Juan, wzywali intencję. Nowy wygląd trzeba było z wielkim wysiłkiem doskonalić, koncentrując się – pod kierownictwem naguala Eliasa – na wszystkich niezbędnych szczegółach. Następnie czterej Tuliowie przedstawili don Juanowi w zarysie swoje najważniejsze cechy zewnętrzne: gwałtowne gesty wyrażające pogardę i wyniosłość; nagłe, niby w gniewie, zwracanie twarzy w prawą stronę; zwroty tułowia sugerujące chęć ukrycia twarzy za lewym barkiem; pełne złości przeciąganie dłonią po czole, jakby dla odgarnięcia włosów; chód zręcznej, ale niecierpliwej osoby, zbyt nerwowej, by mogła się zdecydować, którędy pójść.

Don Juan powiedział, że te i wiele innych szczegółów sprawiało, iż osoba Tulia głęboko zapadała w pamięć. Była tak charakterystyczna, że jeśli któryś z czworga chciał ją wyświetlić w umyśle don Juana lub innego ucznia, wystarczyło, by zasugerował którąś z jej cech, a oni automatycznie dopowiadali sobie całą resztę. Obraz ten był tak spójny, że Tulio stał się dla don Juana i pozostałych uosobieniem wszelkich obrzydliwości. Gdyby jednak spojrzeli w głąb siebie, przyznaliby, że Tulio był niezapomnianą postacią: czy chciał tego, czy nie, przypominał zwinny, tajemniczy cień. Don Juan spytał Tuliuna, w jaki sposób przyzywali Intencję. Tuliuno wyjaśnił, że tropiciele wzywają ją na głos. Zazwyczaj wybiera się na ten cel małe, ciemne, odosobnione pomieszczenie. Na czarnym stoliku stawia się zapaloną świecę, a następnie zbliża się oczy do płomienia na odległość kilku cali. Wtedy powoli, wyraźnie i z namysłem wymawia się słowo intencja, tak często, jak uzna się to za konieczne. Mówi się to wysokim, to znów niskim głosem, ale zmian tych nie przeprowadza się celowo.

Tuliuno podkreślił, że nieodłącznym warunkiem wzywania intencji jest skoncentrowanie się bez reszty na tym, co zamierzone. W ich przypadku chodziło o jednolitość oraz o powierzchowność Tulia. Kiedy intencja stopiła ich w jedno, musieli jeszcze przez kilka lat pracować, by osiągnąć pewność, że ich jednorodność oraz wygląd Tulia będą rzeczywiste dla przygodnego obserwatora. Zapytałem don Juana, co sądzi o tym sposobie przyzywania intencji. Odpowiedział, że jego dobroczyńca i nagual Elias upodobali sobie rytuały i dlatego stosowali rekwizyty w rodzaju świec, zaciemnionych pomieszczeń i stolików.

Mimochodem zauważyłem, że sam mam wielką skłonność do rytualnych zachowań, uważam, że ceremoniał jest niezbędny do skoncentrowania uwagi. Don Juan serio potraktował moje spostrzeżenie. Opowiedział, że kiedy widział moje ciało, w tworzącym je polu energetycznym dostrzegł pewien rys, który wszyscy starożytni czarownicy posiadali i którego chciwie poszukiwali u innych: jasne pole w dolnej prawej części świetlistego kokonu. Tę jasność wiązano z zaradnością i chorobliwymi skłonnościami. Ci nikczemni czarownicy upodobali sobie sterowanie ludźmi posiadającymi te cenne właściwości, starali się je wzmacniać i podsycać nimi złe skłonności ich posiadaczy.

– A więc w człowieku istnieje zło – powiedziałem triumfalnym tonem. – Zawsze temu przeczyłeś, mówiłeś, że zła nie ma, że istnieje tylko moc.

Mój wybuch zaskoczył mnie samego. W jednej chwili doszło do głosu moje katolickie wychowanie, a książę ciemności stanął przede mną jak żywy. Don Juan krztusił się ze śmiechu.

– Oczywiście, mamy swoją ciemną stronę – odparł. – Przecież zabijamy bez żadnego powodu, w imię Boga palimy bliźnich, niszczymy samych siebie, tępimy żywe istoty i zatruwamy ziemię. A potem ubieramy się w odświętne szaty i słuchamy głosu Pana, który do nas przemawia. I co nam mówi? Każe nam zachowywać się grzecznie, bo w przeciwnym wypadku nas ukarze. Bóg straszył nas od stuleci, ale nic to nie zmieniło. Nie dlatego, że jesteśmy źli, ale dlatego, że jesteśmy głupi. O tak, człowiek ma ciemną stronę, która nazywa się Głupota.

W milczeniu przyznałem mu rację. Z zadowoleniem skonstatowałem, że don Juan jest mistrzem dyskusji – znowu obrócił moje argumenty przeciwko mnie. Don Juan wyjaśnił mi po chwili, że za sprawą tego samego rytuału zwykli ludzie pobudowali olbrzymie świątynie będące pomnikami próżności, a czarownicy wznieśli swe chorobliwe i obsesyjne konstrukcje. Dlatego też obowiązkiem każdego naguala jest tak kierować świadomością, by płynęła ku abstrakcji, niezadłużona, z czystą hipoteką.

– Co przez to rozumiesz, don Juanie? – zapytałem.

– Rytuał znakomicie służy przykuwaniu uwagi – powiedział – ale drogo nas kosztuje. Tą ceną są chorobliwe skłonności, żądające od naszej świadomości zaciągania wielkich długów hipotecznych. Don Juan porównał ludzką świadomość do pełnego duchów zamku. Zwykła świadomość jest jak

spędzenie Całego życia w jednym zapieczętowanym pokoju. Wchodzimy do tego pomieszczenia przez magiczny otwór – narodziny, a wychodzimy przez inny, podobny – śmierć. Czarownicy natomiast potrafią znaleźć inne wyjście, przez które mogą opuścić pokój, pozostając przy życiu. To, trzeba przyznać, wspaniałe osiągnięcie. Jednak naprawdę zadziwiającym dokonaniem jest wybranie wolności – moment, w którym czarownik nie tylko opuszcza zapieczętowany pokój, ale rezygnuje z błąkania się po tym wielkim nawiedzonym zamku i wychodzi na zewnątrz. Chorobliwe skłonności uniemożliwiają napływ energii niezbędnej do uzyskania wolności. Powodują, że czarownik gubi się i błądzi po pogmatwanych, mrocznych ścieżkach nieznanego. Spytałem don Juana, czy w Tuliach nie było czegoś chorobliwego.

– Dziwactwo nie jest tym samym, co wypaczenie – odparł. – Poczynaniami Tuliów kierował sam duch.

– Co chciał osiągnąć nagual Elias, trenując ich w ten sposób?

Don Juan spojrzał na mnie i roześmiał się głośno. W tym samym momencie zapaliły się oświetlające plac latarnie. Wstał ze swojej ulubionej ławki i pogłaskał ją, jakby była jego psem czy kotem.

– Wolność – odpowiedział. – Chciał wyzwolić ich percepcję z oków konwencji. Uczył ich, by stali się artystami, gdyż osaczanie jest sztuką. Czarownik nie kupuje ani nie sprzedaje dzieł sztuki – jedyną ważną dla niego sprawą jest możliwość ich wykonania.

Staliśmy przy ławce, przyglądając się drepczącym wieczornym przechodniom. Historia o czterech Tuliach napełniła mnie złymi przeczuciami. Don Juan poradził mi, bym wracał do Los Angeles, długa podróż miała dać wytchnienie mojemu punktowi scalającemu po wszystkich ruchach, jakie wykonał w ciągu kilku ostatnich dni.

– Towarzystwo naguala bardzo wyczerpuje – stwierdził. – Męczy, a nawet szkodzi.

Zapewniłem, że nie jestem wcale zmęczony i że nie ma mowy o jego negatywnym wpływie. Prawdę mówiąc, jego obecność działała na mnie jak narkotyk – nie mogłem się bez niej obejść. Mogło to wyglądać na pochlebstwa, była to jednak szczera prawda.

Obeszliśmy rynek w koło kilka razy w kompletnym milczeniu.

– Jedź do domu i przemyśl podstawowe wątki magicznych opowieści – oświadczył kategorycznie don Juan. – A właściwie nie myśl o nich, lecz zrób to, co najważniejsze: przesuń swój punkt scalający w miejsce milczącej wiedzy. Pamiętaj jednak, że twoje działania stracą sens, gdy zabraknie ci przytomności umysłu, niezbędnej do panowania nad punktem ruchu. Zatrzaśnij drzwi wyobrażeń o sobie. Bądź nieskazitelny, a spłynie na ciebie energia, dzięki której dotrzesz do miejsca milczącej wiedzy.